Sczytanie: Natalia Kłobukowska
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1916 (maj-lipiec)
Michał Römer
18 maja roku 1916
Piotrków
Tom XV

18 maja, rok 1916, czwartek
Przyjechał z urlopu Krzemieniewski, toteż od jutra znowu się zabierzemy do dalszego ciągu skontrum kasowego w Departamencie. Ale teraz już praca ta pójdzie lepiej, niż szła z początku, bo im dalej, tym księgi kasowe i dokumenty rachunkowe (alegaty) są ściślej i systematyczniej prowadzone. Zrobiliśmy rewizję ksiąg do końca stycznia, zostaje więc nam luty, marzec i połowa kwietnia. Ale już od października i listopada system rachunkowości w Departamencie wszedł na tory prawidłowe.
Krzemieniewski przyjechał z Warszawy. Jako człowiek, przekonany o słuszności akcji Departamentowej, Krzemieniewski nie jest wcale zachwycony warszawskim obchodem 3 maja; razi go to, że obchód nie miał w sobie zapału legionowego, przeszedł, że tak powiem, mimo Legionów. Jak wiadomo, Niemcy, powołując się na formalne względy wojskowe, nie pozwoliły obecnym 3 maja w Warszawie legionistom wziąć udziału w uroczystym obchodzie. Legioniści więc z nabożeństwa w Katedrze pomaszerowali pod pomnik Mickiewicza i tam się ustawili jako widzowie pochodu. Pochód przechodził obok nich i poszczególne jego grupy, mijając legionistów, witały ich i wznosiły okrzyki na cześć Legionów, Piłsudskiego, wojska polskiego itd. Byli oni tak samo przedmiotem owacji grup pochodu, jak grupa uczestników powstania r. 1863 w pochodzie była przedmiotem owacji tłumów publiczności. Nie można więc powiedzieć, żeby Warszawa 3 maja nie oddawała hołdu Legionom i nie miała dla nich iskierki zapału i uznania. Owszem – Legiony są coraz popularniejsze w Warszawie, coraz bardziej znane i kochane; pod tym względem zwrot się dokonał w Warszawie ogromny. Ale co innego jest uznanie, a co innego ocena politycznego momentu, zawartego w Legionach. Pod tym względem opinia Warszawy i Królestwa w swoich elementach niepodległościowych ma pewne zastrzeżenia; umie ona odróżnić sam pierwiastek czynu Legionów, ich ideę wewnętrzną, której treścią jest wyzwolenie narodu i samodzielna państwowość polska, od formy, w jakiej je Austria utrzymuje jako wyrazu ofiary Polaków na rzecz Austrii z oddaniem w jej ręce losów Polski. Dla pierwszego pierwiastka ma na ogół Królestwo uznanie i miłość, dla drugiego ma chłód, ponieważ jego wola niepodległościowa nie streszcza się do prostego aktu wiary w sprawiedliwość i skuteczność austriackiej opieki. Gdyby niepodległościowe Królestwo nie tylko darzyło uznaniem i miłością wewnętrzną ideę Legionów, ale poparło całą siłą ich organizację i ich czyn w dzisiejszej jego formie, to by przez to samo stanęło na gruncie właśnie tej austriackiej czy państwowo-habsburskiej koncepcji i ją by wyrażało, podczas gdy Królestwo separuje sprawę polską jako odrębną i samodzielną, co zresztą nie wyklucza jakichś związkowych konkretnych stosunków z tymi lub innymi państwami, jak Austria, lub konstelacjami, jak Europa Środkowa, byle nie w drodze mechanicznego zlania się i oddania dobrowolnie na łaskę ślepą bez zastrzeżeń. Stąd zrozumiałe jest zupełnie, moim zdaniem, że obchód 3 maja jako akt manifestacji woli wybitnie państwowej nie mógł się wylać po prostu w formę manifestacji legionowej. Ta rezerwa Królestwa wobec sprawy Legionów przy uznaniu i miłości dla ich idei wewnętrznej – to

konieczna konsekwencja ewolucji sprawy polskiej, i to jest właśnie linia komendanta Piłsudskiego. To samo Królestwo, gdyby Legiony zdobyły postać armii narodowej, niewątpliwie z entuzjazmem by je nie tylko kochało, ale i poparło politycznie i szeroko rozwinęło. Tymczasem trzyma się w rezerwie, z czego mu zarzutu robić niepodobna. Jedyne tej politycznej rezerwy niebezpieczeństwo – to aby uzupełnianie się Legionów nie uschło, ale przecież werbunek dostarcza ludzi, przynajmniej do stopy utrzymania *status quo*. Gdyby widoki utworzenia korpusu z Legionów były pewne, to wskazanym by było nawet, dla uzyskania tego wielkiego atutu, chwilowe energiczniejsze forsowanie werbunku – tylko że sprawa ta utknęła, niestety, na jakichś kwestiach dowództwa i zastrzeżeń tak Austrii, jak Piłsudskiego.
Dziś po obiedzie miałem przelotną ze Stanisławem Downarowiczem rozmowę. Trudno to nawet nazwać rozmową, bośmy tylko kilka zdań zamienili na stojąco, a wnet podeszli inni jacyś interesanci i przerwali nam rozmowę. Wspomniałem Downarowiczowi, że Piłsudski nie zaakceptował mego projektu kompanii litewskiej dla takich a takich powodów. Na to Downarowicz się żachnął i zirytowany rzucił te słowa: „Na Boga, ja nie rozumiem, dlaczego ten człowiek (Piłsudski) nosi mundur legionowy", co ma oznaczać, że skoro się jest w Legionach, należy ich sprawę popierać, czego właśnie Piłsudski nie robi. Dalej merytorycznie zaznaczył Downarowicz, że przecież, jeżeli się chcę sprawą polską Litwę ujmować, to jedynym w obecnych warunkach sposobem – jest właśnie stwarzanie na własną rękę precedensów i faktów dokonanych, jakim by była taka kampania litewska w Legionach, nie zaś czekać biernie. Taka jest opinia Stanisława Downarowicza, nie pozbawiona bynajmniej sensu, choć nieco różna od moich założeń, polegających nie na rozszerzeniu Sprawy Polskiej na Litwę, lecz na łączeniu Sprawy Litewskiej z Polską.

19 maja, rok 1916, piątek
Wieczorem w gabinecie restauracji Banaszewskiego odbyło się bieżące zebrańko z szeregu tych, które zainicjowane były przez Rostworowskiego. Z cywilnych byli znowu tylko: zastępca szefa Departamentu Stanisław Downarowicz i redaktor Adam Zagórski. Z oficerów i legionistów byli: Rostworowski, Morstin, Pochmarski, Marian Dąbrowski, Rutkowski, Starzewski, kapitan Jarnuszkiewicz, Nowakowski, Ryszkiewicz, Zieleniewski, ja i jeszcze paru, których nazwisk nie wiem. Tematem pogadanki była sprawa założenia pisma żołnierskiego dla Legionów. Referat o tym wygłosił Pochmarski. O projekcie tym wiedziałem już od Dąbrowskiego, jednego z jego głównych inicjatorów. Środki na to wydawnictwo ma dostarczyć Departament. Rzecz ta była już od dłuższego czasu omawiana przez Dąbrowskiego i Pochmarskiego z Kotem. Zachodziły jednak i zachodzą liczne trudności wykonania. W pierwszym rzędzie chodzi o uzyskanie sankcji komendy Legionów, bo oczywiście pismo, przeznaczone dla żołnierzy, nie może bez tej sankcji wychodzić i do linii docierać, a po wtóre Komenda kryłaby to pismo od zbyt uciążliwej ewentualnie cenzury wojennej austriackiej. Jak w końcu dzisiejszego zebrania poinformował Downarowicz, Puchalski o projekcie tym wie, jest mu przychylny i obiecał nawet wyrazić w rozkazie czy to życzenie, czy też rodzaj mandatu do podjęcia takiego wydawnictwa przez Departament; dotąd jednak tego nie zrobił. Dopóki był szefem sztabu w c.k. Komendzie Zagórski, a zwłaszcza za czasów Durskiego, gdy Zagórski rządził, nie można było marzyć o aprobacie Komendy dla wydawnictwa departamentowego, teraz wszakże po ustąpieniu Zagórskiego rzecz może się łatwiej dokonać, bo i Lewartowski, referent prasowy w c.k. Komendzie, jedna z najzłośliwszych kreatur Zagórskiego, stracił zupełnie swoją dawną wagę i szkodzić nie będzie w stanie (zresztą chodzą tu pogłoski o zupełnym usunięciu Lewartowskiego i zreorganizowaniu referatu prasowego przy c.k. Komendzie, w związku z pogłoskami o

mianowaniu na miejsce Zagórskiego szefem sztabu Sosnkowskiego i o przydzieleniu do c.k. Komendy takich ludzi z I Brygady, jak Kukiel). Naturalnie, że zachodzą i liczne inne trudności. Dąbrowski chciał projektowane pismo zbliżyć do I Brygady, nawiązać w nim poniekąd most między Brygadą a Departamentem; odwoływał się w tej mierze do Sosnkowskiego i Kadena, który obecnie w I Brygadzie stoi na czele zorganizowanego wydziału literacko-publicystycznego, jest niejako urzędowym kronikarzem, literatem i cenzorem I Brygady. Ale tam niewiele wskórał, bo Kaden jest niechętny projektowi, i mam wrażenie, że w ogóle Dąbrowskiego nie chce dopuszczać do jakiejś wydatniejszej roli publicystyczno-sprawozdawczej; nie ufa mu, może nie czuje w nim powolnego narzędzia i nie chce jego konkurencji; zresztą tam w sztabie Brygady Maniusia Dąbrowskiego traktują dość sceptycznie i z odcieniem ironii i z takąż lekceważącą ironią, za sprawą Kadena, traktują jego projekt pisma dla żołnierzy. Kpią sobie z tego i uważają, że to przedsięwzięcie, wylęgłe w mózgu Dąbrowskiego, szukającego działalności dla siebie, jest z góry chybione, bo pismo, wychodzące na tyłach, nie zdobędzie bezpośredniego kontaktu z linią i nigdy potrzebom żołnierzy odpowiadać nie będzie. Zdaje się też, że co do tego projektu nie ma dotąd zupełnego porozumienia między Dąbrowskim i Kotem, bo Kot chciałby mieć na nim swoją rękę, tak jak ją trzyma na „Wiadomościach Polskich", ewentualnie chciałby zrobić z tego coś w rodzaju popularniejszego wydania „Wiadomości" dla narzucania czegoś żołnierzom, „wychowywania" ich w pewnym kierunku określonym itp., podczas gdy Dąbrowski chciałby pismo to uniezależnić, mieć je raczej autonomicznie w swoim ręku i zgoła co innego, niż „Wiadomości" utworzyć. Wreszcie zachodzą liczne trudności techniczne – miejsca wydawnictwa, jego organizacji, stosunków z linią, typu i programu. Głównie też i niemal wyłącznie nad tymi ostatnimi zastanawiano się na zebraniu dzisiejszym. Różni mówcy uwydatniali różne zadania takiego pisma. Godzono się w zupełności tylko na jedno: że pismo nie może być moralizatorskim, nie może sobie zakreślać celu „wychowywania" żołnierzy, bo żołnierz, który przebył w polu dwa lata, żołnierz z wojny tak się usamodzielnił i dojrzał, że żadnych nianiek nie uzna i żadnych „umoralniających" wpływów, narzucanych mu opiekuńczo z góry, nie przyjmie. Jeżeli tylko dostrzeże w piśmie ton moralizatorski, usiłujący go urabiać, to pismo odrzuci, a szanowni mentorzy ośmieszą tylko w jego oczach siebie i swoje dzieło. A żołnierz umie doskonale wyczuwać zamiary tych, którzy się do niego zbliżają, i rozpoznawać treść tego, co mu się podaje. Podkreślano, że jeżeli chodzi o wpływ pedagogiczny na żołnierza, to może go wywierać nie pismo specjalne, jeno elementy tegoż środowiska żołnierskiego i w szczególności komendanci, współżyjący z żołnierzem. Uznawano więc ogólnie, że chodzić powinno nie o pedagogiczne oddziaływanie z góry, jeno o zaspokojenie potrzeb żołnierzy, o danie im tego, czego im brak i co ich zainteresować zdoła, oraz o to, aby pismo miało charakter obywatelski, to znaczy traktowało żołnierzy nie jako obiekt bierny, ale jako czynnik żywy, obywatelski w narodzie, którego wyrazem ma być pismo. Słowem – organ żołnierzy.

20 maja, rok 1916, sobota
Jeszcze o wczorajszym zebraniu w sprawie pisma żołnierskiego. Dyskutowano na wstępie długo, czy pismo takie ma być wyłącznie dla żołnierzy Legionów, czy też dla wszystkich żołnierzy-Polaków z c.k. armii austriackiej. Upierał się przy tym zwłaszcza chorąży Nowakowski, oficer, który nigdy na linii nie był i zna legionistów li tylko z *hinterlandu*, a w szczególności z garnizonu piotrkowskiego, i sądzi o nich jak najgorzej. Nowakowski kładzie nacisk na to, że ważniejsze są rzekomo dla narodu 800000 żołnierzy-Polaków z c.k. armii austriackiej, którzy rzekomo walczą o to samo, co Legiony, częściowo nieświadomie, a częściowo z zupełną i równą świadomością i

których wzięcie w opiekę przez naród przedstawiałoby wielkie korzyści, niż ciągłe wydymanie tych kilkunastu tysięcy legionistów, którzy są na linii, którym się śpiewa ciągłe hymny pochwalne i pasuje na bohaterów i w stosunku do których robią się nadmierne wysiłki i ofiary, nieproporcjonalne zgoła do ich wagi liczebnej w narodzie i zasług. Tak twierdził Nowakowski, oficer Legionów i literat, a opinia jego jest szeroko podzielana przez liczne koła zaustriaczonych Polaków galicyjskich. Nie uwzględniają oni, że tych kilkanaście, czy, ściślej mówiąc, kilkadziesiąt tysięcy legionistów (przez Legiony przepłynęło od początku wojny przeszło 40 000 ludzi) przedstawia dla bezpaństwowego narodu jego wysiłek własny, jego dorobek czynny w sferze realizacji idei, niewspółmierny z setkami tysięcy czy choćby milionami żołnierzy-Polaków, powcielanych do armii państw obcych i nie reprezentujących nic samodzielnego, żadnej czynnej emanacji sprawy narodowej. Już raczej zestawiać można Legiony z „legionami" Gorczyńskiego w armii rosyjskiej z pierwszego okresu wojny, niż z żołnierzami-Polakami z armii austriackiej, pruskiej czy rosyjskiej, którzy równie dobrze walczą dziś między sobą, jak by walczyli z każdym innym państwem, z jakim by ich państwo toczyło wojnę. Zaznaczyłem to także w moim przemówieniu. Zresztą wszyscy zwalczali pogląd Nowakowskiego. Zatrzymałem się nad tym poglądem dłużej, bo nie jest on, niestety, odosobniony nie tylko w kołach moskalofilów, zasadniczo wrogich Legionom, ale też w kołach ludzi, niby to sprzyjających antyrosyjskiemu frontowi Polaków i ich udziałowi zbrojnemu w wojnie. Wszyscy mówcy stwierdzali, że nie chodzi o to, aby specjalnie zwracać pismo przeciwko żołnierzom-Polakom c.k. armii lub pozbawić ich możności korzystania z niego, to znaczy zupełnie wykluczać, ale bądź co bądź pismo ma być żołniersko-legionowe i utożsamiać Legiony z Polakami z c.k. armii niepodobna. Skądinąd wszyscy się godzili na to, że pismo powinno zerwać z nałogiem ckliwego rozczulania się nad legionistami i ich czynami, z manią wywyższania i tworzenia bohaterów, jak to robią zwłaszcza „Nowa Reforma" i „Wiadomości Polskie" oraz liczne wydawnictwa, opisujące walki Legionów. Ta maniera ckliwo-bohaterska, przypominająca podobne nastroje egzaltowanych chłopomanów względem ludu, jest przedmiotem drwin samych żołnierzy, a nawet ma w sobie coś poniżającego dla męskiej prostoty twardego czynu legionowej ofiary. Zdania co do typu i zadań projektowanego pisma były bardzo różne. Jedni kładli nacisk na zawodowy charakter takiego organu jako organu tworzonego militaryzmu polskiego (Morstin), inni na informacyjny i omalże nie wojskowo-kalendarzowy charakter, inni znów na informacyjno-polityczny, bezstronnie informujący żołnierzy o tym, co się robi na tyłach, jakie są wypadki i w szczególności jakie są perspektywy i ewolucje sprawy polskiej, dalej inni podkreślali, że pismo musi się stać przede wszystkim żołnierskim, to znaczy musi być wyrazem ich nastrojów, pragnień, woli i myśli, wreszcie Maniuś Dąbrowski posuwał się najdalej, bo chciał tworzyć stały organ interesów legionistów, coś w rodzaju stałego organu korporacyjnego, który by przetrwał wojnę i pozostał tym na przyszłość bez względu na dalsze losy Legionów i na warunki spełnienia bezpośrednich polityczno-narodowych ideałów walki obecnej. Zresztą nikt nie proponował jakiegoś wyłącznego typu; podkreślano poszczególny dominujący typ, który nadać chciano, ale łączono go z elementami innych typów w typ mieszany. Co do mnie, to zapatruję się bardzo sceptycznie na takie pismo, co też wyraziłem w swoim przemówieniu. W szczególności mam wątpliwości poważne co do typu pisma żołnierskiego, który teoretycznie jest jednak najwłaściwszy, bo nic żołnierzowi nie narzuca, jeno usiłuje być samodzielnym wyrazem jego potrzeb, tworzonym bezpośrednio przez niego samego, tak samo, jak się organizuje współczesna prasa ludowa (w przeciwstawieniu do dawnej prasy „dla ludu"). Chodzi o to, że u naszych żołnierzy w Legionach, więcej, niż w jakiejkolwiek innej armii państwowej,

zagadnienia polityczne grają wielką rolę w nastrojach i w całej psychice. Pochodzi to z konieczności, bo nasz żołnierz poszedł walczyć w imię określonej idei, której spełnienia pożąda i czeka z utęsknieniem, bo kwestia tego spełnienia ma bądź nadać jego czynowi sankcję rzeczy użytecznej, żywotnej i mądrej, bądź pozbawić go wszelkiej wartości i zawiesić w próżni jako sprawę zmarnowaną, jałową. Ta kwestia jest więc męką ciągłą i codzienną żołnierza Legionów, męką moralną, która go bardziej wyczerpuje i boleśniej dotyka, niż trud fizyczny i krew przelewana. Co mu po chwalbie, po wynoszeniu go na bohatera, po wszystkich honorach słownych, jeżeli wisi wciąż nad nim groźba pustki jego czynu! Dziś pewną ostoją, która jeszcze tego męczennika-żołnierza Legionów Polskich utrzymuje w równowadze, stanowi dla II Brygady dyscyplina i duch militaryzmu, jakie się tam wyrobiły, dla I zaś Brygady – wiara żołnierzy do osoby Piłsudskiego, że On, ukochany wódz, trzyma rękę na pulsie Sprawy Polskiej i wie, czego trzeba dla niej, a więc zużytkuje swą Brygadę tak, jak tego dobro Sprawy wymagać będzie. Otóż w piśmie żołnierskim, we własnym piśmie swoim, z konieczności wypłynęłyby sprawy polityczne, bo nimi żołnierze w myślach i uczuciach żyją. Sprowadziłoby to rozpolitykowanie żołnierzy, sprzeczne zasadniczo z naturą ich czynu wojskowego i niebezpieczne dla nich samych, bo podważające ich główne dzisiaj ostoje moralne, nic im za to w zamian nie dając, bo wypadki nie są w ich mocy. Zresztą cenzura bardzo by takie pismo utrudniła.

21 maja, rok 1916, niedziela
Chcę jeszcze wrócić na chwilkę do pozawczorajszego zebrańka wojskowego w sprawie pisma. Być może, że za dużo temu miejsca poświęcam, więcej, niż to warte, ale co to szkodzi! Chcę tu jeszcze zwrócić uwagę na charakterystyczne zachowanie się w tej sprawie Stanisława Downarowicza. Downarowicz przez cały czas, nim się toczyły dyskusje, milczał, a wreszcie zabrał głos dopiero na końcu. Oświadczył, że taka rzecz, jak założenie pisma dla legionistów, musi się odbyć za sankcją szefa Biura Prasowego, a więc dr Kota. Że chociaż Kot o tym wie i już z Downarowiczem i Sikorskim o tym rozmawiał, jednak wszystko to, co było przedmiotem obecnego zebrania, musi być właściwie wobec Kota omówione i zyskać jego aprobatę. Że, słowem, mówiąc prościej, wszystkie nasze obrady i gawędy w jakimś kółku są tylko prywatną rozmową, która co najwyżej może mieć charakter doradczy. Wprawdzieśmy na tym zebraniu nic nie uchwalili, rozumiejąc, że to jest tylko wymiana zdań, tylko porozumienie się wzajemne dla wyjaśnienia sobie nawzajem różnych rzeczy, z projektem tym związanych, bo nie my w tym komplecie jesteśmy wykonawcami projektu, posiadającymi mandat po temu, ale Downarowicz uważał za potrzebne specjalnie podkreślić władzę urzędową Kota w rozstrzyganiu całej sprawy, abyśmy czasem nie wyobrazili sobie, że rzecz ma się tworzyć na zasadach akcji zbiorowej, autonomicznie przez taki lub inny zespół ludzi. Downarowicz mocno podkreślił, że sprawa tego pisma jest akcją Departamentu, i, jako taka, musi być w drodze urzędowych władz departamentowych załatwiana. Downarowicz jest konsekwentny i zachłanny, nie chce nic z rąk Departamentu wypuścić, żadnych atutów nie zaniedbać, wszystko, co się da, ściśle i mocno zagarnąć. Jeszcze charakterystyczniejsze było to, że Downarowicz, mówiąc o cenzurze takiego pisma w sferze jego politycznej akcji, zaznaczył, iż tu powinna mieć miejsce jeszcze cenzura inna, cenzura polska, która należeć musi do Departamentu Wojskowego, bo wyłącznie Departament jest kompetentny w sprawach polityki legionowej.
Słyszałem dziś o mającym się odbyć wkrótce pewnym zjeździe w sprawie sporu między Piłsudskim a Departamentem i zarzutów oraz żądań Piłsudskiego w stosunku do Departamentu. Bliższych szczegółów o tym jeszcze nie wiem. Słyszałem tylko tyle, że w zjeździe tym mają wziąć udział Piłsudski, Puchalski, przedstawiciel Departamentu,

przedstawiciel NKN (nie wiem, czy tylko jeden, czy też może dwóch, to znaczy jeden od większości austrofilskiej i drugi – od opozycji niepodległościowej, bo słyszałem, że ma być Michał Sokolnicki, a ten przecie należy do opozycyjnej lewicy w NKN-ie, więc czyżby sam jeden reprezentował NKN?), wreszcie przedstawiciel władz austriackich (nie wiem, czy od A.O.K. (Armee-Ober-Komando) – czy też od generalnej guberni austriackiej na okupację Królestwa). Bliższych szczegółów tymczasem nie wiem, ale z pewnością będę coś jeszcze słyszał o tym.
Od czterech dni komunikaty wojenne przynoszą szczegóły o rozpoczętej akcji austriackiej na froncie włoskim. Zdaje się, że to ruch dość poważny i że mamy wreszcie do czynienia z rozpoczęciem tej zapowiadanej poufnie od paru miesięcy wielkiej ofensywy austriackiej na tym właśnie froncie. Na razie trudno jeszcze coś przesądzać. W każdym razie, dotąd powodzenie sprzyja Austriakom. Zdobycz sięga już 13 000 jeńców (dziennie po kilka tysięcy) i 107 dział (karabinów maszynowych kilkadziesiąt, które, zdaje się, nie są wliczane w powyższą liczbę dział). Włosi już zostali odparci nieco w tył (prasa określa posunięcie się Austriaków naprzód – o 9 kilometrów) i Austriacy już wkroczyli na terytorium włoskie. Uderzenie to nastąpiło w Południowym Tyrolu. Front włoski przełamany nie jest, ale na atakowanym odcinku się cofa. Kierunek postępu Austriaków zwrócony jest na Vicenzę, od której front ma być oddalony o 40 kilometrów. Komentatorzy prasowi tej akcji oświadczają, że ewentualnie zdobycie Vicenzy zagroziłoby reszcie frontu włoskiego na wschód stamtąd katastrofą odcięcia i bądź sprawiłoby kapitalną klęskę, bądź zmusiłoby Włochów do automatycznego opróżnienia całej wschodniej połaci aż do linii Adygi. Teren akcji jest niezwykle trudny, alpejski, ale podobno tylko 12 kilometrów oddziela już Austriaków od doliny północno-włoskiej. Zobaczymy, co z tego będzie: czy akcja ta wyrośnie do wielkiej ofensywy, czy też utknie, jak tyle innych w ostatnich czasach. Co do mnie osobiście, to gorąco bym się cieszył z porażki Włochów nie tylko dlatego, że postąpili wiarołomnie, rozpoczynając wojnę, ale też dlatego, że w swoim czasie przez swe wystąpienie omalże, jak się przynajmniej zdawało, nie przesądzili całej wojny na korzyść koalicji i Rosji. Zresztą w myśl mojego pojmowania przebiegu i wyników tej wojny, pożądany jest jak największy atut zwycięstw dla mocarstw centralnych, które w żadnym razie dyktatury nie zdobędą. Tu wszakże w kołach politycznych polskich zdania co do pożądaności takiego lub innego wyniku akcji austriackiej na froncie włoskim są podzielone. Jedni uważają, że powodzenia Austriaków jest pożądane, bo to podnosi ich autorytet w stosunku do Niemców. Inni zaś twierdzą, że wszelkie powodzenie oręża podnosi pychę Austrii, co się odbija ujemnie na jej stosunku do Sprawy Polskiej. Podnoszą również, że Włochy walczą nie o cele zaborcze, jeno o ideały wyzwolenia i zjednoczenia narodowego i że one właśnie wśród państw europejskich mają największe czucie spraw narodowych i są przez to dla Sprawy Polskiej czynnikiem sympatycznym. Podnoszą również, że parlament włoski był jedynym, który oświadczył się za niepodległością Polski.

22 maja, rok 1916, poniedziałek
Do Departamentu przyszły złe wieści z Warszawy. Przywiózł je porucznik Kostyrowicz, szef biura ewidencyjnego, który właśnie z Warszawy wrócił. Niemcy zrobili rewizje w lokalu przy ul. Brackiej pod nr 5, gdzie pod niewinną firmą Sekcji Archiwalnej Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy mieściła się właściwa ekspozytura Departamentu Wojskowego, działająca w Warszawie tajnie, oraz wydział warszawski Departamentowego Biura Prasowego. Z lokalu zabrano wszystkie papiery, które znaleziono, i poza tym aresztowano kierownika ekspozytury warszawskiej, Tytusa Filipowicza, którego osadzono w więzieniu. Aresztowano też jednego ze

współpracowników, niejakiego Nowakowskiego, który w czasie rewizji był w lokalu. Innych, jak Wiskowski, Kulwieć, jak pracujący tam także, aczkolwiek ideowo do innego obozu należący, Medard Downarowicz, jak wreszcie ludzie bliscy tej ekspozyturze i z nią ściśle związani, jak Iza Moszczeńska, Ludwik Abramowicz, Wasercug i wszyscy inni – nie tknięto dotąd. Bliższych szczegółów na razie brak. Naturalnie, że w Piotrkowie w Departamencie są wielce zaniepokojeni tym wypadkiem. Obawiają się, żeby Niemcy nie znaleźli w papierach czegoś kompromitującego. Sikorskiego i Downarowicza na razie w Piotrkowie nie ma, sprawą więc tą są najbardziej zajęci Kot i Górecki. Tymczasem o wdrożeniu jakiejś akcji w celu ocalenia roboty warszawskiej nie ma jeszcze mowy, nim się nie dowiedzą szczegółów i nie zorientują się co do istoty rzeczy. Czy Niemcy chcą tą drogą paraliżować akcję Departamentową, przychylną Austrii, czy też chodzi im o stłumienie wszelkich ognisk tajnej działalności bez względu na ich rywalizację z Austrią, czy wreszcie jest to tylko przypadkowym epizodem na skutek jakiegoś donosu, wyrazem węszenia tego, czego zgoła w tym wypadku nie ma, jakichś ewentualnych spisków – trudno się jeszcze zorientować. Trzeba przyznać, że biuro przy ulicy Brackiej było bardzo słabo zakonspirowane i że nie było Niemcom nic łatwiejszego, jak dowiedzieć się, czym ono jest w istocie. Tytusa Filipowicza może czekać ewentualnie internowanie w obozie dla jeńców cywilnych w Niemczech.
Ponieważ z funduszami moimi jest źle, poszedłem dziś do Kota z prośbą o wyasygnowanie mi honorarium za artykuły, drukowane w „Wiadomościach Polskich". Kot wyasygnował mi ryczałtem 100 koron, to znaczy więcej, niż się spodziewałem. Przy tej sposobności opowiedziałem Kotowi o mej rozmowie z Piłsudskim i o niepewności moich projektów na najbliższą przyszłość. Kot zrobił mi propozycję objęcia pewnych prac publicystycznych z ramienia Biura Prasowego, o ile bym się zdecydował na pozostanie na stałe w Piotrkowie. Ponieważ robię jeszcze starania o pozwolenie na wyjazd do Wilna, to znaczy że jeszcze się ostatecznie sadowić w Piotrkowie nie zamierzam, przeto Kot mi swej propozycji nie sprecyzował. Gdym mu nadmienił, że jednak wolałbym w konflikcie między obozem niepodległościowym a Departamentowym pozostać neutralny, strzegąc przede wszystkim mojej Sprawy Litewskiej i nie angażując się w wewnętrzne walki Sprawy Polskiej, Kot się zastrzegł, że znalazłaby się dla mnie taka praca, która by nie była specjalnie wyrazem polityki Departamentowej w zatargu z Piłsudskim. Jest to pierwszy krok ze strony Kota i w ogóle czynników Departamentowych do porozumienia się ze mną w celu ewentualnego zużytkowania mię. Ciekawym, czy to będzie miało dalsze konsekwencje. Zresztą to będzie zależało w pierwszym rzędzie od określenia się perspektyw mojej jazdy do Litwy. W Warszawie Medard Downarowicz wspominał mi o robocie w Łodzi z ramienia C.K.N.-u, bo tam im ludzi potrzeba, ale temu odmówiłem kategorycznie, bo tam bym już całkowicie ugrzązł w wewnętrznej robocie polskiej, tracąc kontakt ze Sprawą Litewską. Na to się nie mogę zdecydować.
W sprawie moich starań o wyjazd do Wilna otrzymałem dziś z Warszawy list od Ludwika Abramowicza. Nie odsyła mi jeszcze wzoru mego podania do władz niemieckich, bo ma wzór ten ułożyć sam z jakimś p. Sienkowskim, który jest właśnie w toku robienia podobnych starań i nabył przeto biegłości w tego rodzaju sprawach. Poczciwy Ludwik bardzo mi w tym pomaga. Ludwik podsuwa mi jedną nową i ewentualnie bardzo dobrą myśl, abym w podaniu wymienił nie tylko Wilno i Bohdaniszki, ale też Cytowiany Eugeniusza Römera; Bohdaniszki bowiem są tak blisko linii frontu, że możliwy jest absolutny zakaz udzielania tam jakichś przepustek na przyjazd (Ludwik powiada, że gdzieś widziano mapę okupacji niemieckiej na Litwie z podziałem na strefy, do których ewentualnie może być dopuszczany wjazd i oto

podobno za linią Poniewież-Święciany wjazd jest zupełnie „*ausgeschlossen*". A do Cytowian mogę mieć ten pretekst na staranie się o pozwolenie, że właściciela, Eugeniusza, nie ma, a jako krewny, mogę słusznie mieć mandat do zajęcia się zarządem majątku, nawet ewentualnie, jak pisze Abramowicz, podać się za współwłaściciela. Ludwik przysyła mi też list Marynki do mnie, o którym już jutro napiszę obszerniej. Maryńka załącza w liście fotografie Papy i Zitki Komorowskiej, amatorskie, ale bardzo ładnie wykonane.
Wieczorem w Resursie Kunowski miał odczyt na temat: „Sprawa Polska w Rosji", dzieląc się wrażeniami i spostrzeżeniami ze swego pobytu w ostatnich czasach z tamtej strony kordonu. Mówił rzeczy ciekawe, które jednak znam z prywatnych rozmów z prelegentem.

23 maja, rok 1916, wtorek
Wracam do wczorajszego listu Maryńki. Miły i serdeczny, jak zawsze, i dla mnie niezmiernie ciekawy. Pisze, że na lato do Bohdaniszek nie wyjeżdża; w Wilnie wynajęła dwa ogrody warzywne, które uprawia sama z pomocą sług i dzieci; nasza służąca Anusia Dirżysówna nadal służy u Maryńki, a że nie jest jeszcze u Maryńki najgorzej, to świadczy, że jest w stanie i drugą służącą utrzymywać; zresztą, mając dzierżawę ogrodów i gospodareczkę, nie mogłaby się bez dwóch sług obejść. A Maryńka lubi gospodarkę, ma do tego żyłkę we krwi po Mamie i umie we wszelkich okolicznościach dać sobie radę; ma dwie kózki, które jej dostarczają mleka, i dwie świnki, oraz jakąś swoją psinkę Baśkę, o której istnieniu nie pamiętałem wcale, i jej synka, podobno pięknego psiaka, ale z pewnością równie małego, jak matka. Wszystkie te drobne szczególiki bardzo mię zajmują. W sprawie mego przyjazdu do Wilna Maryńka pisze, że czeka mię bardzo i tęskni do mnie, że usiłuje robić ze swej strony starania dla mnie u władz niemieckich, w czym jej dopomaga hr. Krasicki, ale że mało co może zrobić i że obawia się, niestety, że mi pozwolenia na przyjazd nie udzielą. Studnicki przywiózł Maryńce list, który do niego do Warszawy pisałem, a w którym podałem w streszczeniu ciągłość moich dziejów od czasu mego zeszłorocznego wyjazdu z Wilna. Wspomina też Maryńka o Papie i Komorowskich i o kilku osobach znajomych z Wilna. Fotografii mojej, którą jej przez Wacława Studnickiego posłałem, jeszcze nie otrzymała, bo została ona jeszcze z rzeczami Studnickiego w Ejdkunach. Z listu też Maryńki wnioskuję, że otrzymała w jakiś sposób wiadomości od Elwiry. Dalej pisze mi Maryńka, o co ja zapytywałem, w sprawie pomnika na grobie Aninki, że nie jest jeszcze postawiony, bo go już w roku przeszłym z pracowni Baranowskiego, gdzie się wykonywał, nie mogła wykupić, gdyż banki wileńskie, ewakuując się, wywiozły moją gotówkę. Co zaś do utrzymania grobu i zasadzeniu na nim kwiatów, to tym się już zajęła. Taka jest treść tego kochanego listu Maryńki. Chwała Bogu i za to, że choć korespondować z Maryńką mogę.
A teraz przeskoczę do zupełnie innej rzeczy, do pewnej refleksji, która mi się nasuwa. Jak tylekroć w najnowszych dziejach Polski, tak i teraz iluż to Litwinów gra wybitną rolę w ruchu polskim! Piłsudski i Stanisław Downarowicz, Władysław Studnicki i Witold Jodko, choć każdy nierównej miary, ale każdy w swoim rodzaju indywidualny, wyrazisty i mający swoją sferę działania i swój określony kierunek, wszyscy Litwini! Charakteryzuje ich wola, bardzo konkretna i twarda, wytężona mocno w jednym kierunku. Każdy z nich to typ wyraźny, postać działacza, pełnego indywidualnego charakteru. Wziąłem tylko te cztery pierwsze nazwiska, z których każde jest imieniem. A iluż innych Litwinów byśmy naliczyli, nie tak przodujących w obecnej chwili, ale równie pełnych wyrazu i charakteru, czynnych w ruchu polskim! W samych oto Legionach – Januszajtis, Minkiewicz, Burhard, Bukacki i wielu innych. Są oni i wśród

piłsudczyków, w gronie najbliższych Komendanta przyjaciół, i w CKN-ie, i we wszystkich szeregach i placówkach niepodległościowego obozu. Cechuje ich zawsze ta wola, wyrazistość i charakter. Nie chodzi o wyliczanie wszystkich, dość tych kilku pierwszych wymienionych, zwłaszcza trzech u góry. Ile sił i jakich sił przednich dostarcza Litwa Sprawie Polskiej! Obok nich typy polskie, jak Sikorski, pełne wdzięku, ale ileż im ustępujące mocą charakteru! Gdyby się tak ci wszyscy Litwini unarodowili, nie w językowym koniecznie kierunku, ale w państwowo-litewskim, toć przecie w przyszłej Rzeczpospolitej, gdyby ona z Polski z Litwą się utworzyła, nie Litwa ulegałaby Polsce i nie ona służebną pełniła by względem Polski rolę, ale kto wie, czy nie odwrotnie. Ma Litwa siły i ciągle wydaje z siebie charaktery, które, gdy się jej synowie unarodowią, staną się jej ostoją znakomitą.

24 maja, rok 1916, środa
Są wieści, że stanowisko Departamentu Wojskowego na toczących się obecnie w Krakowie obradach komisji politycznej Koła Polskiego jest mocno zachwiane. Jak wspominałem przed kilku dniami, ma się wkrótce odbyć konferencja z udziałem Piłsudskiego, Puchalskiego, Sikorskiego, przedstawicieli NTN-u, austriackiego A.O.K. (Armee-Ober-Komando) i austriackiej Generalnej Guberni Lubelskiej w sprawie ustalenia stanowiska Departamentu Wojskowego. Zjazd ten ma się odbyć w Lublinie 28 maja. Obecne obrady Komisji Politycznej Zjednoczonego Koła Polskiego w Krakowie mają na celu przedwstępne omówienie tych rzeczy, aby możliwie dojść do jakiegoś porozumienia, by na tym zjeździe wobec przedstawicieli austriackich możliwie nie ujawniać sporu między Piłsudskim i lewicą a Departamentem i stanąć już na gruncie pewnego planu wspólnego. Sikorski po bytności swojej w Cieszynie i Wiedniu pospieszył na zebranie Komisji Politycznej do Krakowa, dokąd też wezwał telegraficznie Stanisława Downarowicza. Na skutek niejasności depeszy Sikorskiego, wzywającej Downarowicza, Downarowicz pojechał do Wiednia, skąd dopiero musiał zawrócić do Krakowa i z tego powodu, zdaje się, spóźnił się na pierwsze posiedzenie Komisji Politycznej. Z tego, co wiemy od podporucznika Rutkowskiego, który jeździł do Krakowa, już na pierwszych posiedzeniach Komisji doszło do nieporozumień. Sikorski w dłuższej przemowie streścił całą akcję Departamentu Wojskowego w Królestwie, jego zasługi, swoją akcję w Szwajcarji itd. Zyskał podobno oklaski, a Jaworski już zaproponował wyrazić dla Departamentu uznanie; tymczasem zabrał głos poseł Daszyński, który do niedawna, jak większość socjalnych demokratów galicyjskich, stał na torach kompromisowych w duchu klasycznie NKN-owo-austrofilskim, to znaczy zasadniczo różnym od niepodległościowego stanowiska Piłsudskiego, a dopiero przed miesiącem, po bytności w Warszawie i zetknięciu się z działaczami z CKN-u, „nawrócił się” na wiarę Piłsudzkiego i stanął gorąco na stanowisku lewicy. Daszyński, wyrażając uznanie dla osoby Sikorskiego i dla pewnych w zasadzie zasług Departamentu, wystąpił z całą litanią „ale”, tak że w końcu doszedł właściwie do stwierdzenia potrzeby po prostu zlikwidowania całej dotychczasowej akcji Departamentu i zbudowania jej na nowych zupełnie zasadach w myśl założeń Piłsudskiego. Mowa Daszyńskiego zrobiła podobno duże wrażenie i dała asumpt do dalszego rozwinięcia ataku. Co było dalej – nie wiem. Widocznie obrady się przewlekają, bo Sikorski i Downarowicz dotąd siedzą w Krakowie. Kot, który tu bawi, ma minę rzadką i chodzi bez humoru.
Dziś, gdym przed kolacją pracował z Krzemieniewskim nad skontrum kasowym, przyszedł ktoś i wezwał go do Góreckiego. Wkrótce Krzemieniewski wrócił, zamknął księgi kasowe i poprosił mnie ze sobą na górę. W gabinecie Góreckiego zastałem jego, podporucznika Rutkowskiego, Pohoskiego i Waszkiewicza. Tu mi powiedziano, że

zebrane grono, reprezentujące lewicę współpracowników Departamentu Wojskowego, wysyła do Sikorskiego do Krakowa następującej treści oświadczenie, które mi odczytano, proponując mi podpisać się pod nim także: „Do JWP. Pułkownika Sikorskiego. Ponieważ dyskusja 14 b.m. obracała się tylko około kwestii, o ile zachować należy wojskowy charakter D.W., a zapowiedziane drugie zebranie współpracowników D.W. N.K.N. dla ustalenia stanowiska D.W. wobec planów jego reorganizacji i wobec konferencji w Legionowie i Lublinie nie doszło do skutku, podpisani współpracownicy D.W. N.K.N. uważają za swój obowiązek – jako za pewne działy pracy formalnie odpowiedzialni, a poczuwający się do współodpowiedzialności obywatelskiej za działalność D.W. w ogóle – tą drogą poinformować JWP. Pułkownika o swym w powyższej sprawie stanowisku, czynią to zaś tym chętniej, że nie stoi ono w przeciwieństwie do stanowiska, o ile jest nam ono znane, JWP. Pułkownika.
1) Uważamy, że dotychczasowy stan rzeczy ulec musi zasadniczej zmianie. Dzisiejsze ograniczenie kompetencji D.W., ingerencja czynników postronnych, brak egzekutywy sprawiają, że a) D.W. jest już raczej z imienia tylko, nie z istoty rzeczy instytucją wojskową, b) poza daniem inicjatywy nie może D.W. przeprowadzić całego szeregu prac w poczuciu pełnej za nie odpowiedzialności.
2) Uważamy, że dla uporządkowania stosunków na tyłach, władza wojskowa nad instytucjami tyłowymi i kierownictwo prac pomocniczo-wojskowych winny być skupione w jednym ręku – raczej w D.W., niż w innych instytucjach legionowych.
3) Nie przesądzając kwestii, czy werbunek w Królestwie Polskim pozostanie w ręku Legionów, czy też zostanie oddany emisariuszom cywilnym, uważamy, że reorganizacja wojskowa winna w każdym razie zapewnić nań wpływ czynnikom obywatelskim.
4) Uważamy, że D.W. poza ogólną agitacją werbunkową winien trzymać się z dala od mieszania się w życie polityczne Królestwa Polskiego, a pamiętając o ważności skonsolidowania się opinii Królestwa, winien unikać pozoru wygrywania jednych partii przeciwko drugim, czy w oficjalnych wydawnictwach i enuncjacjach, czy w wystąpieniach pojedynczych współpracowników.
5) Uważamy – zgodni w tym z tradycją D.W. – że obok troski o utrzymanie i utrwalenie bytu D.W. przy określeniu stanowiska D.W. wobec zmian projektowanych – decydującym być winien również moment unikania walki lub choćby pozorów walki z lewicą NKN i lewicą Królestwa Polskiego, co w konsekwencji utrudniłoby w opinii społeczeństwa stanowisko D.W. i uprawniłoby ugrupowania prawicowe do większego na pracę D.W. wpływu.
6) Uważamy, że do pracy w D.W. winni być w pierwszym rzędzie użyci ludzie, mający wyrobione w Królestwie Polskim stosunki i znający dotychczasową działalność D.W. i jej podstawy ideowe z bezwzględnym wykluczeniem jednostek, skompromitowanych w opinii publicznej lub zaangażowanych zbytnio w walkach partyjnych.
Nie chcąc wywoływać pozorów organizowania w Łonie D.W. akcji o charakterze politycznym, nie zwracaliśmy się o podpisy do ludzi od niedawna biorących udział w pracach D.W. ani też dla braku czasu do współpracowników D.W. w Warszawie, Krakowie, Lwowie i na posterunkach werbunkowych. Autoryzowany odpis tego pisma składamy w archiwum D.W.
Z wyrazami głębokiego poważania i gotowości do dalszej lojalnej współpracy.
W Piotrkowie, dn. 24 maja 1916.” Następują podpisy nas sześciu.

25 maja, rok 1916, czwartek
Wczorajsze oświadczenie piśmienne do pułkownika Sikorskiego od grona lewicy współpracowników Departamentu podpisane zostało tylko przez nas sześciu,

wymienionych wczoraj przeze mnie; podpisali więc je: Piotr Górecki, szef Centralnego Biura Werbunkowego, jego zastępca Pohoski, podporucznik Rutkowski, świeżo mianowany oficerem werbunkowym, zdaje się – w Radomiu, mający dopiero od czerwca objąć te stanowisko, Waszkiewicz, jeden z cywilnych agentów biura werbunkowego, sierżant prof. dr Seweryn Krzemieniewski, sekretarz prezydium Departamentu i mój kolega ze skontrum kasowego, i ja. Żadnej akcji wśród ogółu współpracowników Departamentu na rzecz tego oświadczenia nie robiono, żadnych podpisów nie zbierano, przeciwnie – postanowiono rzecz zachować w ścisłej poufności w pośród nas sześciu. Ze współpracowników Departamentu zaliczają się do lewicy, to znaczy, że są zbliżeni do niepodległościowego obozu Piłsudskiego – Hugo Kaufman i Tadeusz Grabowski, obaj z Biura Prasowego, ale obaj na razie w Piotrkowie nieobecni. Nie należy przypuszczać, że ta „lewica" w Departamencie jest jakąś grupą zorganizowaną lub choćby jednolitą w przekonaniach. Bynajmniej. Nie są to piłsudczycy w ścisłym znaczeniu słowa, jak ci z niepodległościowego obozu w Królestwie, którzy Piłsudskiego rozkazów słuchają. Są oni „lewicą" w Departamencie dlatego, że nie zatracili ideowości, nie zostali manekinami, ślepo wykonującymi panujące u steru Departamentu prądy, i że usiłują znaleźć platformę wspólną, godzącą akcję Departamentu z żądaniami obozu Piłsudskiego. Są oni więc wewnątrz Departamentu tym elementem, który najbardziej strzeże obywatelskiej tradycji ruchu i przeciwstawia się krańcowym konsekwencjom polityki Downarowicza wnosząc wciąż korektyw z Piłsudskiego haseł.
Oświadczenie nasze wczorajsze postanowiono przesłać do Krakowa na ręce p. Heleny Radlińskiej, prowadzącą tam krakowską ekspozyturę Departamentu i ideowo należącej do lewicy niepodległościowej, z tym żeby p. Radlińska, uzupełniwszy jeszcze nasze podpisy podpisem własnym i ewentualnie jeszcze innymi podpisami krakowskich współpracowników, wręczyła je Sikorskiemu; gdyby wszakże Sikorski na obradach krakowskich miał przegrać kampanię, to w myśl zasady, że powalonego się nie bije, proszono p. Radlińską o niewręczanie mu wcale naszego oświadczenia.
Nie mogę powiedzieć, żebym oświadczenie nasze uważał za arcydzieło mądrości politycznej. Przede wszystkim, brak mu ścisłości programu. W punkcie pierwszym stwierdzono, że Departament na skutek różnych czynników jest już tylko z imienia instytucją wojskową, w punkcie zaś drugim żąda się, aby mu oddano wszystkie funkcje wojskowe Legionów na tyłach, o usunięciu zaś działania czynników, paraliżujących akcję wojskowo-obywatelską Departamentu nic się nie mówi. Nawet z tej ubogiej treści, którą z pierwotnego tekstu oświadczenia wczoraj cytowałem, wykreślono po naradzie szereg ustępów jaskrawszych, a w szczególności ten ustęp, jeden z najdosadniejszych, który brzmi: „a pamiętając o ważności skonsolidowania się opinii Królestwa D.W. winien unikać pozoru wygrywania jednych partii przeciwko drugim...". Po dokonaniu tych poprawek i skreśleń, w których zgładzono wszystkie wyrazistsze kawałki i pousuwano wszystkie kropki znad i, rzecz została blada i bezbarwna, operująca tylko ogólnikami, pełna niedomówień i otwierająca pole najróżniejszym domysłom co do istotnych intencji autorów oświadczenia. Nie brak też w niej niekonsekwencji, bo jakże można wyobrazić sobie akcję werbunkową (podkreślam: werbunkową, bo przecież nie poborową) bez mieszania się do polityki wewnętrznej w Królestwie. Werbunek wymaga jaskrawej agitacji politycznej i bez niej nie da się pomyśleć, a agitacja musi prowadzić do walki. Albo więc zaniechanie werbunku i niemieszanie się do polityki, albo werbunek i akcja polityczna; wyjście może być chyba takie, żeby sprawa werbunkowa była oddana do rąk samego społeczeństwa Królestwa, to znaczy ucywilniona i uobywatelniona, a Departament pozostał w stosunku do niej tylko ośrodkiem pomocniczo-technicznym, to znaczy żeby posterunki werbunkowe, z

natury rzeczy polityczne, nie były obsadzane przez agentów Departamentu, jeno oddane autonomicznie do rąk miejscowych organizacji społeczno-politycznych. Podobnie stawia tę rzecz Piłsudski. Oświadczenie „lewicy" Departamentowej godzi niby w urzędowe tendencje polityki Departamentowej, poniekąd, jak się domyślać należy, z niepodległościowo-obywatelskich założeń akcji Piłsudskiego, ale w istocie we wnioskach swych projektuje to, co właśnie się sprzeciwia wnioskom Piłsudskiego: Piłsudski chce ucywilnienia Departamentu i zaniechania wytężonego werbunku, gdy tymczasem tu się żąda oddania Departamentowi wszystkich wojskowych atrybucji Legionów na tyłach i kontynuowania akcji werbunkowej. Bo też tym się głównie różni „lewica" Departamentowa od obozu Piłsudskiego, że werbunek do Legionów uważa za rzecz konieczną. I istotnie sprawa werbunku jest najtrudniejszą bodaj sprawą w obecnym stadium ruchu.

26 maja, rok 1916, piątek
Kapitalną więc wadą pozawczorajszego oświadczenia „lewicy" współpracowników Departamentu jest jego niejasność i nieścisłość, brak zupełny logicznej jednolitości programu. Gdyby z tego oświadczenia wnioskować, czego właściwie ta „lewica" chce i jakie proponuje reformy, sam Salomon by tego nie określił. Nic by nie było łatwiejszego, jak zdruzgotać krytyką wszystkie punkty oświadczenia i wykazać, że właściwie autorzy sami nie wiedzą ściśle, czego chcą i której strony się trzymają. Nie na tym też polega jego wartość. Podpisałem je z innego względu. Ton też oświadczenia nie podoba mi się wcale. Jest to ton, w jakim przemawiają urzędnicy do swego przełożonego, nie zaś współobywatele; ton nie męski, połowiczny, gubiący w ogólnikach wątek myśli, jakby z chęcią zostawienia sobie furtki do cofnięcia się na wszelki wypadek. W istocie, skoro się stoi na stanowisku obywatelskim, skoro się traktuje Departament i jego akcję za cząstkę wielkiej wspólnie tworzonej Sprawy Polskiej, to się nie jest tylko urzędnikiem jakiejś instytucji w biurokratycznym systemie, ale czynnym rzecznikiem wspólnego dzieła, świadomym obywatelem, któremu wolno mieć swoje przekonanie i dążyć czynnie do jego realizacji. Tak traktując pracę w Departamencie – a trzeba przyznać, że zwłaszcza Sikorski (o Stanisławie Downarowiczu tego bym nie powiedział) pod tym względem jest bardzo *correct* i nie narzuca nigdy współpracownikom w kwestiach przekonaniowych swej władzy – nie byłoby żadnego wykroczenia przeciwko lojalizmowi stosunku wzajemnego, gdyby się wyraźnie w pogłębionym memoriale opinię swą przedstawiło w całej rozciągłości i w całym zakresie programu reform.
Pomimo to uważam, że złożone przez nas Sikorskiemu oświadczenie jest dobre i jest pożyteczne. Kto wie nawet, czy na razie właśnie takie niedomówione oświadczenie nie jest lepsze od zbyt kategorycznego. Jest dla Sikorskiego i Downarowicza *memento* – ostrzeżenie, że w samym łonie współpracowników Departamentu myśl krytyczna nie tylko kiełkuje, o czym oni wiedzą, ale już szuka pewnego wyrazu, już uważa za potrzebne wypowiedzieć się i coś sformułować; może to być dla mającego oczy i uszy i chcącego widzieć i słyszeć – ostrzeżeniem, że gdyby Sikorski z Downarowiczem chcieli się upierać do ostatka i trwać na swej akcji bez żadnych zastrzeżeń i ustępstw, to kiełkująca krytyka może się wyrodzić w akcję o wiele poważniejszą, a ataki na Departament i jego politykę, prowadzone z zewnątrz, mogą być poparte świadomym i planowym odruchem wewnątrz Departamentu. Sikorski, jako wrażliwszy i giętszy, z pewnością to wyczuje i zrozumie, Stanisław zaś Downarowicz, upartszy i twardszy od niego, zacieklejszy w swej polityce i opierający się bardziej na władzy wewnątrz Departamentu, niż na zasadach współobywatelstwa, będzie wściekły, gdy przeczyta nasze oświadczenie. Pomimo niejasności tekstu, zrozumieją oni dobrze, że myśl

protestu i krytyki płynie w „lewicy” współpracowników Departamentu z tych źródeł, które są zapłodnione ideą i programem Piłsudskiego. Oświadczenie zaś to pochodzi nie od samych tylko pionków Departamentowych, ale też od takich pracowników na stanowiskach odpowiedzialnych, jak Piotr Górecki, szef C. B. Werbunkowego. A Sikorski wie dobrze, że gdyby tych sześciu podpisanych pod oświadczeniem wystąpiło z akcją planową i rozszerzoną, zarządzając odpowiednią agitację wśród ogółu współpracowników, to ilość podpisów z sześciu wzrosłaby do kilkudziesięciu i to przeważnie ludzi najwybitniejszych, najbardziej niezależnych i myślących, najcenniejszych w działalności Departamentu w Królestwie, bo cóżby mógł Departament zdziałać, gdyby się miał na samych tylko biernych urzędnikach opierać.
Stanisław Downarowicz wrócił już z Krakowa. Dokładnej relacji z tego, jak się zakończyły tamte obrady, nie mam. Downarowicz zachowuje rezerwę i nie kwapi się z opowiadaniem tego, co zaszło; powiada tylko tyle, że to, czego pragnęła opozycja – „unicestwić nas”, jak się Downarowicz wyraża – nie udało się. Departament się utrzymał i nawet uchwalono mu podobno uznanie. Ale jak brzmi to uznanie – nie wiem. Downarowicz jednak miny triumfalnej nie ma. Sikorski aż dopiero koło 10 czerwca ma wrócić do Piotrkowa. Teraz na dobie jest ów zjazd w Lublinie – w sprawach Departamentu i związanych z tym zagadnień legionowych.

27 maja, rok 1916, sobota
Wczoraj otrzymałem list od Żenni Wolberg z Libawy, który nadszedł do Warszawy na ręce Ludwika Abramowicza w odpowiedzi na mój list sprzed kilku tygodni. Cieszę się, że wreszcie po roku przerwy zdołałem nawiązać kontakt z tymi biednymi kobietami, o których los byłem wielce zaniepokojony. Żenni z matką pozostały w Libawie. List Żenni tchnie wielką wdzięcznością dla mnie. Mój Boże, cóż im zrobiłem wielkiego w porównaniu do tego, czym była dla mnie ich siostra i córka – moja Aninka? Gdybyż Żenni Wolberg wiedziała, jak daleki jestem od świadczenia im „łaski” i za jaki elementarny i słaby wyraz obowiązku miłości dla Aninki uważam tę pamięć o nich! Zresztą poza pamięcią o nich, nic im prawie nie dałem. A wielkim głosem sumienia wołają do mnie słowa umierającej Aninki, bym nie zapominał o jej biednych samotnych matce i siostrze. Żenni z matką przebiedowały jakoś zimę, choć im ciężko być musiało, jak wnoszę z kilku słów listu. Teraz jest im widocznie nieco lżej, bo Żenni na moją propozycję przysłania im trochę pieniędzy, powiada, żeby na razie się wstrzymać i dopiero później, gdy napisze, przysłać, a dopiero w dopisku, wpisanym o kilka dni później, prosi o przysłanie drobnostki („Kleinigkeit”). Napiszę do Maryńki, aby im z moich pieniędzy n arazie choć ze 20 rubli posłała, jeżeli jest możność przesyłania pocztą lub jakaś inna okazja. Biedne kobiety! One, które same ciężką pracą muszą swój chleb powszedni zdobywać, samotne na świecie, opuszczone nawet przez rodzonego brata i syna, tchórza i egoisty, mającego niezły byt na obczyźnie, na dalekim Krymie i nie troszczącego się o nie, tak nie przywykły do tego, aby ktoś o nich pomyślał i coś serdeczniejszego miał dla nich, że dziwi ich i wdzięcznością przejmuje to, co z mej strony jest najnaturalniejszym i najprostszym odruchem stosunku, łączącego mię z ich i moją Aninką.
Ludwik Abramowicz odesłał mi skorygowany wzór podania do władz niemieckich o pozwolenie na wyjazd do Wilna wraz z pewnymi wskazówkami praktycznymi. Radzi, aby w podaniu starać się o pozwolenie tylko do jednego miejsca, bądź Wilna, bądź Bohdaniszek, bo to jest łatwiejsze do uzyskania, i by podanie wnosić nie *per procura*, lecz osobiście. Co do tego drugiego, to jest bardzo trudne do wykonania choćby dlatego, skąd bym wziął środki na pobyt w Warszawie, co obecnie jest rzeczą niezmiernie kosztowną.

Dowiedziałem się dziś treści rezolucji obrad krakowskich. Obrady te toczyły się, jak się okazuje, nie w łonie Komisji Politycznej Koła Polskiego, lecz Komisji Wykonawczej NKN. Rezolucje brzmią tak:
„I. Komisja Wykonawcza NKN, wysłuchawszy sprawozdania szefa D.W., przyjmuje je z uznaniem do wiadomości i wyraża mu pełne zaufanie, zaznaczając jednocześnie konieczność dalszej pracy D.W. na zasadzie samodzielności Legionów Polskich.
II. Równocześnie poleca się szefowi D.W., aby przedłożył NKN wnioski, zmierzające do porozumienia się NKN z grupami politycznymi i społecznymi Królestwa Polskiego w sprawie sposobu prowadzenia werbunku".
Rezolucja ta nie jest wyrazem zwycięstwa ani porażki Departamentu Wojskowego; jest ona czymś pośrednim; wprawdzie Departamentowi udzielono absolutorium za całą jego przeszłość, to znaczy nie chciano starych rzeczy sądzić, co by istotnie wywołało niepotrzebny zamęt, jednak na przyszłość nie uznano za jedyną racjonalną i doskonałą dotychczasową politykę Departamentu. W najważniejszej rzeczy, która jest właściwą osią całej polityki Departamentu –- w sprawie werbunkowej – uznano, że „sposób prowadzenia werbunku", to znaczy metody werbunkowej akcji, - nie ma być określany nadal wyłącznie przez sam Departament, ale powinien być wyrazem porozumienia się NKN-u z „grupami politycznymi i społecznymi Królestwa Polskiego", to znaczy ma być tworzony wspólnie. Sikorskiemu, co jest aktem kurtuazji względem niego, polecono tylko przedstawić wnioski co do tego porozumienia się, ale nie co do samego „sposobu prowadzenia werbunku". Kwestię więc „sposobu prowadzenia werbunku" wyłączono z samodzielnej kompetencji Departamentu i w tym niewątpliwie jest pewien sukces lewicy, która domagała się uspołecznienia w Królestwie sprawy werbunkowej. Że właśnie Sikorskiemu polecono opracowanie urzędowe wniosków w sprawie porozumienia się, jest to łatwo zrozumiały akt kurtuazji, która mu się należała słusznie, ponieważ to od niego się obecnie odbiera werbunkową samodzielność i ponieważ on dotąd werbunkiem wyłącznie kierował, a nie ma racji, by go jeszcze krzywdzić i, odbierając mu dotychczasową samodzielność, brutalnie go omijać w sprawie formalnej inicjatywy nowej metody działania. Faktycznie przedstawienie wniosków, czyli inicjatywa formalna, którą Sikorskiemu jako słodką pigułkę oddano, nie jest zbyt daleko idącym usamodzielnieniem jego stanowiska w tej sprawie. Z pewnością bowiem lewica NKN-u będzie miała opracowane także swoje własne wnioski, którymi będzie kontrolować i poprawiać, ewentualnie przeciwstawiać wnioskom Sikorskiego. Wobec tego, że rezolucja powyższa, udzielając absolutorium Departamentowi, zostawia na przyszłość kwestię otwartą, prof. Krzemieniewski zaprojektował, abyśmy my, którzyśmy się podpisali w sześciu pod onegdajszym oświadczeniem do Sikorskiego, zebrali się i porozumieli co do zasad programu reformy. Uważam to za rzecz dobrą, która może wpłynąć na skonsolidowanie lewicy w Departamencie i nawet ewentualnie na wszczęcie akcji, gdyby zaszła potrzeba po temu.

28 maja, rok 1916, niedziela
Nic w dniu dzisiejszym nie zaszło godnego uwagi. Dzień był ciepły, letni, niedziela, jeden z tych dni, kiedy zwłaszcza pod wieczór tęsknota rozsadza pierś człowieka, samotność mu ciąży, pragnienie barw i rzeczy wielkich w życiu tak boleśnie się kłóci z szarzyzną i próżnią powszednią. Wtedy najżywiej tętni moje pragnienie wyjazdu na Litwę i pragnienie czynu żywego, który mię tam czeka. A w Piotrkowie w Departamencie cisza głucha i nuda powolna, ospała. W tych dniach wysyłam do Pomorskiego moje podanie o pozwolenie na wyjazd do Wilna, z prośbą, aby je w mym imieniu złożył do odpowiedniego urzędu niemieckiego, a za parę dni rozpocznę prace

nad memoriałem w Sprawie Litewskiej, który zamierzam złożyć do CKN-u w Warszawie.
Dopóki mam przed sobą ewentualność wyjazdu na Litwę i dopóki ponawiam wysiłki w tym kierunku, dopóty mam jeszcze mój cel własny przed sobą i dopóty godzę się z moją przynależnością do Departamentu. Ale jeżeli to ostatecznie zawiedzie i jeżeli się okaże również niepodobieństwo dostania się do Wilna drogami nielegalnymi, skoro legalne będą już całkiem wykluczone (prosiłem Kunowskiego, który wczoraj na dwa tygodnie do Warszawy wyjechał, aby się tam poinformował w kołach P.O.W., czy ma ona jakiekolwiek drogi), to jeszcze spróbuję Maryńkę do Piotrkowa lub Warszawy sprowadzić, a wtedy nie pozostanie mi zapewne nic innego, jak wrócić po prostu na linię do szeregu. Zaprzęgać się do służby wewnętrznej politycznej w Królestwie i utonąć w niej na jakiejś prowincji, tracąc litewski charakter mego udziału w ruchu – nie bardzo sobie życzę, a zostawać w Departamencie, którego polityce w jej obecnej formie i tendencjach coraz mniej sprzyjam – nie chcę. Nie lubię roli niewyraźnej i stanowiska połowicznego. Uważam, że gdy się służy jakiejś sprawie, której się ideowo niezupełnie sprzyja, to albo się niesumiennie obowiązki spełnia, albo się mimo woli, przez sam fakt formalnego stanięcia pod jej sztandarem, ją popiera. Być z przekonania wyznawcą kierunku Piłsudskiego, a siedzieć i być współpracownikiem Departamentu, którego akcja przeciwstawia się linii Piłsudskiego – to jest albo nielojalne, albo nieszczere. Wszak przydzielony zostałem do Departamentu tylko ze względu na mój ewentualny wyjazd do Wilna, tylko w tym celu specjalnym, nie zaś bynajmniej dla współpracy wewnętrznej. Tymczasem przez sam fakt odwlekania się terminu tego wyjazdu, przez długość siedzenia w Piotrkowie i przez rozpływanie się tego wyjazdu w ogólnikowej niepewności, siłą rzeczy coraz bardziej staję się rzeczywiście do Departamentu przynależnym jako jednostka w ogólnym zespole jego współpracowników. Toteż gdy np. przed kilku dniami zaproszono mię do udziału w owym oświadczeniu „lewicy” współpracowników do Sikorskiego, nie mogłem już umyć rąk jako człowiek bezstronny, nie należący do Departamentu. Byłoby to nieprawdziwe. A takie akty już bądź co bądź wiążą mię z Departamentem i ujmują w sferę jego całości. Będąc zaś w Departamencie, biorę na siebie cząstkę odpowiedzialności i sam mu w pewnej mierze firmy mojej (rezerwując wszelkie proporcje) udzielam. Tak jest. Czuję to i wiem dobrze.
Przed obiadem zwiedzałem lokal Centralnego Biura Szkolnego, w którym rządzi p. Praus. Byłem zachwycony obywatelską pracą tej instytucji, która powstała i rozwija się znakomicie ofiarną wolą i czynem niewielkiego zastępu ideowych ludzi, świadomych swoich dążeń i umiejących konkretnie tworzyć najrzetelniejsze podstawy samodzielności narodowej. Ten lokal z kilku pokoi w oficynie przy ul. Rokszyckiej jest wielką kuźnicą samopomocy narodowej w dziedzinie organizacji i upowszechniania oświaty. Wyszedłem stamtąd pod wielkim wrażeniem. Ci ludzie pracą stwarzają elementy wolności. Ich robota, w idei niepodległościowej poczęta, a daleka od polemik i wrzawy międzypartyjnej, jest jednym z zasadniczych atutów ruchu polskiego w tym momencie dziejowym.

29 maja, rok 1916, poniedziałek
Znowu odbyło się w gabinecie u Banaszewskiego następne zebrańko z szeregu tych, co były przez Rostworowskiego zainicjowane. Między innymi, uchwalono dziś na nim, żeby się zbierać periodycznie, w jakiś jeden stały dzień w tygodniu, prawdopodobnie w poniedziałki. Uznano też, że każdy z uczestników może wprowadzać na te zebrania gości; dano przez to wyraz zaufania do wszystkich uczestników, licząc na to, że będą wprowadzać tylko odpowiednie elementy i nie obawiając się zbytniego rozrostu zebrań,

ponieważ ostaną się tylko ci, których istotnie interesują pogadanki na tematy publiczne i legionowe, a wszyscy inni, którzy by szukali w tych zebraniach rozrywki, tj. zabawy, a nie znajdą jej, odpadną sami. Rostworowski postanowił od następnego zebrania protokołować obrady, aby został na przyszłość ich ślad. Pomysł tych zebrań okazał się żywotny. Tym lepiej. Bądź co bądź, stanowią one wymianę zdań, pewien zaczyn wspólnego orientowania się w różnych zagadnieniach i potrzebach ruchu, pewna atmosferę inteligentną i czynnik świadomego stosunku do spraw aktualnych. W atmosferze Piotrkowa, gdzie środowisko oficerów Legionów tonie w próżniaczym karciarstwie i uciechach niższego rzędu, jest to odruch dodatni. Zgłosiłem dziś i ja referat o Sprawie Litewskiej wobec Sprawy Polskiej – na jedno z następnych zebrań.
Na dzisiejszym zebraniu obecni byli z legionistów: oficerowie Rostworowski, Rutkowski, Głuchowski, Nowakowski, sierżanci Krzemieniewski i jeden ze Starzewskich, bez szarż – Ryszkiewicz, Marian Dąbrowski i ja, a z cywilnych: Piotr Górecki, redaktor Zagórski i dr Kot.
Zebrańko dzisiejsze, może z powodu, że było nieliczne i że temat poruszony był żywy, dotykający najaktualniejszych dziś wewnętrznych spraw ruchu, było ożywione i ciekawe. Wszyscy wypowiadali się swobodnie, zdania były wprawdzie podzielone, ale indywidualnie zarysowane, nie szablonowe. Pogadanka przeciągnęła się od godz. 9 do godz. 1 w nocy.
Przedmiotem obrad był stosunek Legionów do młodzieży akademickiej w Warszawie. Asumpt do tego dał mały artykulik wstępny w ostatnim czy w jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Ilustrowanego”, pisany, jak się domyślano, przez Dębickiego. Artykulik ten wyraża zachwyt Warszawy nad młodzieżą akademicką, którą wreszcie stolica Polski posiada. Pisany jest w tonie zachwytu nad wszystkim, co młodzież tę w jej najpozorniejszych, najbardziej płytkich objawach cechuje, omal że nie z rozczuleniem nad jej czapeczkami barwnymi, nad jej flirtem, uciechami po ogródkach, ulicach i widowiskach itd. z wyraźnym przeciwstawieniem jej, którą artykulik nazywa „złotym Legionem”, tej drugiej młodzieży ze zbrojnego Legionu, która od dwóch lat walczy krwawo w szeregu z Moskalem, znacząc swoją dla Polski ofiarę, i która dziś na poleskich bagnach Wołynia pełni symboliczną straż Rzeczypospolitej. Autor artykułu nie wspominając wyraźnie o rycerzach Polski z Legionów, ale tendencją swego artykuliku jaskrawie przeciwstawiając „czyn ”młodzieży akademickiej czynowi młodzieży legionowej, zdaje się za jedyną narodową zasługę, za jedyną wartość trwałą w Polsce w dziejach Wielkiej Wojny światowej uważać figurowanie na ulicach Warszawy, po jej ogródkach, alejach i salach widowisk – tej młodzieży zadomowionej, młodzieży akademickiej, ostoi i podpory społeczeństwa. A robi to niezwykle płytko, bo w samych pozorach, w samych dekoracyjnych gestach upatruje cnotę straży narodowego obyczaju, honoru itd. Na ten artykulik, nacechowany instynktem kołtunerii, przepojony duchem polityki bezwładu, ugody i niewolnictwa, w która się stoczyła, niestety, wielka masa narodu w Królestwie ze swą prasą stołeczną na czele, napisał chorąży Nowakowski odpowiedź-satyrę, do parodii doprowadzającą leit-motyw „Tygodnika”. Odpowiedź Nowakowskiego jest świetną próbką satyry, tryskającą dowcipem pamfletu, chłoszczącej niemiłosiernie kołtuńskie tchórzostwo i głupotę tego, co idealizuje i na piedestał wynosi artykulik Dębickiego.

30 maja, rok 1916, wtorek
Nic wielkiego nie zaszło dzisiaj, toteż w dalszym ciągu pisać będę o pogadance wczorajszej. Rostworowski odczytał w zagajeniu artykulik z „Tygodnika Ilustrowanego” i w rękopisie odpowiedź-satyrę Nowakowskiego. Co dziwnego, że młodzież Legionów gorycz zalewa, gdy widzi, jak się jej wysiłek krwawy piórem

kołtunów profanuje i jak się jej ofierze, z boskiego zapału poczętej, a w męce i bólu nie tylko fizycznym, ale stokroć bardziej moralnym spełnianej, przeciwstawia rzeczy małe i próżne, w gestach, w ładnych czapeczkach, flircie, przechadzkach i choćby nawet pracowitym uczęszczaniu na wykłady streszczanych! Być może nawet, że jej czyn ofiarny, krwią własną stwierdzony, zmarnowany zostanie w grze wielkich wypadków katastrofy dziejowej! Sama ona, niestety, nie ma pewności, że czyn jej spełni to, co jego ideą było – Polski wolność i niepodległość. Nie ma pewności, bo któż ją i kiedyż w takich katastrofach mieć może, ale ma instynkt, że czyn jej ofiary po tej właśnie linii iść musiał i idzie. Z tego zagajenia odczytanych dwóch rzeczy wyłonił się w pogadance cały szereg elementów i stosunek do Uniwersytetu Warszawskiego, do młodzieży akademickiej w Warszawie, do tego rodzaju kołtuńskiego traktowania wartości narodowych, jak w artykule „Tygodnika”, dalej stosunek wzajemny sprawy Legionów i ruchu zbrojnego do sprawy tzw. organicznej pracy poza sferą polityczną, wreszcie kwestia Legionów jako taka w jej obecnym stanowisku. Wszystkie te elementy mieszały się w przemówieniach poszczególnych uczestników zebrania. W szczególności omawiano, czy warto odpowiadać na artykuł „Tygodnika Ilustrowanego”, czy w ogóle warto w jakikolwiek sposób reagować na to, czego objawem jest ten artykuł, i jeżeli warto, to jak i w jakim kierunku, i czy stosowną jest odpowiedź-satyra Nowakowskiego. Już pierwszy z mówców, Adam Zagórski, zaznaczył, że odpowiedź Nowakowskiego godzi bardziej w młodzież akademicką warszawską, niż w autora artykułu w „Tygodniku” i jego współwyznawców, za którego młodzież nie może odpowiadać. Wszyscy, zdaje się, ogólnie godzili się na to, że w stosunku do tej polityki niewolnictwa, ugody i bezwładu, która wszelkiego czynu się boi i ma zawsze jedyne hasło i mądrość – gaszenie wszelkiego ognia i twórczego ruchu, należy zerwać ze wszelką kurtuazją i chłostać, nie czekając, aż z upodlenia urodzi się nagle jakieś odrodzenie i wytryśnie coś żywego, gdzie tylko podłość i rozkład panować mogą. Ale co do warszawskiej młodzieży akademickiej – to co innego. Wprawdzie wskazywali niektórzy, że w młodzieży tej przeważa rzeczywiście pierwiastek karierowiczowski, czego dużo się ujawniło i wciąż ujawnia symptomatów, a co zresztą jest bardzo zrozumiałe z wielu względów i w szczególności w takim czasie, gdy znaczna część najżywszej, najbardziej wyrobionej i najwrażliwszej ideowo młodzieży poszła do Legionów, ale skądinąd niepodobna przypuścić, aby cała młodzież akademicka była wyłącznie karierowiczostwa wyrazem; wiadomo, że młodzież w bardzo dużym stopniu oddziaływa w Warszawie na rzecz tego zwrotu sympatycznego dla Legionów, który się w stolicy akcentuje, wiadomo też, że do P.O.W. młodzież ta się garnie. Im więcej o tym mówiono, tym bardziej się zarysowywało, że młodzieży w czambuł potępiać i utożsamiać z tendencją owych artykułów pp. Dębickich nie należy, że natomiast warto postarać się o nawiązanie kontaktu i porozumienia między nią, oczywiście jej elementami ideowymi, nie zaś karierowiczowskimi, a młodzieżą legionową, że wreszcie, jeżeli ma być kontrakcja przeciwko polityce bezwładu i hasłom niewolnictwa, jak głoszona w omawianym artykule, profanującym w istocie młodzież akademicką, to najskuteczniejszą by ona była z łona samej młodzieży akademickiej, do czego warto byłoby usiłowania skierować. Ja zaś w szczególności podniosłem głos w imię nawiązania węzłów solidarności i porozumienia między młodzieżą z Legionów a młodzieżą czy to z P.O.W., czy w ogóle z obozu niepodległościowego tej linii, która się przeciw forsowaniu werbunku do Legionów zwraca, ponieważ, moim zdaniem, dzieło Legionów i dzieło obecnej antywerbunkowej linii niepodległościowej nie przeciwstawiają się sobie, lecz wzajemnie uzupełniają.
Dziś wysłałem do Pomorskiego do Warszawy moje podanie o pozwolenie na wyjazd do Wilna, prosząc go o wniesienie tegoż do odpowiednich władz niemieckich

Rano na prośbę Kota napisałem uzupełnienie notatki Kunowskiego na temat „Sprawa litewska w prasie niemieckiej". Przeznaczone to jest do rubryki „Sprawa polska u obcych", stale w „Wiadomościach Polskich" umieszczanej, a prowadzonej zazwyczaj przez Hugona Kaufmana, bawiącego chwilowo na urlopie. Notatka Kunowskiego jest dobra, demaskująca perfidię publicystyki niemieckiej w stosunku do Litwy i Litwinów i zarazem poważnie narodową kwestię litewską traktująca. Mój dodatek uzupełniający udał mi się dobrze.

31 maja, rok 1916, środa

Dowiedziałem się wieczorem od Przysieckiego, jednego ze współpracowników „Dziennika Narodowego", że nadszedł świeży komunikat austriacki, który będzie opublikowany jutro, zawierający wiadomość o zajęciu przez Austriaków – Arsiero i Asiago. Są to dwie twierdze włoskie, położone w Alpach w pobliżu Tyrolu, broniące dostępu do północno-włoskiej Doliny Weneckiej. Zdobycie ich stanowi wielki krok w ofensywie austriackiej. Dzień po dniu padały poszczególne forty i Austriacy posuwali się wciąż naprzód, wypierając Włochów z góry na górę, ze stanowiska na stanowisko. Ale na przedzie przed nimi stały Arsiero i Asiago, jak dwie potężne zapory, dwa klucze alpejskie zamykające dostęp do doliny. Dopiero po ich wzięciu otwiera się Austriakom perspektywa przekroczenia Alp i wyjścia na dolinę z ewentualnym pochodem na Vicenzę i ewentualnymi tego skutkami. Sukces to znakomity. Zdawało się, że Arsiero i Asiago jeszcze się długo opierać będą jak dwa potwory górskie, pochłaniające skutecznie lwią część wysiłków zdobywcy. I oto oba naraz padły. Gdzież są sny włoskie o Trentino i Trieście, o *terra irredenta,* od przeklętych „Tedesców" na rzecz Italii odzyskanej!

Rozpocząłem dziś pisanie memoriału do CKN-u w Sprawie Litewskiej. Zresztą dopiero parę zdań wstępnych napisałem.

Nie wiem, czy dojdzie do skutku zaprojektowane przez Krzemieniewskiego i gorąco poparte przeze mnie zebranie grona tych współpracowników Departamentu z tzw. „lewicy", którzy podpisali oświadczenie do Sikorskiego z d. 24 maja, w celu naradzenia się w sprawie postulatów reorganizacji Departamentu. Zebranie to uważałbym za bardzo pożądane, a ponieważ tu nie chodzi jeszcze na razie o wszczęcie jakiejś akcji natychmiastowej wewnątrz Departamentu, jeno dopiero o porozumienie się wzajemne co do samej istoty i kierunku zagadnienia, więc uważałem, że można byłoby się zebrać w nieco szerszym, aczkolwiek zaufanym i mniej więcej pokrewnym sobie gronie osób, nie ograniczając się bezwzględnie współpracownikami D.W., i w szczególności zaprosić także Prausa, kierownika Centr. Biura Szkolnego, człowieka rozumnego i bardzo godnego zaufania, konsekwentnego zwolennika lewicy niepodległościowej i programu Piłsudskiego. Dla projektu tego pozyskany też został podporucznik Rutkowski, ale cóż, kiedy Górecki, któremu Krzemieniewski już o tym mówił, nie kwapi się wcale ze zwołaniem takiego zebrania, a Rutkowski i Krzemieniewski uważają, że inicjatywa powinna formalnie należeć do Góreckiego, który zainicjował także owo oświadczenie z 24 maja. Zdaje mi się, że Górecki jest podszyty tchórzem i że ostatecznie „lewicowość" jego jest bardzo wątpliwej marki, bardzo połowiczna, jak zresztą większości tej „lewicy" Departamentowej. Nie czuje on zbyt wielkiego zachwiania pozycji Departamentowej, toteż woli wyczekać, aż się pozycja trochę wyklaruje i się okaże, jak stoją akcje Departamentu. A tymczasem Rutkowski już zaraz wyjedzie dla objęcia stanowiska werbunkowego, a wkrótce już i Sikorski z Downarowiczem wrócą z konferencji, która się odbywa obecnie w tych sprawach w Legionowie czy Lublinie i wtedy będzie już znacznie trudniej urządzić takie zebranie, niż w nieobecności szefów. Wtedy będzie to miało większy charakter jakiegoś spisku

przeciwko szefom, niż teraz, gdy ich nie ma i gdy można się naradzać, nie nadając temu pozorów tajemnicy przed nimi; a wszystkiego, co spiskiem pachnieć będzie, ta nasza „lewica" Departamentowa boi się jak ognia, pozorując obawę lojalizmem. Mam wrażenie, że Górecki i nie on jeden z tej sławetnej „lewicy" należy do tej kategorii zuchów, o których Moskale mówią: „Молодецъ – против овецъ, а против молодца самъ какъ овца", do kategorji śmiałków, co to są zawsze odważni, gdy chodzi o kopnięcie powalonego, aby się zawczasu zsolidaryzować ze zwycięzcą i stanąć też do uczestnictwa w zyskach nowego stanu rzeczy przez wykazanie się zasługą wymierzania także ciosów zwyciężonemu, ale gdy chodzi o walkę z silnym, to wolą być ostrożni i nie wysuwać się na czoło. Nie stosuję tego do Krzemieniewskiego, bo ten, zdaje się, szczerze i sumiennie usiłuje poznać prawdę i nią się kierować, tylko że jeszcze nie ma ustalonego całkowicie w tych ciężkich sprawach przekonania.
Zamierzam w tych dniach wrócić w dzienniku do mych wspomnień czysto legionowych, o ile mi miejsce i brak aktualnych wydarzeń na to pozwoli.

1 czerwca, rok 1916, czwartek
Z okazji zdobycia Arsiero i Asiago władze austriackie zarządziły dziś uroczysty „Fackelzug" po ulicach Piotrkowa. Poza tym, nic w dniu dzisiejszym nie zaszło, co by było godnym zanotowania w dzienniku. Toteż zwrócę się do uzupełnienia moich notatek legionowych w dzienniku.
Zacznę od rzeczy brzydkiej, ale charakterystycznej w życiu żołnierskim: są to żołnierskie zaklęcia popularne, połajanki utarte i pewne wyrażenia dosadne lub charakterystyczne. Kto ma uszy delikatne lub w ogóle zachować chce wykwintny smak, ten niech porzuci tę kartkę, nie czytając jej wcale, bo mu uszy zwiędną: będę słowa nazywał po imieniu, bez żadnego pardonu, nie krępując się ich najordynarnieszym brzmieniem. Żołnierz w życiu koszarowym, a tym bardziej w polu na wojnie – kląć umie i, niestety, kląć musi. Twarde warunki życia, niewygody, zmęczenie, trudy i znoje wyczerpujące, z grożącą mu wciąż najrealniej, jak powszednie zjawisko, śmiercią lub raną i kalectwem, życie przygodne, pełne przerażających niespodzianek – wszystko to usposabia żołnierza do obfitego pokrapiania swoich trosk i ciężarów zaklęciem. Człowiek gruboskórnieje na wojnie, traci wytworność towarzyskich form i zwyczajów, a zresztą upraszcza się w swoich uczuciach i myślach, a przeto i we wszelkich swoich wyrazach zewnętrznych. Pamiętam, że gdym się na linię dostał i gdy mię raziły ordynarne słowa zaklęć żołnierskich, używanych nieraz przez chłopców inteligentnych i z gruntu dobrze wychowanych, towarzysze moi żartowali ze mnie, twierdząc, że niech dłużej na linii pobędę, a sam się tych zaklęć używać nauczę; mówili, że nie pierwszy to raz ktoś nowy, przybywający do szeregu, wpierw się gorszy i krzywi, a wkrótce potem sam już klnie w najlepsze. Wprawdzie nie doszedłem w tym nigdy do perfekcji i tych kapitalnych, najwyższej marki zaklęć do repertuaru mego nie przyswoiłem, jednak przyznaję, że, jako norma ogólna, towarzysze moi mają rację. Trudno żołnierzowi w linii nie kląć i trudno w tym specjalnym klęciu żołnierskim dobierać słów umiarkowanych. Im zaklęcie jest dosadniejsze, im mocniejsze w wyrazie, a przeto i ordynarniejsze, tym bardziej odpowiada potrzebie żołnierza i tym lepiej się popularyzuje i utrwala. Klnąc, żołnierz w słowa zaklęcia wkłada całą swoją złość, cały swój odruch na to, co spowodowało zaklęcie. I to mu sprawia ulgę, bo daje ujście odruchowi, służy za formę odwetu z jego strony na ciążący mu czynnik zewnętrzny i równoważy doznawany ciężar. Żołnierz na wojnie musi być karny i posłuszny. Nie wolno mu czegoś nie spełnić i nie znieść, nie wolno bronić się czynnym odruchem własnej woli przeciwko koniecznościom wojennym bez względu na ich ciężar. Jedyna jego obrona, jedyny odruch – to zaklęcie. Mam wrażenie, że na wypoczynku, w

rezerwie, w czasie walk pozycyjnych, jak teraz, żołnierz nasz klnie mniej. Ale tak, jak w jesieni, kiedy ja byłem na linii, w tej uciążliwej kampanii poleskiej – żołnierz Legionów klął, aż się wszystko trzęsło. Gdym był teraz w plutonie moim na wizycie jednodniowej, zdaje mi się, że tych zaklęć słychać było mniej; ale to może złudzenie, bo bądź co bądź byłem gościem, wobec którego żołnierze miarkują się, odnajdując w sobie przeżytki dawnej przedwojennej kurtuazji towarzyskiej i okraszając nią nawet koleżeński stosunek; zresztą jednodniowa przelotna wizyta to za mały sprawdzian. Byli wprawdzie w naszym plutonie żołnierze, którzy nigdy, o ile sobie przypominam, nawet w tej kampanii poleskiej, nie używali pewnych najordynarniejszych zaklęć, ale takich było bardzo mało. Takim był np. Knapczyk lub z nowych żołnierzy, Lubliniaków, Komacki i Grzmot. U Grzmota jedynym, zdaje się, wyrazem dosadnym i charakterystycznym było: „byczo!" „byczy"; ale to nie zaklęcie właściwie. Pamiętam, że gdym w Trojanówce w rezerwie kwaterował z Knapczykiem, Komackim, Grzmotem i ex-szóstakiem, cichym Wejcherem, to z dumą i uznaniem konstatowałem wobec innych kolegów, że oto przez cały dzień nie usłyszałem słowa „kurwa". Na ogół jednak prawie wszyscy klną i to potężnie. Królową zaklęć w Legionach jest „kurwa" i „nasermater". Te dwa wyrazy mogą rywalizować o koronę w sferze zaklęć. Być może, że słowo „kurwa" w różnych odmianach i kombinacjach jest więcej razy wymawiane, niż „nasermater", ale „nasermater" jest specyficzniejsze, bardziej charakterystyczne i bardziej lubiane. Na razie nie mogłem zrozumieć, co znaczy to słowo, tak często powtarzane. Myślałem, że ma jakiś związek z ludem Sarmatów, od których się legendowo wywodzą Polacy. Raz na kwaterze w Zajaczewce, gdy Dziengiel zaklął „nasermater!", spytałem towarzyszy, co to znaczy. Powstał śmiech ogólny na tak naiwne zapytanie. Odpowiedziano mi, że to polsko-łacińska kombinacja niby to słów „srać", „nasrać" i „matka" – „mater". „Naser-mater" z pewnością niezbyt wytworne w tym oświetleniu, pochodzi, jak się później dowiedziałem, ze Lwowa. Tam powstało ono śród żaków szkolnych i uliczników, bardzo popularne w tej sferze. Stamtąd przez Lwowiaków przeszło do Legionów i tu się bardzo rozpowszechniło i utrwaliło. „Nasermater" oznacza najwyższy wyraz abnegacji i w tym przeważnie znaczeniu się używa. Poniekąd ma podobne znaczenie, co rosyjskie „наплевать", tylko silniejsze w wyrazie i z bardziej urozmaiconym zastosowaniem. Abnegacja, pogarda, podeptanie lub odtrącenie czegoś – oto sens „nasermater".

2 czerwca, rok 1916, piątek
Dzisiejsza kartka dziennika również się nie nadaje dla uszu delikatnych i wrażliwych oraz dla panien dobrze wychowanych. „Pendant" do „nasermater" stanowi w popularnych zaklęciach legionowych „kurwa". Słowo to używa się tak w czystym swoim stanie, jak w różnych połączeniach, odmianach i kombinacjach. Spopularyzowało się ono i spowszedniało tak, że straciło niemal swoje znaczenie obraźliwe. „Kurwa", jak wiadomo, służy do wszelkiego użytku w zaspokojeniu najniższych instynktów płciowych i jest przeto wyrazem największego upodlenia i zupełnego pohańbienia godności ludzkiej. Wszystkie inne słowa, używane na określenie tego pojęcia, jak prostytutka, kokota, dziwka – mają bądź co bądź pewna względność, coś niby jeszcze szczątkowo kurtuazyjnego, pozostawiającego jeszcze coś z ludzkości. Kurwa zaś – to już samo słowo przez się wyraża najplugawszą postać tego pojęcia. To więc słowo, jako najdogodniejsze, zyskało w mowie żołnierzy prawo obywatelstwa dla zaklęć, wyrażających największe zmaltretowanie, szczyt wyzwiska. W swojej prostej postaci, bez połączeń i kombinacji, byłoby ono, jak się zdaje, już dość silne; ale to jeszcze żołnierzowi nie wystarcza; wymyślił on dla niego kombinacje jeszcze złośliwsze, jeszcze bardziej maltretujące: do takich należy słowo „skurwysyn", które

tak w gwarze żołnierskiej spospolitowało się, że czasem nawet używa się niemal w pieszczotliwym, a przynajmniej w żartobliwie przyjacielskim znaczeniu; gorszym jeszcze jest zaklęcie „kurwa-mać”, używane często jeszcze z personalnym podkreśleniem „kurwa twoja mać’ albo „kurwa jego (ich, jej, wasza itd.) mać”, a już szczytem szczytów są takie kwiatki kombinacyjne, jak „kurwa twoja mać zasrana” albo „kurwa była jego mać zajebana”; „kurwa mać” stosuje się zresztą nie tylko do ludzi, ale i do zbiorowości różnych, do zwierząt, nawet okolicznościowo do przedmiotów martwych i zjawisk, gdy żołnierz jest zły na coś i personifikuje je dla zyskania możności zmaltretowania ich. Łagodniejszą kombinacją „kurwy” jest takie zaklęcie, jak „kurwa-noga”, pozbawione właściwie sensu, ale nie wiadomo dlaczego używane; jest to forma zaklęcia ogólnikowa, bez personifikacji; jest to już pewnym uwytwornieniem tego zaklęcia. Poza tym, używane są licznie inne kombinacje „kurwy”, nieraz lokalne, gdzieś w jakimś jednym plutonie lub kompanii wymyślone i stosowane. W ogóle, te zaklęcia, które cytuję, to są ogólnolegionowe, a poza tym pełno jest lokalnych, bo pomysłowość w ich tworzeniu jest niewyczerpana. Jest też pewna forma zaklęcia, która stanowi żartobliwą odmianę kapitalnego zaklęcia „kurwy”; jest to już rodzaj „usalonowienia” tego zaklęcia, obliczony żartobliwie na to, aby dać możność „w najlepszym towarzystwie” pofolgować sobie i podług zwyczaju-nałogu przynajmniej pierwsza sylabę popularnej „kurwy” za siebie wyrzucić, dając jej zakończenie jak najniewinniejsze; zaklęcie to brzmi: „kur-czę pieczone”, przy czym na pierwszą sylabę „kur” kładzie się nacisk i robi się po nim pauzę; czasem to brzmi jeszcze dłużej: „kur–czę pieczone, jajka smażone”, ot tak sobie ogólnik bez sensu. Tą samą metodą utworzono „salonowy” odpowiednik do „nasermater”, brzmiący „nas-ypali piasku” z takim samym akcentowaniem pierwszej sylaby „nas” i pauzą po niej. W porównaniu do „nasermater” i „kurwy”, inne zaklęcia są o wiele mniej popularne i powszechne oraz przeważnie umiarkowańsze. „Cholera”, tak rozpowszechniona w ostatnich latach w zaklęciach młodzieży polskiej, w Legionach jest mało używana; „kurwa” ja wyrugowała; może dlatego, że z cholerą, jako chorobą, się oswojono; widziano ja w czasie wojny, ale dziś przestała ona być straszna, bo medycyna i zwłaszcza zarządzenia sanitarne wyrwały tej chorobie jej złośliwe żądło; dziś cholera już prawie że przestała być chorobą epidemiczną i śmiertelną. Czasem do zaklęcia „cholera” dodaje się przymiotnik „jasna cholera” (dlaczego jasna – nie wiem). Do zaklęć używany też bywa często w żołnierskim leksykonie przymiotnik „sakramencki”, służący spotęgowaniu zaklęcia: „kurwa sakramencka” itp. Dalej jest w użyciu kilka słów, wziętych żywcem z odpowiedniej gwary rosyjskiej; do takich należy słowo „chuj”, używane jednak niezbyt często i, rzecz dziwna, służące przeważnie do określenia niedołęgi, człowieka głupiego, niezdarnego i zarazem gruboskórnego, prostaka. Używa się też w pewnych odmianach rosyjskie wulgarne słowo „jebać”; mówi się na przykład: „ja ciebie jebię”, co ma znaczyć mniej więcej: wystrycham ciebie na dudka, kpię z ciebie, mam cię za nic. W zupełnie swoistym znaczeniu występuje oryginalna polsko-rosyjska kombinacja słów: „jebał pies”; wyrażenie to oznacza: robić coś na chybił trafił, na byle jak, bez metody i bez planu, niedbale; mówią, na przykład: „strzelał na jebał pies”, „uciekał na jebał pies”. Opowiadają żołnierze w naszym plutonie, że razu pewnego nasz porucznik Dąb, zniecierpliwiony jakąś akcją, wydał rozkaz ataku „na jebał pies”, to znaczy na oślep, na „było nie było”. Jest to właśnie określenie takiego typowego niedbalstwa i robienia czegoś na oślep. Chyba że geneza tego jest w podpatrzeniu załatwiania tej czynności rozpłodowej przez psa – byle prędzej, byle jak, na łeb na szyję, na złamanie karku.

3 czerwca, rok 1916, sobota

W depeszach gazet dzisiejszych jest wielka nowina z wojny: wielka bitwa morska gdzieś w okolicach Cieśnin Duńskich na Morzu Północnym, stoczona między wielkimi siłami flot angielskiej i niemieckiej. Jest to właściwie pierwsza wielka bitwa morska w tej wojnie. Na początku wojny były epizody starć między pojedynczymi jednostkami floty, w najlepszym razie między drobnymi oddziałkami; były też epizody wspaniałych przygód pojedynczych statków niemieckich, jak sławny w r. 1914 „Emden", były na dalekich egzotycznych wodach epopeje ugamiania się okrętów angielskich za błąkającymi się niemieckimi, odciętymi od wód ojczystych i drogo sprzedającymi swą wolność przez nadzwyczajne akty odwagi i ciosów, zadawanych przygodnie Anglikom. Gdy te epopeje się ukończyły, cisza nastała na morzu; tylko blokada angielska przecięła żeglugę niemiecką i tylko niemieckie łodzie podwodne aktami terroru morskiego szarpały więcej handel morski, niż wojskowe pogotowie morskie Anglików. Wprawdzie Anglia panowała na morzu i zdołała istotnie żeglugę niemiecką przerwać i wprawdzie jej poszczególne eskadry w różnych częściach oceanów i mórz pełniły swe funkcje posterunkowe, to jednak główne siły wielkiej floty angielskiej, władczyni wód, zamknęły się w portach Wielkiej Brytanii i nie śmiały wypłynąć i krążyć swobodnie w obawie przed strasznym maleńkim potworkiem nowożytnym – nieuchwytną i wszędobylską łodzią podwodną. Główne zaś siły floty niemieckiej uwięzione były również w swoich portach pod osłoną baterii lądowych, nie mogąc się narazić na napaść angielską w razie wypłynięcia na pełne morze. Raz tylko spróbowała flota anglo-francuska eskadry śródziemnomorskiej – wielkiej akcji bojowej całą forsą swych jednostek liniowych pod Dardanelami w końcu zimy i z początkiem wiosny roku zeszłego, ale i ta akcja rychło zaniechana została, gdy i tam się ukazał straszny potworek – łódź podwodna niemiecka. Zdawało się, że potęga wielkich olbrzymów morskich floty liniowej skazana jest w nowożytnej wojnie na bierną rolę potencjalnej siły zniszczenia, zamiast czynnej roli w otwartej bitwie morskiej. I oto bitwa taka w dniu 31 maja w pełnym morzu się rozegrała. I rzecz nadzwyczajna, że była ona nie dla przeważającej znacznie siłą Anglii, lecz dla dzielnego parweniusza morskiego – Niemiec, pomyślną. Cały szereg; coś przeszło dziesiątek większych i mniejszych jednostek liniowych floty angielskiej, w tej liczbie kilka olbrzymów, zostało zatopionych, straty zaś niemieckie są znacznie mniejsze. Pierwsze komunikaty niemieckie, które się dotąd ukazały, podają ogół strat angielskich w ilości 133 000 ton zatopionych okrętów, podczas gdy straty niemieckie wyrażają się w licznie zaledwie 23 000 ton! Jeżeli to nawet przesada, to jednak dystans pozostaje olbrzymi. A przecie za tryimf niemiecki uważać by można nawet taki wynik, gdyby straty były równe. Sukces to wspaniały dla młodej floty niemieckiej, która wykazała zdolność do mierzenia się w pełnym morzu z siłami floty angielskiej, zadając jej cios dotkliwy. Wypadek to wielkiej wagi, nie jako epizod tylko, ale też jako element polityczny w tej wojnie. Nasi pesymiści twierdzą, że taki sukces jest czynnikiem, który wpłynie na przedłużenie wojny. Być może. Ale niemniej jest on wypadkiem wspaniałym i wypadkiem, który podkopuje nieco pychę angielską. W tej wojnie po stronie koalicji jedni Francuzi biją się rzeczywiście dzielnie jak lwy, i nie tylko dzielnie, ale też, w stosunku do ich sił i do doskonałości militaryzmu niemieckiego – skutecznie.
Nie zostało mi dziś miejsca na kontynuowanie mego „studium" o sztuce klęcia żołnierskiego w Legionach. Jest to – musze to wyznać – temat co najmniej ordynarny, jeżeli nie plugawy, bo operować trzeba wyrazami zaiste plugawymi. Ale skoro już weń zabrnąłem, to trzeba będzie go dokończyć. Niechże ten dzień przerwy będzie wytchnieniem od słów plugawych, które jeszcze co najmniej jedną kartę dziennika zabrudzą. Sam się trochę wstydzę, że temat ten z taką szczerością podjąłem. Ale nie trzeba mierzyć żołnierskich zaklęć miarą normalnych stosunków współżycia. Jest to

świat inny, świat męki i ofiarnych poświęceń i zarazem świat profanacji człowieka, świat, w którym inaczej się odruchy ludzkie wyrażają.

4 czerwca, rok 1916, niedziela
Wracam do ordynarnych zaklęć żołnierskich. Czy dobrze czy źle, że o nich piszę – sam nie wiem. Ale już piszę.
Dwa jeszcze najbrzydsze słowa, używane do połajanek i zaklęć, to – „usrać się" i „pierdolić". To drugie używa się w formie: „ja cię pierdolę", „on go spierdolił", co jest równoznaczne z: „nie dbam o ciebie", „kpię sobie z ciebie" (ewentualnie „z twoich uwag", „z twojej władzy", „z twoich rozkazów" itd.), „on wsiadł (nasiadł się) na niego". Od „usrać się" najczęstszą jest forma: „ja ci się usram" (ewentualnie „do gęby", „na głowę" itd.) albo „ja się usram (ewentualnie: „sram") na jego szarżę" (względnie na coś innego, co powinno było w pojęciu normalnym zaimponować klnącemu). To „usranie się" ma być szczytem zlekceważenia, antytezą szacunku i uznania. Oba te wyrazy są najczęściej używane w złości i nie mają tego dobrodusznego znaczenia, jakie miewają nieraz inne. Dalej następują liczne odmiany słowa „dupa", a więc zwłaszcza: „mam cię (go) w dupie", „mam pana w dupie", „pocałuj (ewentualnie: mię) w dupę". Mieć kogoś lub coś „w dupie" – oznacza coś podobnego do powyższego „pierdolić" jako wyraz najwyższego lekceważenia i sponiewierania, bo cóż przecie może być podlejszego w człowieku, jak „dupa"; szlachetnym jest być u kogoś w sercu, w pamięci, ale nie „w dupie"; można mieć dla kogoś lub czegoś sympatię, uznanie, posłuszeństwo itd., ale przeznaczać go „do dupy" jako jedynego miejsca pobytu, którego jest godzien, to przecież minimum zaszczytu. Używa się to zresztą nie tylko w złośliwym, ale i poufałym tonie. „Mam pana w dupie" jest bardziej wyrafinowanym wyrazem tegoż znaczenia przez skojarzenie szanownego tytułu „pan" z podłym siedliskiem „w dupie"; używa się to z odcieniem kpiny i humoru, parodiując towarzyską grzeczność. „Pocałuj mię w dupę" – to prosta forma odprawy i pozbycia się zbytecznego „gościa" („gościem" nazywają w Legionach mniej więcej każdego osobnika, to samo, co „facet", „ktoś", „jegomość"). Na tym się mniej więcej wyczerpują pospolite zaklęcia i słówka, w których są używane wyrazy plugawe. Inne są już umiarkowańsze w doborze słów. Taki np. epitet „skurczybyk", niewiadomego pochodzenia i nieokreślonego ściśle znaczenia, nie ma właściwie w sobie nic zdrożnego. Jest to niby coś pośredniego między „chwat" a „nicpoń"; używa się bądź w postaci określenia: „ten skurczybyk" , bądź wykrzyknika „ach, ty skurczybyku!". Bardziej charakterystycznym jest dziwaczny i szeroko rozpowszechniony w Legionach epitet „łaferma", używany na określenie osobnika niedołęgi, niezdary, któremu brak elementarnego rozgarnięcia, sprytu, zaradności, w ogóle tężyzny jak duchowej, tak fizycznej, i w szczególności wojskowej. Oznacza to mniej więcej to samo, co rosyjskie „косолапый". Zdaje się, że epitet „łaferma" jest oryginalnym wynalazkiem Legionów; pochodzi on z parodiowania prostactwa wymowy rosyjskiej, która odczytuje naiwnie napisy francuskie swoją rodzimą metodą, jak np. francuskie „La ferme" podaje w transkrypcji alfabetu rosyjskiego „лаферма" czy „лафермъ" i odpowiednio wymawia „łafierma" (jest, zdaje się, w Rosji czy jakaś firma fabryki tytoniu, czy też gatunek papierosów tej nazwy); przez analogię do prostactwa takiej wymowy, prostaków przezwano „łafermami"; mówi się więc o kimś „ta łaferma"; epitet ten jest trochę pogardliwy, ale nie obraźliwy specjalnie; jest on dosadnym określeniem typu człowieka, wyśmiewanego zawsze w atmosferze sprytu i zaradności żołnierskiej na wojnie. Do zaklęć, wyrażających „pobożne życzenie" dla tych, do których się stosują, należą i są rozpowszechnione szczególnie dwa: „niech cię szlag trafi" i „niech cię (go) krew zaleje". „Szlag" używa się tu oczywiście w znaczeniu „paraliż". Co do tego „szlagu", to częściej jeszcze mówi

się „szlag trafił” („a, szlag trafił”, z zacięciem i mocnym akcentem na „szlag”), to znaczy po prostu w postaci bezpersonalnej, jako zaklęcie ogólnikowe.
Na dziś będzie dość tego dobrego.

5 czerwca, rok 1916, poniedziałek
Dzisiejsze nasze zebranie poniedziałkowe u Banaszewskiego było nudne i jałowe. Niewiele bym stracił, gdybym na nie nie poszedł wcale. „Referował” młody Jan Starzewski, legionista-poeta, na temat o „przyszłej” „Partii Państwa Polskiego”, której powstanie uważa on w Polsce po wojnie za konieczne. Rozwodził się nad tym płytko, nie wykazując bynajmniej żadnej oryginalnej myśli ani głębszej znajomości podłoża społecznego i warunków politycznych, co jedynie mogłoby usprawiedliwić takie dociekanie przyszłościowe, zwłaszcza teraz, gdy niepodobna przewidzieć, jaki będzie stan prawno-państwowy Polski po wojnie. Znać było tylko w jego przemówieniu mocny zaród nacjonalizmy, który, moim zdaniem, jest wypaczeniem głębszej dziejowej idei bytu państwowego narodów, oraz wielkie ubóstwo w ocenie stosunków w Królestwie Polskim, spowodowane przez dziecinne jeszcze i niekrytyczne uleganie sugestii pozoru „wielkiej” państwowotwórczej „działalności” Departamentu. Za główny czynnik takiej partii przyszłości uważa młody Starzewski Legiony, właściwie legionistów, w których słusznie zresztą dostrzega najwyższy wyraz państwowego aktywizmu polskiego. Zaś z naiwnością zgoła rozbrajającą dostrzega spośród dzisiejszych formacji partyjnych w Polsce najbardziej rozwinięty zmysł państwowo-konstytucyjny u konserwatystów krakowskich (to może poniekąd słusznie), dalej w Polskim Stronnictwie Postępowym (tym ze Lwowa, z którego ramienia wyszli dzisiejsi przywódcy Departamentu Wojskowego – Sikorski i Stanisław Downarowicz), wreszcie w Królestwie – w Lidze Państwowości Polskiej. Nie dostrzega zgoła, że Liga Państwowości Polskiej jest tą właśnie grupą, która w dużym stopniu zgrzeszyła przeciwko kardynalnym państwowotwórczym zasadom w obecnym okresie przełomowym, utrudniając konsolidację niepodległościowej woli w Królestwie, i że Departament, dzięki błędom i niedojrzałości politycznej swych szefów, nie tylko że niczego w Królestwie w kierunku konsolidacji i ujednostajnienia metod polskiego budownictwa państwowego nie zdziałał, ale jeszcze chaos sprawił i przeciwko sobie niechęć i ostre zarzuty niepodległościowców polskich wywołał. Dyskusja po referacie była mało ożywiona; nie mogła się oczywiście utrzymać w ramach kombinacji przyszłościowych i obracała się przeważnie w kole zagadnień ogólnikowych z pewną krytyką L.P.P. i oceną NKN-owej akcji i idei oraz jej roli w kryzysie obecnym. Z zabierających głos przemawiali nieźle Rutkowski, Górecki i Rostworowski. Przemawiał jeszcze Pochmarski, Marian Dąbrowski, Głuchowski i młody Bolesławski, ułan, czasowo tu bawiący. Zebranie zresztą widocznie nudziło wszystkich i pod koniec ogromna większość się wyniosła, pomimo że na razie zebranie było liczne. Na samym ostatku i ja też zabrałem głos, ale tylko w kilku słowach. Zaznaczyłem, że w sprawie samego referatu głosu nie zabierałem i nie zabieram dla tej prostej przyczyny, że, choć jestem legionistą polskim, to jednak w przyszłości do „Partii Państwa Polskiego” należeć nie będę, gdyż wstąpiłem do Legionów nie z założeń państwowych polskich, jeno z założeń państwowości litewskiej, ponieważ między tymi dwiema sprawami dostrzegam dziś głęboką solidarność i sprawę polską uważam dziś za dźwignię sprawy państwowej litewskiej; że natomiast w przyszłości nie w „partii państwa polskiego” się znajdę, jeno w takich formacjach, które służyć będą państwowości litewskiej – czy to będzie w Niemczech, czy w samym przyszłym państwie polskim, zależnie od tego, dokąd Litwa należeć będzie. Że jednak w dyskusji dzisiejszej popieram gorąco wnioski Rutkowskiego, aby nasze zebrania na przyszłość zajęły się omawianiem i poznawaniem

tych realnych czynników, na których się dziś państwowość polska budować może, zastrzegając się, że sprawa państwowości polskiej dzisiaj, w myśl tego, że uważam ją za dźwignię dla spełnienia moich założeń, leży mi bardzo na sercu. Mniejsza o to, kto z jakich założeń zrobił akces do Sprawy i gdzie się po wojnie znajdzie i co robić będzie – dziś jesteśmy razem i służmy Sprawie, którejśmy wolę naszą ofiarowali. Poznajmy jej czynniki i podstawy przede wszystkim.
Pisałem dziś dla „Wiadomości Polskich" artykuł o skomplikowanej, pełnej perypetii sprawie pomocy amerykańskiej dla Polski w drodze dowozu środków żywności, zbliżającej się obecnie do rozwiązania na zasadach układu międzynarodowego przy mediacji St. Zjednoczonych. Artykuł ten obstalował u mnie Kot. Nie lubię takich prac literackich dorywczych, nie związanych zgoła z właściwą moją działalnością. Temat to dla mnie zupełnie egzotyczny. Co mnie tam sprawy polsko-amerykańskie!

6 czerwca, rok 1916, wtorek
Wczoraj w rozmowie z Hugonem Kaufmanem, który niedawno wrócił z urlopu, rozmawiałem o owym oświadczeniu, które przed dwoma tygodniami „lewica" współpracowników Departamentu skierowała do Sikorskiego. Przedstawiłem mu tekst owego oświadczenia oraz wykazałem jego braki, które dostrzegam, i jego wartość ostrzegawczą dla kierowników polityki Departamentowej. Od Kaufmana, który w przejeździe bawił w Krakowie, dowiedziałem się, że tam oświadczenie nasze, gdy nadeszło, zrobiło wrażenie tak wśród miejscowych agentów Departamentu i współpracowników NKN-u (p. Radlińska, Leon Wasilewski), jak wśród tych, do których było skierowane. Podobno Kot był nim przejęty i trochę zdekoncentrowany, a Sikorski, po odczytaniu go, miał się wyrazić: „Cóż, kiedy oni właściwie mają rację!". Przypuszczam, że efekt był taki, o jaki nam właśnie, przynajmniej podług mego rozumienia, chodziło: znak ostrzegawczy. Ale efekt taki może być istotny tylko o tyle, o ile kierownicy Departamentu poczują, że nie jest to jakimś przygodnym odezwaniem się, które by wobec bladości tekstu oświadczenia było tylko kwileniem niemowlęcia, ale że za tą formą pełną kurtuazji i wstrzemięźliwości kryje się myśl konkretna i wola, świadoma pewnych postulatów; zależy więc od nas samych, od naszej postawy dalszej, czy będzie to zapoczątkowaniem konsekwentnym, czy przemijającym epizodem bez znaczenia i głębszego wpływu. A przede wszystkim musielibyśmy się sami porozumieć, aby sobie wzajemnie wyjaśnić, jakie jest nasze stanowisko programowe wobec aktualnego dziś zagadnienia reformy Departamentu i jego roli w ruchu, jeżeli zresztą istotnie jakieś wspólne stanowisko nas łączy, co samo przez się zostaje pod znakiem zapytania. Powiedziałem Kaufmanowi o zamiarze urządzenia małego zebrańka wspólnego w tej materii i o niedojściu tegoż do skutku z powodu, jak mi się zdaje, zbytniej ostrożności, a może i tchórzliwej chwiejności Góreckiego. Kaufman wziął na siebie pomówienie z Góreckim w celu doprowadzenia tego zebrańka do skutku i rzeczywiście zrobił to. Na dziś na godz. 2 po południu w gabinecie restauracji Szerszyńskiego zebrańko to zostało wyznaczone. Przyszli wszyscy, to znaczy Górecki, Rutkowski, Pohoski, Waszkiewicz, Kaufman, Krzemieniewski i ja.
Wyznam jednak, że nie jestem bardzo zadowolony z rezultatów tego zebrania. Zdania były podzielone i widoczne było, że uczestnicy zajmują stanowisko chwiejne. Nie mogę zaprzeczyć, że sytuacja jest trudna i że określenie takiego planu reformy Departamentu, który by był wykonalny i który by zarazem nie narażał bytu Departamentu, jest prawie że łamigłówką. Ustanowiliśmy, że po przyjeździe pułkownika Sikorskiego zażądamy od niego zwołania poufnego zebrania w gronie osób, których listę mu zaproponujemy, aby wysłuchać jego relacji o stanie rzeczy w kwestii przyszłości Departamentu i zgłosić mu nasze uwagi i *desiderata*. Ale z chwilą, gdy doszło do tego, aby uprzytomnić sobie, do

czego my dążyć mamy, natychmiast spiętrzyły się trudności. Na razie Górecki proponował odwołanie się nasze do Piłsudskiego, by od niego instrukcje otrzymać. Ja mówiłem o potrzebie stałego kontaktu naszego z formacjami lewicy niepodległościowej, jak CKN i Wydział Narodowy, aby za ich wskazaniami iść w łonie Departamentu, co nie znaczy, aby im ślepo ulegać, lecz do nich, z zastrzeżeniami naszej własnej krytyki, stanowisko nasze stosować. Jako zaś punkt wyjścia w stosunku do kierowniczego triumwiratu Departamentu (Sikorski-Downarowicz-Kot) oprzeć się na uchwale Komisji Wykonawczej NKN-u , która meritum „sposobu prowadzenia werbunku", to znaczy właściwą sprawę o losie i stanowisku Departamentu Wojskowego na przyszłość przekazała mającemu nastąpić porozumieniu NKN-u z „organizacjami politycznymi i społecznymi Królestwa", a Sikorskiemu poleciła tylko przedstawić wnioski co do owej formy porozumienia, nie uprawniając go do przesądzania przyszłości sprawy werbunkowej, a przeto i Departamentu. Tu wszakże zaczęły się rychło ujawniać różnice pojmowania całej sprawy śród nas. Na tory wyraźne stawiania kropek na i wyciągnął sprawę Waszkiewicz. Zaznaczył, że ponieważ w Królestwie nie ma zjednoczonej organizacji stronnictw, jaką jest NKN w Galicji, więc trzeba sobie uprzytomnić, z którym obozem i którą organizacją się chce iść w rękę; otóż, jeżeli się wybierze lewicę niepodległościową, to trzeba sobie z góry powiedzieć, że przekształcenie Departamentu w myśl jej dążeń jest niewykonalne i po prostu, będąc konsekwentnym, należy wystąpić z Departamentu i zwrócić się przeciwko niemu, bo gdy się pozostaje, to czy się chce, czy nie chce, wzmacnia się sobą Departamentowy kierunek przeciwko lewicowemu. Niewykonalne zaś jest zreorganizowanie Departamentu w duchu CKN i Piłsudskiego, tak ze względów wewnętrznych na społeczeństwo Królestwa, jak ze względów na Austrię. CKN ogarnia tylko radykalne nieliczne koła społeczeństwa; gdyby Departament stał się jego narzędziem i ekspozyturą, to straciłby do reszty swój autorytet w ogromnej masie społecznej Królestwa i zwęziłby się do „partyjnego" stanowiska. Inne też obozy i organizacje zarzuciłyby mu stronniczość, a więc nie ogólnonarodowe stanowisko, być zaś jednocześnie odpowiednikiem wszystkich naraz obozów niepodobna, bo się one zwalczają. Zresztą do poddania Departamentu CKN-owi, zwracającemu się przeciwko austrofilstwu, nie dopuściłaby Austria, która ma pilne baczenie na akcję Departamentu; a bez Austrii Departament nie może istnieć, bo cała jego akcja, uzasadniona na werbunku, opiera się głównie na pomocy austriackiej w pieniądzach z kasy wojskowej, marszrutach itd. Departament wbrew Austrii istnieć nie może, bo albo uschnie, albo po prostu z zewnątrz przez władze austriackie zamknięty zostanie. Nie może więc się zreformować w duchu CKN-owym. Takie jest stanowisko Waszkiewicza, który zwolennikom CKN-u wskazuje drogę wyjścia z Departamentu, sam zaś zostaje.

7 czerwca, rok 1916, środa
Zanim przejdę do zreferowania dalszego ciągu wczorajszego i następnie dzisiejszego zebrania tzw. „lewicy" współpracowników Departamentu, dam wzmiankę o wypadkach na wojnie. Sytuacja na różnych frontach ożywiła się w ostatnich czasach bardzo. Impuls dała ofensywa austriacka na froncie włoskim, która jednak w ostatnich paru dniach, po zajęciu Asiago i Arsiero, osłabła, jak się zdaje, w tempie, o czym zresztą sądzić jeszcze przedwcześnie, bo już w samym czerwcu liczba pojmanych jeńców włoskich wynosi przeszło 9 000. Ale postępów terytorialnych, chwilowo przynajmniej, tu nie widać. Na froncie francuskim, pod Verdun, tak jak było. Francuzi, jedyni bodaj ze sprzymierzonych z tamtej strony, biją się dzielnie i bądź co bądź Niemców pod Verdun zatrzymali. Coś się też gotuje na froncie macedońskim w kierunku salonickim, gdzie zaszedł fakt poważny przekroczenia granicy greckiej także przez wojska niemiecko-

bułgarskie i obsadzenia przez nie paru miejscowości, w tej liczbie fortu Rupel na terytorium greckim. Doniosła bitwa morska z d. 31 maja pod Skagerrakiem, uwieńczona świetnym triumfem, zwłaszcza moralnym, floty niemieckiej, połączonym zresztą z zadaniem ciężkich strat flocie angielskiej, króluje potężnym wrażeniem nade wszystkim. Dziś znów przyszła wiadomość najświeższej daty, umieszczona dopiero w paru pismach, o pewnym wypadku, bardzo bolesnym dla Alzacji: oto jeden z największych mężów wojennych Anglii, ten, któremu polecone było zorganizowanie wielkiej armii angielskiej – lord Kitschener, wsławiony w tej i w innych wojnach – zginął na morzu wraz z całym sztabem swoim w podróży z jakąś misją specjalną podobno do Rosji na statku wojennym, zatopionym, zdaje się, przez torpedę. Strata to ciężka dla Anglii, nie tyle jako epizod klęski wojennej, ile jako wypadek polityczny bardzo dla niej bolesny. Ale oto ruszyła się na południowym wschodzie, na froncie bukowińskim, wschodniogalicyjskim i południowowołyńskim wielka ofensywa rosyjska. Jak w marcu w odpowiedzi na niemiecką ofensywę na Verdun rzucili Moskale masy swoje do ataku na froncie litewskim, tak teraz w odpowiedzi na austriacką ofensywę w Południowym Tyrolu uderzają wściekle na front bukowińsko-galicyjsko-wołyński. Spodziewam się, że jak ofensywa marcowa, tak i obecna skończy się nowym fiaskiem Moskali i linii frontu nie przełamie. Ale uderzają Moskale wściekle, z gwałtownością, której nie tają komunikaty austriackie. Po gwałtownych walkach artyleryjskich przeszli oni obecnie do masowych ataków piechoty. Choć nie wierzę w skuteczność ofensywy rosyjskiej, jednak instynktownie boję się jej czasem i wzdrygam się na myśl o jakichś poważnych w tym kierunku możliwościach. W dzisiejszym komunikacie austriackim jest wzmianka o jednym bardzo lokalnym sukcesie rosyjskim, gdzieś pod jakimś Oknem, podobno na bukowińskiej granicy, gdzie Austriacy cofnęli się z wysuniętych przednich stanowisk o 5 wiorst. To może detal, ale te 5 wiorst, raczej kilometrów, są niepokojące. Nie tyle się wielkich skutków tej ofensywy spodziewam, ile boli mnie każdy sukcesik, choćby detaliczny, Moskali, bo czuję radość i zapłodnienie nadziei utajonych moskalofilów i tchórzów, którzy każdą taką bagatelkę węszą i z niej kują broń podszeptów i tchórzliwych odruchów nastroju, szkodzących najbardziej konsolidacji sprawy polskiej, to znaczy temu dziełu, które jest dziś najważniejsze.
Wracam do wczorajszego i dzisiejszego zebrań. Po przemówieniu Waszkiewicza, który zarysował ostro trudności i prawie że niewykonalność praktyczną wszelkich projektów zrobienia z Departamentu narzędzia lewicy niepodległościowej, które to projekty wykazał jako naiwną iluzję, zaznaczając, że konsekwentni zwolennicy tego obozu nie mają co w Departamencie robić i muszą się zeń po prostu wycofać, nastała chwilowo wśród zebranych dezorientacja. Przemówienie Waszkiewicza było jednak potrzebne, bo, po pierwsze, rozwiało wszelkie budowanie planu na niedomówieniach, a po wtóre, zmusiło wszystkich do kategorycznego oświadczenia się po jakiejś jednej wyraźnej stronie. Rutkowski i Pohoski zajęli stanowisko chociaż nie całkowite, ale przynajmniej szczere i proste. Uważali, że nie ustając dążyć do możliwego złagodzenia złych i antylewicowych stron polityki Departamentowej, zwolennicy lewicy, którzy są w Departamencie, winni przynajmniej na swoich posterunkach faktycznie sami jej służyć, zasłaniając swoim autorytetem i urzędową powagą jej robotę od władz austriackich i dając jej narzędzia i ułatwienia w zakresie swojej władzy, kompetencji i środków. Jest to stanowisko połowiczne, z pewnym małym wallenrodyzmem, ale przynajmniej proste, nie usiłujące udawać jakichś wielkich rzeczy. Gorzej, moim zdaniem, określał akcję „lewicy” w Departamencie Górecki i sam Waszkiewicz. Gorzej, bo mniej szczerze. Ale zaznaczę tu, jakie ja zająłem stanowisko. Linię niepodległościową w Królestwie, linię, która jednak coraz bardziej tryumfuje w opinii ogólnej nad różnymi orientacjami i która

wytwarza pewien coraz powszechniejszy stan woli, uważam za czynnik pierwszorzędny Sprawy Polskiej. Linia ta, organizacyjnie dotąd słaba, jako stan woli czy „nastrój” – potężnieje. W zakresie zorganizowanej polityki linię tę najkonsekwentniej wyraża właśnie ten obóz, który nazywają „lewicą niepodległościową”, w szczególności CKN. Nie jakaś lewicowość CKN-u, ale właśnie to jego stanięcie konsekwentne na tej najwłaściwszej linii, będącej istotną międzynarodową dźwignią Sprawy Polskiej, wskazuje na zsolidaryzowanie się z jego akcją. Co do „lewicowości” CKN-u, to jest ona wątpliwa przy istnieniu w nim takich formacji, jak NZR lub Konfederacja itp., i nie ona jest też jego wartością istotną w obecnym momencie. A skoro tak, to, o ile opozycja Departamentowa rzeczywiście w ten sam sposób pojmuje rolę CKN-u w ruchu, powinna ona działać na rękę CKN-u i przyczyniać się do tego, aby sprawa reformy Departamentu wypadła właśnie po linii odpowiednich żądań. Zaznaczyłem, że nie jestem zupełnie pewien nawet co do tego, czy gdyby Departament został zreorganizowany na zasadach żądań obozu niepodległościowego i gdyby Austria, spostrzegłszy to, bądź go zamknęła, bądź tylko pozbawiła swojej pomocy i przez to ujałowiła, czy fakt taki nie byłby może nawet w pewnych warunkach czynnikiem dodatnim na rzecz tej właśnie linii, o którą mi chodzi. Zresztą musimy robić tylko to, co jest w naszej możności. Zreorganizowanie Departamentu nie zależy od nas. W myśl wszakże żądań niepodległościowych, o ile są one naszymi żądaniami, powinniśmy dziś tylko oprzeć się na gruncie formalnym, który nam daje punkt II uchwały komisji wykonawczej NKN i tworzyć opozycję i kontrolę czujną przeciwko wszelkim zakusom trójcy kierowniczej Departamentu do określenia przyszłej działalności i przesądzenia ewentualnej sprawy reformy Departamentu, ponieważ to odniesione zostało do porozumienia NKN-u z organizacjami politycznymi i społecznymi Królestwa. Na razie byłoby aż nadto dość tego. Mamy grunt formalny i bylibyśmy zgodni z tym, czego linia lewicy wymaga w pierwszym rzędzie.

8 czerwca, rok 1916, czwartek

Ofensywa rosyjska na froncie południowo-wschodnim robi jednak postępy. Oto w dzisiejszym komunikacie austriackim stwierdzone jest cofnięcie się znad Putyłówki, to znaczy gdzieś spod Ołyki, do obrębu Łucka. Jest to wprawdzie cofnięcie się lokalne na jednym odcinku, ale już cofnięcie się dostrzegalne na mapie. Bądź co bądź, niepokoi mię ta ofensywa i nie mnie jednego. Mimo że Austriacy znacznie się przez rok ubiegły poprawili i że ich armia, jak wiadomo z całej zeszłorocznej letniej i ostatniej zimowej kampanii, bije się dzielnie, jednak mimo woli nie ma się do nich tego żelaznego zaufania, co do Niemców. Wszak w czasie marcowej ofensywy litewskiej Moskali – front niemiecki nie drgnął, prócz może jakichś paru wiosek oddanych. Komunikaty rosyjskie, które były dziś w łódzkiej „Godzinie Polski” podane, wskazują liczbę jeńców austriackich, pojmanych w tych kilku dniach ofensywy, na 25 000. Zapewne jest w tym przesada, ale bądź co bądź świadczy to, że straty musiały być znaczne. Złość bierze na Moskali za każdy ich najdrobniejszy sukces. Nie tylko złość, ale i ból. Zresztą da Bóg, że nic wielkiego stąd nie będzie i że cały niepokój jest próżny. Łuck jest właściwie fortem i zdaje się, że został znacznie przez Austriaków wzmocniony, toteż można mieć nadzieję, że się utrzymają tutaj. Ale cóż: gdyby linia została przełamana, musieliby się chyba cofnąć, bo przecie dać się w Łucku osaczyć nie byłoby sensu. A w Łucku mają oni, zdaje się, wielkie zapasy i składy, które chyba musieliby spalić. Są pogłoski, że Łuck już ewakuują, ale to chyba dzieło plotki, rosnącej zawsze obficie na byle jakich domysłach. Niektórzy uważają, że częściowe powodzenie obecnej ofensywy rosyjskiej, gdyby istotnie nastąpiło, mogłoby się stać czynnikiem przyśpieszenia pokoju, dając

przynajmniej pozór pewnej moralnej rehabilitacji Rosjan. Kto wie, wolałbym jednak, aby się obeszło bez tego.
Ponieważ na wczorajszym zebraniu opozycji Departamentowej, na które, oprócz nas siedmiu, przybył jeszcze Tadeusz Grabowski (który świeżo wrócił z frontu, dokąd jeździł na uroczystość obchodu rocznicy IV pułku), propozycje akcji poszły w kierunku, nie odpowiadającym mojemu stanowisku, więc oświadczyłem, że się od udziału nadal wycofuję. Pozawczorajsze przemówienie Waszkiewicza, który wykazał nieziszczalność reformy Departamentu w duchu lewicy niepodległościowej, odniosło ten skutek, że „opozycjoniści" odwrócili swoje usiłowania do innych, bardziej oportunistycznych wniosków. Rutkowski i Pohoski, najszczersi, zdaje się, rzecznicy obozu niepodległościowego, ulegając z konieczności oportunizmowi w kapitalnym zagadnieniu reformy Departamentu, zastrzegali jednak to, że na swoich posterunkach będą przecież w miarę sił i możności służyć obozowi niepodległościowemu i jego organizacjom. Co zaś do innych, to, zdaje się, ucieszyli się z wywodów Waszkiewicza i skorzystali skwapliwie z okazji, aby akcję „opozycji" Departamentowej obniżyć do drobnych niezasadniczych rzeczy, mało ryzykownych i z pozoru tylko jaskrawych, udając, że robią coś wielkiego. Wczoraj więc wystąpili z takim planem działania: zażądać od Sikorskiego po jego powrocie poufnego zebrania z udziałem trójcy kierowniczej Departamentu, Sikorskiego, Downarowicza, Kota oraz nas ośmiu; na tym zebraniu zażądać od Sikorskiego relacji o tym, co mu Piłsudski mówił, jakie wystawiał żądania w stosunku do Departamentu i jak się do nich Sikorski stosuje, jak sobie wyobraża jakieś ewentualne zmiany i w ogóle organizację i działalność Departamentu na przyszłość; ze swej strony opozycja będzie kłaść nacisk na zasadę równorzędnego traktowania przez Departament stronnictw i obozów antyrosyjskich w Królestwie i zasadę niemieszania się Departamentu do polityki i wewnętrznej walki kierunków politycznych w Królestwie; wreszcie opozycja ma wystąpić z treściwym planem wewnętrznych zmian w personelu i technicznej organizacji biur w Departamencie, aby oczyścić Departament z balastu karierowiczów i próżniaków, lub, co jeszcze gorsze, osobników skompromitowanych i podejrzanych o czynne wysługiwanie się władzom austriackim, zużytkować produkcyjnie ludzi, którzy są uczepieni Departamentu bez żadnych określonych funkcji, dlatego że np. nie wysługują się szefom, nie są dość niewolniczo ulegli itd., aby następnie ożywić biura większym duchem obywatelskim, dać dostęp do pracy siłom twórczym i elementom niezależnym, uzupełniając różne zmiany w tym kierunku żądaniem, aby Sikorski trochę mniej jeździł i stał się istotnie Departamentu szefem, czuwającym i kierującym na miejscu organizacją jego pracy, zamiast ciągłego uprawiania wielkiej polityki w nieustannych podróżach. Ta ostatnia część projektu działania, co do uzdrowienia wewnętrznych stosunków w Departamencie, które są rzeczywiście „pod psem", jest niewątpliwie ważna, ale należy do innego rzędu zadań nie pokrywających się z zadaniami zasadniczej sprawy o ewentualnej reformie Departamentu i istoty jego działalności, jego stanowiska i roli w ruchu. W tej sprawie ja byłbym mało użyteczny, bo mniej znam wewnętrzne i zakulisowe strony stosunków Departamentowych, niż inni, jak Górecki itp., toteż gdyby tylko o to chodziło, nie byłoby potrzeby mojego współdziałania, a natomiast ja, występując w tej sprawie z innymi, przyjmowałbym na siebie formalną rolę współpracownika Departamentu, a więc wespół z nią i współodpowiedzialność za akcję Departamentu, całe więc odium przynależności, co mi jest zgoła niepotrzebne i czego wolę uniknąć, gdy niczym się przyczynić do naprawy rzeczy w myśl moich przekonań nie mogę. Wolę w tych warunkach pozostać na uboczu, tym, czym tutaj jestem, to znaczy czasowym gościem, reflektującym na wyjazd do Wilna i jeżeli coś robiącym w

Departamencie, to nie jako formalny współpracownik, jeno przygodnie i akordowo, z odpowiedzialnością tylko osobistą za to, co sam zrobiłem.

9 czerwca, rok 1916, piątek
Sytuacja na froncie wołyńskim w dalszym ciągu niepewna. Wyraźnych nowych faktów nie ma, ale nacisk ofensywy rosyjskiej trwa. Pogłoski naturalnie kursują licznie, zaniepokojenie wyczuwa się w tutejszych kołach legionowych coraz większe. Podszepty moskalofilskie rosną. Moskalofilstwo, rozbite na głowę, nie wymarło jeszcze całkowicie; przechowuje się pokątnie to tu, to ówdzie, po głowach ciemnych, nawykłych do jarzma i biernej tożsamości losu; są ludzie w pospolitym tłumie, którzy siłą nałogu i odruchem przeciwko drożyźnie i ciężarom wojny tęsknią do powrotu *status quo ante bellum*, identyfikując go z wrażeniami normalnego życia z pokojowych czasów; twardą i oporną jest rutyna psychiki ludzkiej; moskalofilstwo jako polityczna orientacja zbankrutowało, ale w kołtuńskiej sferze apolitycznego myślenia trwa jeszcze jak jakieś fatum. Czai się ono jak tchórz pod kurnikiem i wypełza w atmosferze pogłosek i jakichś głuchych wieści z linii oraz obaw, stąd powstających. Nie tyle lokalne sukcesy rosyjskie, które nie są wykluczone, ile te właśnie odruchy moskalofilskie, łamiące hart i zatruwające kształcące się nastroje wolnościowe, drażnią mię i niepokoją z okazji ofensywy rosyjskiej.
Przeglądałem dziś numer 3 wychodzącej w naszym I pułku „Konferencji Pokojowej”, przywieziony do archiwum Biura Prasowego przez Tadeusza Grabowskiego. Pisemko to udoskonala się z każdym numerem i jest świetne. Nie tylko że tryska humorem, ale ten humor jest charakterystyczny, odtwarzający w każdym słowie duszę żołnierza Legionów I Brygady z jego spostrzegawczością, wiarą, bólem, zawodami, gniewem i żywym dowcipem. W tych numerach „Konferencji Pokojowej”, jak w żadnym innym piśmie, są prawdziwe perły rzeczywistego charakteru żołnierza i stanu jego ducha, nie takiego, jakim go sztucznie robią dla jakichś spekulacji politycznych, ale jakim jest w całej swej pięknej prostocie.
Wracam znowu do tych naszych ubiegłych narad „opozycji” Departamentowej. Nudzą mię już one w tym ich wałkowaniu, ale trzeba o nich dokończyć, by dać świadectwo temu, co się dzieje. Gdy pozawczoraj tak przedstawiony został plan działania opozycji, jak go pod datą wczorajszą w dzienniku streściłem, postanowiłem się usunąć od wspólnej z tą opozycją akcji. Mnie bowiem chodziło nie o pozory opozycyjne, ale o scementowanie istotnej grupki niepodległościowej w łonie współpracowników Departamentu, świadomej całości programu niepodległościowego oraz specjalnych jego do Departamentu żądań, czujnej i gotowej stosownie do okoliczności i sił występować czynnie. Tymczasem na skutek interwencji Waszkiewicza, wykazującego niemożliwość podporządkowania Departamentu lewicy, uchwycono się skwapliwie tej „niemożliwości”, by obniżyć lot i całą „akcję” do jakichś połowicznych krytyk sprowadzić. Jeżeli się ma na poufnym zebraniu z kierownikami Departamentu interpelować Sikorskiego jako odpowiedzialnego szefa w kwestii, jakie mu Piłsudski przedłożył żądania i jakie są jego co do reformy Departamentu wnioski, to przez to samo już się sankcjonuje jego stanowisko czynnika, mającego określać przyszłość Departamentu. Tymczasem w kwestii najważniejszej i najbardziej spornej, w kwestii organizacji werbunku, w kwestii, która stanowi właśnie główny kamień obrazy obozu niepodległościowego i która najmocniej dotyczy udziału Departamentu w wewnętrznej polityce Królestwa, uchwała Komisji Wykonawczej formalnie odbiera inicjatywę ewentualnej reformy z rąk kierownictwa Departamentu i oddaje ją NKN-owi w porozumieniu z politycznymi i społecznymi grupami Królestwa. To właśnie byłby grunt dla opozycji niepodległościowej w Departamencie, grunt formalny, a więc

najpoprawniejszy. Skoro to nie należy do Sikorskiego, to cóż nas obchodzi, co mu mówił Piłsudski i jak się Sikorski do jego żądań stosuje. Bo przecie mamy konferować z Sikorskim nie jako z prywatnym człowiekiem, którego o zdanie pytamy, ale właśnie jako z odpowiedzialnym szefem Departamentu. Że nasi kierownicy Departamentu, z pierwszym Downarowiczem na czele, będą się usiłowali wyłamać spod tej uchwały i właśnie narzucić własny projekt przyszłego ukształtowania sprawy werbunkowej – to nie ulega wątpliwości, i my byśmy im w tym tylko dopomagali naszą interpelacją, kiedy naszym zadaniem byłoby właśnie przeszkodzenie temu wyłamywaniu się. Bo gdy się kogoś interpeluje, to się przez to jego kompetencję odpowiedzialną uznaje. Ja sobie wyobrażałem, że nasza grupka opozycji Departamentowej tworzyłaby pewne środowisko porozumiewawcze, utrzymujące stały kontakt z pozadepartamentową lewicą niepodległościową, niezależnie od akcji w Departamencie, a w sferze tej akcji na razie tylko kontrolowała kierownictwo, by ono w tej zasadniczej rzeczy nie wykraczało poza udzielone mu ramy. Tymczasem o stałym naszym kontakcie z lewicą ani słowa, jeno o akcji, zakreślonej od razu połowicznie. Naturalnie, że Sikorski i Downarowicz zbagatelizowaliby naszą interpelację i w duchu zakpiliby z nas, orientując się doskonale – zwłaszcza Kot, że skoro tak rzecz stawiamy, to nic groźnego nie ma z naszej strony. Niekonsekwencją też jest żądać „niemieszania się do polityki wewnętrznej Królestwa", gdy się Departamentowi przyznaje tak ważną politycznie rzecz, jak określenie organizacji werbunkowej i gdy się wobec siebie samych z góry stwierdza, jak to zrobił Waszkiewicz, że Departament będzie musiał z natury rzeczy „oprzeć się na centrum". W tym więc projekcie cała opozycja byłaby zbłaznowana.

10 czerwca, rok 1916, sobota
W komunikacie dzisiejszym nie ma nic o postępach ofensywy rosyjskiej; wymieniony jest wprawdzie cały szereg odcinków na wschodniogalicyjskim i wołyńskim froncie, gdzie ataki rosyjskie zostały odparte, ale na ogół ma się wrażenie, że impet ofensywy rosyjskiej zmniejszył się; o froncie zaś bukowińskim stwierdzono to w komunikacie wprost. Nie można jednak jeszcze z tego bynajmniej wnioskować o ustaniu ofensywy; każda chwila może przynieść nową dalszą falę jej gwałtownego wybuchu. Na włoskim froncie są za to w komunikacie austriackim zaznaczone nowe postępy.
Wierzchowski, który jest skrajnym austrofilem i na ogół unika wszystkiego, co może być dla Austriaków niepomyślne, opowiadał wieczorem, że w komunikacie rosyjskim, który w jakimś piśmie był podany, jest mowa o zajęciu przez Rosjan Łucka. Prawdopodobnie byłoby to epizodem owego cofnięcia się Austriaków znad Putyłówki „do obrębu Łucka", o czym było w pozawczorajszym komunikacie, nie zaś czymś nowym. Możliwe, że Rosjanie zajęli miasto, a Austriacy po cofnięciu się zatrzymali się w samym forcie.
Wrócił Kunowski z dwutygodniowego pobytu w Warszawie. Opowiada bardzo ciekawe, aczkolwiek nie nowe rzeczy ze swoich spostrzeżeń. Powiada, że Departament nie ma w Warszawie żadnego oparcia, żadnego wpływu; że na ogół austrofilstwo, a przeto i stanowisko NKN-u jest w Warszawie zupełnie niepopularne; że bardzo szerokie koła polityczne, nie tylko na lewicy niepodległościowej, ale i wśród byłych koalicjonistów i na prawicy, jak u marylszczyków i zbliżonych do nich elementów, uważają, że Austria nic dać Polsce nie może i żadnego rozwiązania Sprawy Polskiej przeforsować nie jest w stanie, a bodaj i nie chce; gdyby Austrii wierzono, to znaczy zarówno ufano jej dobrym chęciom, jak dostrzegano w niej siłę po temu, to z pewnością stanowisko austriackie miałoby poparcie w opinii; ale właśnie, że tego nie dostrzegają; wiedzą i notują w Warszawie wszystkie niekonsekwencje polityki austriackiej w sprawie polskiej, szykanowanie przez nią różnych zapoczątkowani społecznych w

okupowanej części Królestwa, jej chwiejność i podwójną grę, jej biurokratyzm i narzucanie się Królestwu, brak szczerości itd.; mają wrażenie, że Austria chce mieć tylko „*ein bischen Polen*” i to uważają za najniebezpieczniejsze, bo grożące podziałem Królestwa; uważają, że Austria może raczej odegrać rolę przeszkody w stosunku do niepodległości Królestwa i, nie mając ani siły i autorytetu, ani chęci do pozyskania dla siebie całego Królestwa w celu złączenia go z Galicją (w szczególności wiedzą dobrze o niechęci Węgrów do wszelkiego trializmu Austro-Węgro-Polski, osłabiającego stanowisko Węgier w monarchii), spowodować może tylko to, że Niemcy, by się od niej odczepić i przecież ją czymś za wierność i ofiary wynagrodzić, rzucą jej ochłap z Królestwa, godząc się na podział; podziału zaś w Warszawie najwięcej się boją i traktują z nienawiścią. Toteż Austrię traktują w Warszawie niechętnie i uważają jej grę za niebezpieczną. Woleliby już raczej w całości choćby do Niemiec należeć, licząc, że zdołają się przeciwstawić zakusom germanizacyjnym, a jeszcze się czegoś od Niemców przynajmniej nauczą, podczas gdy od Austriaków nie nauczą się niczego, ewentualnie skapcanieją i jeszcze osłabią się dzięki niej przez podział. Niemcy w dalszym ciągu uprawiają polityczny liberalizm w Polsce, przeciwstawiając się Austrii – w całym szeregu zarządzeń, jak przede wszystkim w szkolnictwie; dają też ciągle w drodze półurzędowej, ba – nawet przez usta generał-gubernatora Beselera, do zrozumienia, że życzą niepodległości Polski z pewną częścią Białej Rusi (wprawdzie z okrojeniem strategicznym pewnych skrawków północno-zachodnich Królestwa na rzecz choćby utworzenia jakiegoś pośredniego pasa neutralnego) i że pragną, aby się sami Polacy w kierunku niepodległości opowiadali; dopuszczają też do drukowania artykułów w tym duchu w pismach polskich; wskazują też na Austrię jako na główną do tego przeszkodę i niebezpieczeństwo, zaznaczając, że Polacy przez poparcie Austrii sami by sobie zaszkodzili. Miłości dla Niemców w Warszawie zgoła nie ma, ale jest uznanie trzeźwości ich stanowiska, siły i konsekwencji ich linii i akcji i jest raczej pewien nastrój solidaryzowania polskiej „racji stanu” z niemiecką „racją stanu”. Skądinąd, niezależnie od Kunowskiego, nadeszły wieści o aresztowaniu przez Niemców w Warszawie Stanisława Patka i jeszcze jakiejś działaczki wybitnej. Jest to w związku z aresztowaniem Tytusa Filipowicza i znalezionymi u niego papierami. Zdaje się, że to jest epizodem tropienia przez Niemców akcji austrofilskiej, choć co do Patka jest to błędne, bo grupa radykałów narodowych, do której on należy, wystąpiła już od paru miesięcy z Ligi Państwowości Polskiej i należy – nie wiem, czy w całku – do CKN-u. Co do ofensywy rosyjskiej, to Kunowski powiada, że w Warszawie uważają ją za rzecz raczej dodatnią i nawet pragną pewnych sukcesów rosyjskich ze względów politycznych, aby utrzeć nosa Austriakom i trochę ich osłabić, aby bądź osłabić ich w stosunku do Niemców w myśl owego podziałowego niebezpieczeństwa, jakie ze strony Austrii upatrują, bądź zmusić ich do większego liczenia się z Polakami i ustępstw na rzecz Sprawy Polskiej. Poważnych zaś rezultatów wojennych dla Rosji z tej ofensywy się nie obawiają. Kunowski zdaje się podzielać to zdanie. Co do mnie, to go nie podzielam. W kwestii wojennych wypadków w stosunku do Rosji pragnę jak największego jej pognębienia i odparcia, gdyby to było możliwe, jeszcze dalej na wschód.

11 czerwca, rok 1916, niedziela

Zielone Świątki! Dla mnie upływają one jednak bardzo powszednio, a nawet szczególnie dzisiaj byłem bez humoru, i czas zresztą był brzydki, zimny i dżdżysty. Rzeczywiście, Łuck jest zajęty przez Rosjan. Potwierdza się to z dzisiejszego komunikatu austriackiego, który wspomina o toczących się pod Łuckiem walkach „na zachód od Styru”. Jeżeli na zachód, to już nie przed, ale za Łuckiem. Wielka bitwa

trwa. Komunikat wspomina o walkach pod Czartoryskiem, pod Łuckiem, Tarnopolem i nad dolną Strypą. Nad dolną Strypą w Galicji Austriacy zajmowali kawałek na wschodnim brzegu rzeki. Obecnie Moskale wyparli ich na brzeg zachodni. Jestem nadal zaniepokojony tą ofensywą rosyjską. Zdaje się, że odcinek Legionów jest nienaruszony i że wściekłość ataków rosyjskich dotąd tam nie sięga. Ale II Brygada, która od początku maja była na odpoczynku w Karasinie jako rezerwa, z pewnością musiała być pchnięta w ogień. Taki to już los Legionów, że zawsze muszą iść w ogień na zagrożone posterunki, bo są waleczni i dzielni; szczególnie zaś II Brygada zawsze zatyka sobą wszelkie dziury i idzie na największe niebezpieczeństwo. Zresztą z Legionów nie mamy dotąd żadnych wieści. Obawiam się postępów ofensywy rosyjskiej podwójnie: raz dlatego, żeby moskalofilstwo nie podnosiło głowy, drugi – dlatego, że gdyby Moskale się posunęli głębiej na południowym wschodzie, to ewentualnie i na północnym wschodzie musieliby się Niemcy cofnąć automatycznie, kto wie nawet – czy nie z Wilna. Słyszałem dziś, że podobno na front południowo-wschodni śpieszą na odsiecz Austriakom duże transporty wojsk niemieckich, przewożonych forsownie różnymi kolejami, przez Śląsk, przez Galicję, przez Królestwo. Daj to Boże! Komunikat rosyjski, który czytałem dziś wieczorem w „Katowitzer Zeitung", przechwala się zdobyciem przeszło 60 000 jeńców w ciągu tych kilku dni ofensywy; z pewnością jest gruba przesada, ale powodzenie Rosjan pod Łuckiem jest niewątpliwe. Na ogół wszakże komunikat rosyjski jest dość niewyraźny. Chwali się epizodycznym zajęciem paru miejscowości na północ i na południe od Łucka, podnosi drobne szczegóły, wreszcie, co jest zwykle w komunikatach rosyjskich najsymptomatyczniejsze, zaznacza, że wśród jeńców są Niemcy. Czyżby to był znak osłabienia rozpędu ofensywy rosyjskiej, bo zazwyczaj ujawnienie wojsk niemieckich w szeregach przeciwnika służy Moskalom za rozgrzeszenie dla ustania ich powodzeń? Niepowodzenia w walce z Austriakami wstydzą się, od Niemców zaś nie wstydzą się nawet porażki. Ale są to, niestety, jeszcze przedwczesne, jak się zdaje, wnioski.
30 maja wysłałem do Warszawy na ręce Ludwika Abramowicza list do Pomorskiego. Do listu tego załączyłem podanie do władz niemieckich o pozwolenie na wyjazd do Wilna wraz z moim paszportem, prosząc, aby Pomorski podanie to wniósł. Jednocześnie prosiłem Pomorskiego w liście o przysłanie mi 100 rubli tytułem dalszej pożyczki. Dotąd nie mam żadnej odpowiedzi od Pomorskiego. Jestem pod względem pieniężnym zupełnie na wyczerpaniu i mam już zaległości. Nie wątpię, że Pomorski mi nie odmówi, bo kilkakrotnie ustnie i listownie oświadczał mi gotowość służenia kredytem. W obecnych zaś moich warunkach jest on moim jedynym bankierem. Ten brak odpowiedzi i pieniędzy oraz to czekanie nerwuje mię i niepokoi. Co gorsze – Kunowski widział się z Pomorskim przed kilku dniami i rozmawiał o mnie i jeszcze Pomorski nie był otrzymał mojego listu z dokumentami. Zaczynam się obawiać, czy list i wraz z nim paszport nie zaginął, przechodząc przez ręce kurierów Departamentu i innych pośredników w Warszawie (bo kurier wręcza nie wprost adresatowi, to znaczy w danym razie Abramowiczowi, ale składa cały transport korespondencji w ekspozyturze Departamentowej, gdzie się ją dopiero segreguje). O sam list i nawet prośbę pieniężną już mniejsza, bo to można ponowić, ale strata paszportu byłaby przykrą. Co zaś do samego podania do władz niemieckich, to wolałbym nawet, aby Pomorski się wstrzymał z jego wniesieniem, bo po rozmowie z Kunowskim po jego powrocie z Warszawy skłaniam się coraz bardziej do przeniesienia się na stałe do Warszawy. Po pierwsze, stamtąd łatwiej jest starać się o wyjazd do Wilna, a po wtóre, można tam produktywniej pracować, niż tu w Departamentowym bagienku piotrkowskim, szczególnie, że nie sprzyjam polityce Departamentu i nie chcę się z nim wiązać. Obóz niepodległościowy w Warszawie bardzo potrzebuje ludzi; pracy znajdzie się dużo i

skutecznej, nie wyłączając akcji w sprawie litewskiej, a choć ani CKN, ani niepodległościowcy nie mogą swoich ludzi opłacać, jak to robi Departament (jest to jego główna siła), to jednak możliwości zarobkowe w Warszawie się znajdą. Ulegalizowanie się na stały pobyt w Warszawie nie jest podobno trudne, a dojechałbym stąd do Warszawy w najprostszy sposób, za marszruta służbową z Departamentu. Zdaje się, że na pewno na to się zdecyduję. Co mam marnieć bezcelowo w tym Piotrkowie, wisząc połowicznie przy Departamencie. Płyną miesiące za miesiącami, a ja tu wiszę i ani wybrnąć nie mogę, ani do Departamentu szczerze się przygarnąć. Kunowski widział się w Warszawie z Sosnkowskim, który mu mówił, że postanowili obecnie żądać kategorycznie całkowitego zwinięcia polityki Departamentowej i gotowi są odwołać z departamentu i placówek werbunkowych wszystkich swoich ludzi z I Brygady. Słyszałem też, że Piłsudski, prócz ucywilnienia Departamentu, żąda równie kategorycznie całkowitego wyrzeczenia się przez Departament wszelkiej subwencji austriackiej, na której się on głównie opiera. Istotnie – zarówno ta subwencja, jak ścisłe związki Sikorskiego z austriacką Armee-Ober-Komando w Cieszynie, sprawia, że Departament jest bardziej zależny od Cieszyna, niż od Krakowa (od NKN-u), stając się w dużym stopniu ekspozyturą A.O.K. i urzędowej polityki austriackiej w Królestwie. Wracam do owych zebrań opozycji Departamentowej sprzed kilku dni, o których nie dokończyłem pisać. Na drugim z tych zebrań, środowym, gdy się spostrzegłem, że opozycja schodzi na tory drobnej krytyki Sikorskiego, sankcjonującej właściwie jego ingerencję w określenie na przyszłość organizacji werbunkowej i przeto polityki Departamentu w Królestwie wbrew uchwale Komisji Wykonawczej NKN, postanowiłem w takiej akcji opozycji udziału nie brać, a to tym bardziej, że w tej jedynej materii, w której opozycja zdołałaby cokolwiek dokonać – w materii wewnętrznej sanacji biur – ja, jako niekompetentny, nie mógłbym być użyteczny. Oświadczyłem to na zebraniu, motywując moje cofnięcie się. Atoli Kaufman z Rutkowskim, chcąc mię pozyskać i analizując przyczyny mego ustąpienia, zwołali na czwartek trzecie z rzędu zebrańko, na które zaproponowali nowy projekt akcji, zgodniejszy już ze stanowiskiem, którego ja broniłem, to znaczy stanowiskiem prawnym opierania się formalnego na punkcie drugim uchwały Komisji Wykonawczej, i, konkretyzując to praktycznie, zaprojektowali zażądać na zebraniu z Sikorskim utworzenia komisji doradczej, tak skonstruowanej, aby mogła istotnie kontrolować wykonanie ścisłe przez Sikorskiego uchwały. Projekt ten zaakceptowano i wobec tego ja pozostałem.

12 czerwca, rok 1916, poniedziałek
W ogłoszonym dziś komunikacie austriackim jest mowa o paru lokalnych sukcesach – pod Tarnopolem, gdzie Austriacy odzyskali jakąś pozycję straconą, i pod Kołkami czy Rożyszczem na północ od Łucka, gdzie w pomyślnej walce odparli atakujących Rosjan nazad za Styr, biorąc coś z 1 ½ tysiąca jeńców, ale natomiast pod Oknem cofnęli się znowu. Nie jest to więc nic wielkiego: podnoszenie drobnych sukcesów dla dodania animuszu, ale na ogół ton minorowy, niepewny. Kiedy to się po prostu wyczuwa sytuację, czy jest groźną, czy zrównoważoną, czy pewną – zwycięską! Stan rzeczy na froncie tak się żywiołowo propaguje w świadomości i nastroju, jak żeby coś było w powietrzu, co się udziela ludziom jak zarazki. Otóż na ogół nie jest jeszcze bynajmniej dobrze i niebezpieczeństwo zażegnane nie jest. Przełamanie austriackiego frontu nad Putyłówką i zdobycie Łucka przez Rosjan było bądź co bądź sukcesem dla Rosjan poważnym, groźnym w skutkach. Kwestia utrzymania stanowisk nad Styrem pod Łuckiem jest boda że w tej chwili głównym zagadnieniem. Jeżeli Moskale tu przełamią linię lub też nad Strypą, to konsekwencje mogą być dla całego frontu ujemne.

Naprężenie trwa. Komunikat austriacki, który przyszedł do redakcji „Dziennika Narodowego" wieczorem, a który znam z ustnej relacji, wskazuje na ponowne cofnięcie się na Bukowinie, na pewien sukces pod Buczaczem, uzyskany z udziałem Niemców, gdzie wzięto kilkuset jeńców, na niezakończenie walk pod Tarnopolem i na niezmienność sytuacji na froncie wołyńskim. Nadal więc jest niewyraźnie. Cyfry jeńców rosyjskich są minimalne wobec strat austriackich w jeńcach, podawanych w komunikatach rosyjskich na 60 000, nawet uwzględniając grubą przesadę doniesień Moskali. Cofnięcie się w kilku miejscach, wielki wyłom pod Łuckiem, ciężkie straty i depresja – to smutny dla Austriaków bilans pierwszego tygodnia ofensywy rosyjskiej. Tu już gadają o 100 000 strat austriackich w jeńcach, o zajęciu Czerniowców przez Rosjan itp. – nawet w kołach antyrosyjskich. Zdaje się jednak, że na razie to jest przesada. Z naszego legionowego odcinka miałem dziś list od obywatela Balbina, który pod datą 5 czerwca donosi, że u nich było dotąd spokojnie, tylko spod Czartoryska dochodzi odgłos wielkiej kanonady armatniej i karabinowej, lecz powiada, że wigilią, to znaczy 4 czerwca „dzielni Madziarzy" nie tylko że odparli tam atak Moskali, idących w 6 linii, „ale sprawili im porządną łaźnię, a kontratakiem zabrali, jak baranów, do worka".
Dziś znowu odbyło się zebrańko opozycji Departamentowej w gabinecie Góreckiego w Biurze Werbunkowym. Zostało ono zwołane na wniosek Kaufmana, poniekąd z powodu przyjazdu Kunowskiego dla podzielenia się z nim naszymi zamiarami i wysłuchania ewentualnie jego sądu, poniekąd dla jakichś jeszcze dodatkowych wątpliwości Kaufmana, wreszcie poniekąd a może głównie – dla omówienia listu Piłsudskiego, który otrzymał Górecki (czy list ten jest do Góreckiego pisany – tego nie wiem). Szefowie Departamentu – Sikorski i Downarowicz – dotąd nie wrócili jeszcze. Sikorski siedzi w Warszawie, Downarowicz, zdaje się, w Krakowie. Od tygodnia Sikorski jest już lada dzień spodziewany i, zdaje się, że wreszcie jutro przyjedzie, ale naturalnie zaraz znowu wybiera się w świat, ogarnięty polityczną podróżomanią. Jak tylko więc przyjedzie, trzeba będzie go złapać, aby nastać na odbyciu się naszego z nim zebrania. Dziś u Góreckiego zebrał się cały nasz „spisek", to znaczy: Górecki, Pohoski, Waszkiewicz, Rutkowski, Krzemieniewski, Grabowski, Kaufman, Kunowski i ja. Treść listu Piłsudskiego, zakomunikowana nam przez Góreckiego, jest mniej więcej taka. Piłsudski powiada, że tylko dwie rzeczy – ucywilnienie i „odpienięźenie" – mogłyby ocalić Departament jako instytucję narodową w Królestwie. Pod odpienięźeniem rozumie Piłsudski zupełne wyrzeczenie się przez Departament subsydiów wojskowych austriackich, które pogłębiają jego fatalną zależność od A.O.K. (Armee-Ober-Komando). W istocie Departament, dzięki tej zależności, którą Sikorski nieopatrznie umacnia przez ciągłe odwoływanie do A.O.K. i którą wszyscy kierownicy Departamentu w swej polityce akceptują, stając wobec władz austriackich na stanowisku austriackiej racji stanu, jest dziś narzędziem w systemie okupacyjnym władz austriackich w Polsce, nie zaś organem obywatelskim. Piłsudski nie wierzy jednak w uniezależnienie się Departamentu i dlatego stwierdza, że z instytucją tą w narodowym ruchu polskim trzeba się wprost przestać liczyć i zerwać; jest prawie zdecydowany w najbliższym czasie odwołać z Departamentu swoich ludzi do pracy, jak powiada, bardziej ofiarnej, ale skuteczniejszej". (Piłsudski ma tu na myśli wygodniejsze materialne wyposażenie pracowników w Departamencie w porównaniu do ubóstwa materialnych środków tej pracy, którą z ramienia obozu niepodległościowego jego agenci spełniają; rzeczywiście, cała siła i wpływ Departamentu w Królestwie na pieniądzach się opiera, ale tym orężem, choć potężnym siły oręża ideowego się nie zastąpi; nie zastąpi się siły, ale szkodzi się sprawie dużo; a pieniądz ten jest obcy, więc niebezpieczny, bo niewoli ludzi i robi z nich sługi).

Przeszliśmy potem do omawiania znowu naszej akcji opozycyjnej. Kunowski zaproponował, aby opozycja zeszła ze stanowiska urzędniczego i wystąpiła wobec Sikorskiego na gruncie polityczno-obywatelskim, kreśląc w memoriale krytykę polityki Departamentowej, służącej narzędziem austriackich interesów, i kreśląc linię tej polityki samodzielności, której wyrazem powinien być Departament jako organ Sprawy Polskiej. Nie zgodziłem się z Kunowskim, bo, aczkolwiek można taką krytyką uzasadnić nasze wystąpienie, to jednak zgłaszać do Sikorskiego żądanie, czym ma być Departament na przyszłość w głównej sprawie, jaką jest werbunkowa, uważam za nieskuteczne i szkodliwe nawet wobec uchwały krakowskiej Komisji Wykonawczej. Że Sikorski, który zabrnął w zależność od A.O.K., sam nie będzie miał siły do zreformowania Departamentu w kierunku samodzielności – to pewne. A skoro uchwała Komisji Wykonawczej odebrała mu kompetencję i prawo określania na przyszłość organizacji werbunku, to opozycja Departamentowa ma w tej uchwale znakomity grunt prawny. Sam nie wierzę, aby uchwała Komisji Wykonawczej była w stanie Sikorskiego podporządkować i istotnie z mienić coś w systemie Departamentu Zależność Sikorskiego od A.O.K. jest dlań zarazem faktyczną niezależnością od NKN, istotnej legalnej obywatelskiej władzy Departamentu. Opierając się na A.O.K., zakpi on sobie z tej uchwały i sam wespół z A.O.K. przesądzi sprawę, w najlepszej nawet wierze, przez polityczną lekkomyślność i brak poczucia prawa i obywatelskiego gruntu, bo trzeba biednego Sikorskiego traktować nie jako człowieka złej woli, ale ofiarę błędów własnych. My wszakże powinniśmy stanąć na gruncie prawa i z tego gruntu nie schodzić; a gdy spostrzeżemy, że Sikorski złamał stanowisko prawne i wyłamał się z uchwały komisji krakowskiej, zadokumentować bezprawie i samowolę i z protestem wystąpić. Taki był mój plan, który został przyjęty. Nie mylę się, Sikorski już się wyłamuje, sam tego nie rozumiejąc, bo już polecił Góreckiemu opracowanie memoriału do A.O.K. o zreformowanej organizacji werbunku, będącej parodią ucywilnienia akcji werbunkowej, spodziewając się tą drogą stworzyć fakt dokonany i zaskoczyć nim drogę, wskazaną przez uchwałę Komisji Wykonawczej. Górecki zrozumiał moją myśl i postanowił wykazać Sikorskiemu nieprawność tego kroku i ewentualnie odmówić opracowania żądanego memoriału.

13 czerwca, rok 1916, wtorek
Znowu komunikat wieczorny, który jutro będzie opublikowany, przyniósł kilka szczegółów o postępach ofensywy rosyjskiej na bukowińskim froncie. Moskale – zdaje się, że kawalerią – zajeli Horodenkę, Śniatyń i Sadogórę. Na reszcie frontu, to znaczy wzdłuż Strypy i Styru, ataki ich zostały wszędzie powstrzymane. W kołach Departamentowych uważają to za poważny epizod porażki. Co do mnie, to sądzę, że jest to nie nowy samodzielny epizod walki, jeno szczegóły cofnięcia się Austriaków na tamtym odcinku, sygnalizowanego od dwóch dni. Moralnie sprawia to oczywiście ujemne wrażenie, a jeżeli zajęte jeszcze zostaną Czerniowce, co zdaje się być obecnie prawdopodobne, to będzie to i politycznie rzeczą bardzo ujemną. Pod względem wszakże strategicznym obawiałem się i obawiam bardziej przerwania frontu nad Styrem lub Strypą, niż wbicia klina rosyjskiego w kąteczku bukowińskim, między Dniestrem a granicą rumuńską. Tu w kołach Departamentowych i zwłaszcza niepodległościowych strasznie już „sobaczą” z tego powodu na Austrię, zdaje się – więcej, niż na to zasługuje. Odmawiają jej wszelkiej wartości, mieszają jej walor wojskowy z błotem, kpią z niej złośliwie; są zaniepokojeni, skłonni do wyciągania zbyt daleko idących konsekwencji postępu rosyjskiego, nie wierzą za grosz austriackiej zdolności oporu, a jednocześnie jak gdyby się cieszyli z jej poniżenia i pastwili nad nią za jej dwulicowość w sprawie polskiej; ale przecież w gruncie rzeczy powodzenia Rosjan się boją.

Zobaczymy, co z tego będzie. Da Bóg, że ofensywę rosyjską diabli wezmą. Co do mnie, to gdy chodzi o ewentualność sukcesu rosyjskiego, zapominam o wszelkich urazach i żalach i jestem tylko antyrosyjsko usposobiony. Że Austria zblamowała się tu trochę, to pewne, bo przecież front bukowiński miał być tak znakomicie wzmocniony, tak niedostępny, i przecie od dawna wiedziano powszechnie o gromadzeniu się olbrzymich sił rosyjskich na Bessarabii; koło Nowego Roku front ten oparł się dzielnie wściekłym atakom rosyjskim; Czerniowce zdawały się być granitowym murem obronnym odcięte od niebezpieczeństwa. Ale przerwanie frontu na Wołyniu lub nad Strypą, rozdarcie żywej i ciągłej linii wydaje mi się rzeczą groźniejszą, niż postępy na Bukowinie. I dzięki Bogu, że tam pierwszy cios pod Łuckiem został, przynajmniej jak dotąd, zatrzymany na Styrze. Swoją drogą, zachowując rezerwę co do niebezpieczeństwa na przyszłość, nie trzeba dotychczasowych wyników przesadzać. Pamiętajmy, że na froncie rosyjskim wszelkie postępy, wszelkie przypływy i odpływy ruchów należy mierzyć inną skalą, niż na wszystkich innych frontach. W porównaniu do Serbii, do włoskiego frontu w Alpach, do frontu francuskiego – tu na froncie wschodnim szło zawsze wielkimi rozmachami. Od początku wojny na tym froncie szły rzuty i fale w tę lub inną stronę tak wielkie, że wobec nich postępy gdzieś we Francji, w Alpach lub nawet na Bałkanach, które tam coś znaczą i stanowią o porażkach lub zwycięstwach, wydałyby się znikome jak dziecinna zabawka. Gdy inne fronty cechuje głęboka intensywność, front rosyjski, na skutek wielkich mas ludzkich, właściwości terenu i niższej techniki – cechuje ekspansywność. Przypomnijmy gwałtowne szerokie inwazje rosyjskie do Prus Wschodnich, w Galicję i Bukowinę, podobne do wylewów rzek, wielkie przypływy i odpływy ofensyw Hindenburga, wreszcie zeszłoroczną ofensywę mocarstw centralnych od Karpat i Krakowa po bagna Polesia i Dźwinę i zestawmy je z ruchami na innych frontach. Co znaczą wobec tamtych epickich ruchów obecne drobne postępy pod Łuckiem lub na skrawku Bukowiny! Oczywiście, jeżeli się na nich tylko rzecz zatrzyma. Po wtóre, od zeszłorocznych Gorlic takeśmy odwykli od tego, że linia frontu mocarstw centralnych może się czy to na froncie rosyjskim, czy na innych zmieniać także i na ich niekorzyść, że dziś wrażenie każdej takiej zmiany działa na nas jak uderzenie obuchem i jest niewspółmierne z wrażeniem jakichkolwiek zmian na ich korzyść. To jest czynnik psychologiczny ważny, który, niestety, zawsze obciąża bardziej zwycięzców, niż zwyciężonych. Ludzie się oswajają z, że tak powiem, logiką linii wypadków wojennych: cofanie się tych, którzy się stale „logicznie” cofają, nie robi takiego wrażenia porażki, jak choćby lekkie „nielogiczne” cofnięcie się tych, którzy zwykle postępują. Ale niemniej jestem zaniepokojony.

Z wypadków politycznych przyszła wczoraj nieprzyjemna wieść z Warszawy. Z okazji wyborów do Rady Miejskiej elementy niepodległościowe połączyły się z elementami austrofilskimi z Ligi Państwowości Polskiej w zaprojektowanym przez nie Komitecie Demokratycznym w celu przeciwstawienia się agitacji wyborczej prawicy, złożonej z elementów ugodowych, moskalofilskich, niewyraźnych itp. Otóż władze niemieckie odmówiły legalizacji Komitetu Demokratycznego. Osłabia to znacznie i utrudnia akcję elementów antyrosyjskich, dla których stanowisko w reprezentacji miejskiej byłoby atutem poważnym. Ciekawe są motywy odmowy Niemców, oczywiście poufnie podane. Gdy im z kół projektowanego Komitetu Demokratycznego zwrócono uwagę, że przez odmowę legalizacji popierają one kierunek moskalofilski, odpowiedziały, że to jest bajka, bo właściwie rusofilów wśród Polaków w Warszawie nie ma, a są jeno bądź elementy stateczne i dojrzałe, gotowe do współżycia z każdą władzą (to znaczy ugodowe), bądź elementy austrofilskie, których Niemcy na okupacji swej popierać sobie nie życzą; poza tym, są tylko elementy niezrównoważone, z którymi się oni nie liczą. To ciekawe. Niemcy chcą w Polsce zwalczyć kierunek austriacki, łechcąc

niepodległościowe uczucia, ale na konsekwentnych niepodległościowcach opierać się nie chcą, bo im nie ufają bynajmniej i wolą się oprzeć na bezbarwnej i biernej masie narodowej, która do niedawna była moskalofilska, licząc, że ona stanowi główny rdzeń narodu (zwłaszcza w narodzie niewolnym) i że jej istotną cechą i „zaletą" jest ugodowość w stosunku rządu, a przeto jest ona dla nich, jak była dla Moskali, najpewniejszą. I ze swego stanowiska Niemcy mają rację.

14 czerwca, rok 1916, środa
W komunikacie wojennym austriackim, który wczoraj z opowieści streszczałem, a dziś w druku przeczytałem, jest, oprócz cofnięcia się Austriaków na froncie bukowińskim za Prut i zajęcia w związku z tym przez Moskali kilku nowych miejscowości, jeszcze inna rzecz zła: mianowicie stwierdzone jest zajęcie przez kawalerię rosyjską na Wołyniu Tarczyna czy Torczyna, położonego o ± 20 kilometrów na zachód od Łucka; jest to więc już znaczne rozszerzenie się Rosjan na lewym brzegu Styru, głębokie wydrążenie w linii austriackiej, a to, że miejscowość tę zajęła kawaleria, świadczy, że linia austriacka tam się jeszcze cofa i dotąd nie stanęła w kontakcie z regularną linią ofensywy rosyjskiej. Wszakże pod Kołkami Austriacy zdają się trzymać mocno i dotąd ataki rosyjskie odpierają; w tym stanie rzeczy Kołki są pozycją ważną, na której zawisła ofensywa rosyjska po sforsowaniu Łucka; gdyby pozycja pod Kołkami została sforsowana, linia Styru byłaby prawdopodobnie całkowicie stracona i linia austriacka musiałaby co najmniej zwinąć do Stochodu, bezpośrednio zaś za tym byłyby zagrożone Włodzimierz Wołyński i Kowel.
Z powodu ofensywy rosyjskiej zaniepokojenie i pogłoski szerzą się ciągle, dochodząc nieraz do fantastycznej przesady. Najgłupsze i najłatwowierniejsze ciemne elementy robią już niemal z Kołek Koluszki, a z Dubna Dęblin (Iwangród), zbliżając do tych miejscowości ofensywę rosyjską. Swoją drogą, ludzie w potęgę rosyjską wierzą głęboko i boją się jej, wierzą może więcej, niż sami Rosjanie. O Legionach krążą najdziwaczniejsze brednie: że zginęło 14 000, a do niewoli wzięli Moskale 17 000, że z Kozienic i Krakowa wszystkich legionistów wysłali forsownie na plac boju, nie dając nikomu pardonu (tylko w Piotrkowie dziwnym trafem legionistów nie tknięto! Błogosławiony gród pod słońcem!) Legiony są w rzeczywistości dotąd nietknięte na swoim odcinku poleskim i mają spokój – zapewnia o tym depesza Komendy Legionów z Legionowa, nadeszła dziś w nocy. Morstin, który dziś z Sikorskim z Warszawy przyjechał, powiada, że i w Warszawie jest wielkie zaniepokojenie z powodu ofensywy rosyjskiej i żywiołowy strach przed powrotem Moskali. Że są elementy, które pragną tego powrotu i tęsknią do Moskali – to pewne, ale na ogół jest nie pragnienie ich powrotu, lecz strach. Czemu to przypisać? Czy tylko wzrostowi niepodległościowych aspiracji, których najniebezpieczniejszym, instynktem wyczuwanym wrogiem, jest Moskal? Z pewnością, że w dużym stopniu tak, ale sądzę, że nie wyłącznie. Znaczną część tego strachu trzeba położyć, niestety, na karb instynktu bezwładu, który jest tak silny w nieszczęsnym ludzie niewolnym – wyraz tragedii polskiej. Ludzie się oswajają z każdą formą niewoli, zastosowują do niej swoją akcję i nade wszystko boją się wszelkiej zmiany, która łamie radykalnie nawiązaną rutynę, przynosi coś niewiadomego i zmusza do zejścia z łatwej drogi najmniejszego oporu. Okupację niemiecką traktuje wielka masa, nie wyłączając przeciętnej inteligencji mieszczańskiej, jako nową formę niewoli, nie zaś środek i okoliczność do wywalczenia czynnych posterunków własnej sprawy polskiej. Powrót Moskali, zwłaszcza podczas wojny, grożący nową straszliwą pożogą zniszczenia i niewiadomym traktowaniem przez Moskali Polaków za ich stosunki w czasie okupacji – przeraża ich. Na szczęście, do Warszawy inwazja rosyjska nie dojdzie!

Skończyliśmy dziś z Krzemieniewskim nasz protokół, wieńczący pracę nad skontrum kasowym w Departamencie.
Dziś wysłałem – naturalnie drogą poufną – do Warszawy na ręce Medarda Downarowicza mój memoriał do CKN-u w sprawie litewskiej. Pisanie tego memoriału zakończyłem 8 czerwca, a przepisała mi go na maszynie p. Górecka. W memoriale tym, powołując się zresztą na mój zeszłoroczny memoriał do NKN-u i tegoroczną marcową notatkę do Sikorskiego o projekcie kampanii litewskiej, kreślę potrzebę i zasady rozpoczęcia przez CKN akcji politycznej na Litwie, zmierzającej do porozumienia z Litwą w celu łączenia jej sprawy ze sprawą polską. Najwyższy czas, aby z tym się ze strony odpowiedzialnych rzeczników Sprawy Polskiej do Litwy zwrócono.
Chcę tu zanotować mały ale bardzo charakterystyczny szczegół, ilustrujący stosunek Departamentu do A.O.K. i kierunek „narodowej" polityki Departamentu, uprawianej wobec czynników austriackich. Pohoski pokazał mi odpis jednego ustępu z memoriału, przedstawionego przez Departament – A.O.K. (Armee-Ober-Komando). Nie zanotowałem, niestety, daty tego memoriału. Otóż odnośny punkt 7 tego memoriału informuje Austriaków o P.O.W. Powiada on, że P.O.W. zajmuje się organizowaniem „rezerw polskiego ruchu zbrojnego, przeciwstawiając tę akcję werbunkowi do Legionów i że sam oblicza te rezerwy na 14 000 ludzi, podczas gdy „podług naszych wiadomości" zawierają one zaledwie do 4 000 ludzi. Jest to rzecz po prostu skandaliczna. Rozumiem, że można nie podzielać stanowiska P.O.W., można akcję „tworzenia rezerw" uważać za jałową czy nawet ujemną, można ją wewnątrz nawet zwalczać, ale wobec Austriaków należy z niej li tylko wyciągnąć pożytek dla siebie, wyzyskać jako swój atut, przedstawić Austriakom w sile raczej wzmożonej, aby coś tym atutem we własnej grze od nich wytargować, ale nie obniżać P.O.W., nie stawać na stanowisku agenta i poufnego informatora Austrii, co oczywiście przez nią będzie zużytkowane wyłącznie na swoją korzyść; nie mówię już o samej niestosowności takiego informowania.

15 czerwca, rok 1916, czwartek
Dziś podług komunikatu sytuacja na froncie wschodnim już lepsza. Walki nie ustały oczywiście, ale żadnych nowych postępów rosyjskich nie ma. Tempo ofensywy rosyjskiej, która uderzyła nawałnicowym rzutem pod Łuckiem, w Galicji i na granicy bukowińskiej, zdaje się słabnie, bo już nawet wczorajsze szczegóły o zajęciu przez Rosjan Śniatynia, Horodenki i Sadogóry oddziałami kawalerii, oraz posunięcia się również kawalerii do Torczyna na Wołyniu – zdają się być tylko epizodami poprzedniego ciosu, nie zaś samodzielną zdobyczą. Zewsząd przychodzą wieści o olbrzymich posiłkach austriackich i zwłaszcza niemieckich, płynących wielką rzeką do Galicji, Bukowiny i Wołynia. Lublin, Kowel – są podobno zalane wojskami niemieckimi, śpieszącymi na odsiecz. Wojskom tym towarzyszy artyleria i wszelkie uzupełnienie techniczne, potrzebne dla organizacji obrony. Przypuszczam, że nastąpiło już przesilenie w ofensywie rosyjskiej. O Leg jonach przyszły szczegółowsze wieści. Brały one udział czynny w tych walkach i spisały się, jak zawsze, świetnie. Podobno udział brały zwłaszcza pułk IV i pułk II Januszajtisa, także beliniacy i zapewne pułk V Berbeckiego, bo odznaczył się szczególnie batalion Wyrwy, należący do tego pułku. Zdaje się, że ta grupa Legionów była skierowana pod Kołki i tam walczyła na jednym z najodpowiedzialniejszych odcinków. Legioniści odparli wszystkie ataki rosyjskie i sami przechodzili do kontrataków; zdobyli coś do 1 500 jeńców, sami zaś mieli podobno tylko 16 zabitych i 50 rannych. Nasz pułk I podobno wcale udziału w tych walkach nie brał. Legionistom udzielono za to całego szeregu nowych odznaczeń.

Wczoraj po powrocie Sikorskiego Górecki, przy referowaniu mu spraw bieżących, zastrzegł się, że nie uważa za możliwe opracowanie memoriału do A.O.K. o nowym systemie organizacji werbunku, ponieważ zasady tegoż muszą być w myśl uchwały Komisji Wykonawczej NKN-u ustalone przez kooperację NKN-u z grupami politycznymi i społecznymi Królestwa, nie zaś samodzielnie przez Sikorskiego przesądzane, i przy tej sposobności oświadczył mu, że grono współpracowników Departamentu, które podpisało znane oświadczenie z d. 24 maja, życzy sobie pokonferować z Sikorskim dla przedstawienia mu swoich poglądów na sytuację i działalność Departamentu oraz poinformowania się od Sikorskiego o jego wnioskach i w tym celu prosi o wyznaczenie zebrania. Sikorski podobno żachnął się na to, zaznaczył, że uważa taką „spiskową" opozycyjną organizację w łonie Departamentu za niedopuszczalną; że takie usiłowanie postawienia szefa pod kontrolą jakiejś samorodnej, dowolnie dobranej, grupy współpracowników za akt w założeniu swoim dezorganizacyjny. Ostatecznie, naciśnięty, zgodził się wyjątkowo na takie zebranie, zastrzegając się wszakże przeciwko precedensowi. W szczególności co do owego porozumienia się z grupami Królestwa stwierdził, że, będąc w Warszawie, już się porozumieć usiłował, urządzając w tym celu specjalne zebranie z przedstawicielami Ligi Państwowości i CKN-u oraz I Brygady w osobie bawiącego tam Sosnkowskiego, ale tu się ujawniło, że o porozumieniu nie ma mowy, bo CKN i jeszcze bardziej Sosnkowski – występują kategorycznie przeciwko werbunkowi i żądają nawet całkowitego zwinięcia akcji Departamentu i usunięcia się go z Królestwa. Sikorski nie tylko nie zwrócił uwagi na to, że w myśl uchwały Komisji Wykonawczej porozumiewanie się z grupami Królestwa ma należeć nie do niego, lecz do NKN-u, ale twierdzi, że takie komentowanie uchwały jest wprost fałszywe, niezgodne z istotą rzeczy, bo Komisja Wykonawcza właśnie jemu wszelką inicjatywę co do wniosków porozumienia oraz pośrednictwo zleciła i że jest to tylko wybiegiem Daszyńskiego i jego zauszników, którzy przez panią Radlińską inspirują nas do warcholenia w Departamencie. W tym sensie toczyła się rozmowa Góreckiego z Sikorskim w obecności podporucznika Rutkowskiego, którego Górecki ze sobą na świadka zaprosił. Ton Sikorskiego był ostry i przykry. Zebranie nasze z Sikorskim wyznaczone zostało na dziś na godz. 8 wieczór w mieszkaniu pułkownika. Przedtem o godz. 2 po południu zebraliśmy się sami w gabinecie restauracji Banaszewskiego, aby się jeszcze raz ostatecznie porozumieć, biorąc pod uwagę stanowisko pułkownika wobec nas. O zebraniu z Sikorskim zreferuję jutro.

16 czerwca, rok 1916, piątek

Opiszę wczorajsze i dzisiejsze zebranie opozycji Departamentowej z Sikorskim. Na zebranie to dr Kot na własną rękę zaprosił parę najwierniejszych osób z Departamentowego obozu z Biura Prasowego – panią Izę Moszczeńską i Zenona Wierzchowskiego. Nie podobało się to nam, bo w ten sposób postarano się od razu obniżyć poufny charakter naszej pogadanki z Sikorskim; jeszcze p. Moszczeńska – to pół biedy, bo choć jest nudna i po kobiecemu ciasna w swoim zarozumiałym zacietrzewieniu Departamentowym, ale przynajmniej względnie taktowna, podczas gdy Wierzchowski jest i ciasny i nieznośny i zachowywał się też arogancko jak lokaj, którego pan łaskawie dopuścił do poufnej pogawędki w kole swoich znajomych; nie przemawiał, ale gestami, wyrazem twarzy, minami i tłumionymi wykrzyknikami manifestował zachwyt nad każdym słowem i argumentem pułkownika lub Kota, wyrażając też piorunujące zwycięstwo nad nami i zdruzgotanie kompletne naszych dowodów i zarzutów. Grał rolę poufałego współtriumfatora swoich panów i współpogromcy naszej nędznej opozycji; dla panów miał uwielbienie, dla nas –

potępienie, zmieszane z litością. Trzymanie przez Kota tak niesamodzielnego i mało inteligentnego, a zgoła niefachowego w publicystyce człowieka, jak doktor chemii Wierzchowski, na odpowiedzialnym stanowisku technicznego redaktora „Wiadomości Polskich" – jest jednym z wielkich braków organizacji Biura Prasowego. Ale Kotowi taki właśnie Wierzchowski jest dogodny i potrzebny: jest ślepo Kotowi uległy, jest mu jak pies, wierny do przesady zasklepiający austrofilskie i wszystkie inne stąd płynące praktyczne tendencje Departamentowej linii, nie mędrkujący własnym rozumem; Kot często na długo wyjeżdża i wtedy obecność Wierzchowskiego w Biurze Prasowym jest dlań gwarancją, że nic się nie zmieni i nic się bez wiedzy Kota nie zrobi przeciwnego jego widokom.
Na zebranie więc stawili się wczoraj: pułkownik Sikorski, dr Kot, p. Moszczeńska, Wierzchowski i w komplecie cała nasza opozycja, czyli członkowie „stowarzyszenia Białej Róży", jak żartem nasz „spisek" przezywaliśmy czasem, a więc: Piotr Górecki, Pohoski, Rutkowski, Waszkiewicz, Krzemieniewski, Kaufman, Tadeusz Grabowski i ja (Kunowski nie był przez nas do tego zebrania zaangażowany, bo jako człowiek świeży i nieustalony dotąd w swojej przynależności i w swoich przyszłych czynnościach w ruchu, nie może za spółpracownika Departamentu być poczytywany). Na wstępieśmy już czuli, że nastrój wisi ciężki i pułkownik urażony i nurtowany niechęcią do naszej akcji, inspirowaną mu przez Kota i Downarowicza, Kot – zły i sarkastycznie usposobiony. Pułkownik w zagajeniu zaczął od tego, że potraktował akcję naszą jako nielegalną tak w stosunku do szefa Departamentu, jak w stosunku do ogółu kolegów, od których się separujemy, i jak wreszcie, w stosunku do samej instytucji, do której należymy, a pod którą dołki kopiemy. Nie będę tu zbijał tego twierdzenia, bo bezzasadność jego wydaje mi się aż nazbyt jasna. Pułkownik wypowiedział to tonem ostrym, w którym przebijała nuta nie tylko urazy osobistej, ale i stosunku szefa, a więc władzy, do swoich nie współpracowników tylko, ale podwładnych. Urażony i wyniosły ton Sikorskiego, który rozpoczął na wstępie naszą pogadankę od udzielenia nam co najmniej admonicji służbowej, jeżeli nie nagany, podziałało ujemnie na cały przebieg wczorajszego zebrania. Byliśmy skrępowani, a nawet z góry upokorzeni. Ja osobiście wyczułem to szczególnie silnie, ponieważ nie przywykłem nigdy, poza ścisłą wojskowością, do stosunku służbowego i do nierówności elementarnej w jakichkolwiek obradach i dyskusjach natury obywatelskiej. W kilku słowach, bezbarwnie skleconych i nie podnoszących rzuconej nam rękawicy, przemówił Krzemieniewski na temat stosunku pułkownika do Piłsudskiego, zapytując o rezultaty widzenia się na froncie z Piłsudskim i Piłsudskiego do Departamentu zgłaszanych żądań. Podług ułożonego przez nas podziału ról, Krzemieniewski powinien był zabrać głos pierwszy w tej właśnie materii, ale wobec zagajenia Sikorskiego właściwie przede wszystkim uzasadnić charakter naszego wystąpienia i wyrazić jego momenty zasadnicze. Tej roli podjął się Rutkowski. Miał zadanie niewątpliwie trudne, bo musiał połączyć istotę rzeczy z odparowaniem tego stanowiska oskarżonych, jakie nam Sikorski w zagajeniu narzucił. Rutkowski pomimo najlepszej chęci wywiązał się z tego zadania niezbyt zręcznie. Z trudnością mu przyszło w długiej i niezwiązłej przemowie godzić lojalizm naszego wystąpienia z zasadniczymi elementami naszej krytyki i zastrzeżeń oraz żądań natury ideowo-obywatelskiej. W kilku ustępach przemowy było ostrze groźby, a nade wszystko była właśnie owa połowiczność godzenia, która zmuszała do niedomówień, braku szczerości, co z konieczności sprawiało wrażenie czegoś bladego i dziecinnego niemal, wrażenie przykrej kolizji między istotną tendencją stanowiska obywatelskiego a rolą podwładnych pracowników instytucji. Sikorski niecierpliwił się słuchając, wyczuwał niedomówienia i brak szczerości, którego nie umiał jednak usprawiedliwić swoim własnym postawieniem sprawy w zagajeniu, nerwowo trzaskał w palce i kilka

razy nie wytrzymał, by nie zażądać od Rutkowskiego streszczania się i zacytowania przykładów i faktów w sferze insynuowanych zarzutów.

17 czerwca, rok 1916, sobota
Połowiczność i niedomówienia w przemowie Rutkowskiego na pozawczorajszym zebraniu u Sikorskiego, spowodowane trudnością godzenia dwóch tak różnych stanowisk, jak wolne stanowisko obywatelskie i służebne stanowisko lojalizmu wobec przełożonego i samej instytucji, sprawiały, że zarzuty Rutkowskiego miały raczej charakter insynuacji, niż rzetelnej krytyki w otwarte karty. Brak głębokiego zasadniczego postawienia sprawy zmuszał do pozorowania wystąpienia jakimiś innymi zarzutami. Sikorski, wyczuwając insynuacyjny i nieszczery charakter krytyki, wikłający się w niedomówieniach, półgroźbach i niejasnych zarzutach, niecierpliwił się i przyciskał Rutkowskiego do muru, żądając faktów i konkretnych przykładów. Rutkowski, zaskoczony znienacka, nie miał pod ręką materiałów do zarzutów szczegółowych poza gruntem zasadniczym, którego sam unikał, rzucił kilka najbardziej znanych faktów i szczegółików z dziedziny stosunków Departamentu z A.O.K. oraz z tzw. akcji wywiadowczej Departamentu. Sikorski w odpowiedzi rzucił się na te ubogie szczególiki i nie miał nic łatwiejszego, jak je rozbić. W tych warunkach całe nasze wystąpienie zostało na wstępie chybione i skarlało do jakiejś manifestacji żaków, przypominającej jakiś dziecinny protest uczniaków z trzeciej klasy, czepiających się jakichś zasłyszanych drobnych faktów i opierających na nich akt oskarżenia, po sztubacku dziecinny, ubrany w szaty wielkiej konspiracji i doniosłego aktu krytyki. Tak też potraktował nas Sikorski w swojej odpowiedzi Rutkowskiemu, o tyle tylko inaczej, że dla sztubaków miałby wyrozumiałość, należną ich wiekowi i niedoświadczeniu, podczas gdy od nas, ludzi dojrzałych i mających pretensję do grania poważnej roli obywatelskiej w wielkich dziejowych wypadkach, więcej się ma prawo żądać, niż od naiwnych sztubaków i pensjonarek. Sikorski nie tylko że nas zlekceważył, ale jeszcze ostro skarcił tonem podniesionym, a zarzuty robił gorąco, w szczególności co do skompromitowania się poszczególnych osób w tzw. akcji wywiadowczej. Słowem – zebranie nasze zeszło na przykre nad wszelki wyraz tory zbłaznowania się. Dr Kot, p. Moszczeńska i Wierzchowski triumfowali i z politowaniem przyglądali się akcji. Że inscenizatorem całego tego obrotu rzeczy był dr Kot – to rzecz pewna. On to musiał podsunąć Sikorskiemu sposób zagajenia zebrania, który wypaczył cały tok naszego wystąpienia – licząc na to, że w godzeniu dwóch różnych stanowisk zabrniemy na żakowskie manowce, jak się też istotnie stało przez niefortunną przemowę Rutkowskiego. Po Sikorskim zabrał głos Waszkiewicz i w o wiele bardziej męskiej i niezależnej formie podniósł zarzuty ze sfery stosunku Departamentu do stronnictw i kierunków politycznych w Królestwie itp. Ale i Waszkiewicz omawiał raczej praktykę akcji Departamentowej oraz jej błędy i wady, niż zasadniczą kwestię linii polityki Departamentowej i jej ujemnych cech wobec Sprawy Polskiej. Wszyscy, zdaje się, czuliśmy się upokorzeni tak wobec samych siebie, jak wobec tryumfujących złośliwie widzów, z których zwłaszcza d. Kot z perfidją eskontował w myśli zyski; wobec Sikorskiego zaś było to nie tylko upokorzenie nasze, ale i wina, bo, występując, winniśmy jemu szczerość i zasadnicze stawianie sprawy bez względu nawet na to, że to on sam zwichnął nasze wystąpienie. W tych warunkach ja postanowiłem zabrać głos i ratować sytuację, stawiając zagadnienie na właściwy grunt zasadniczy i łagodząc kwestię tych lub innych oskarżeń detalicznych. Zapisałem się do głosu, ale akurat przed moim głosem Sikorski oświadczył, że musi zebranie przerwać, bo musi w pilnej i poufnej sprawie pokonferować tegoż dnia jeszcze z dr Kotem. Odłożono więc dalszy ciąg zebrania do dnia następnego, to znaczy do wczoraj. Tak więc ten pierwszy dzień

naszego bezpośredniego kontaktu z Sikorskim nie tylko że nie wydał rezultatu, nie tylko że nie zbliżył nas do jakiegoś kontaktu z Sikorskim, ale też nie dał nam żadnej podstawy do tego lub innego wyjścia z sytuacji, pozostawił na wszystkich uczestnikach wrażenie niesmaczne i, powiedzmy szczerze, ośmieszył nas. Tegoż dnia jeszcze spotkaliśmy się wszyscy „spiskowcy" u Szerszyńskiego na kolacji, ale ponieważ i p. Moszczeńska była z nami, przeto nie mogliśmy się swobodnie naradzić co do dnia jutrzejszego. Potem zawitał do naszego grona i dr Kot, w głębi triumfujący, ale też zły gruntownie na nas, aczkolwiek pozorami nam przyjazny i nieco „litujący się", jak starszy mądry brat w stosunku do zabłąkanych braci. W rozmowie, która już teraz miała charakter prywatny, nie ważący słów w tej mierze, co poprzednio, dr Kot dał wyraz swej najgłębszej intencji, by ostrze winy, jak to czynią Moskale i wszelkie zresztą praktyki „władzy" – odwrócić od ogółu „nieświadomych" i „zabłąkanych" i skierować na istotnego „зачинщика", to znaczy instygatora w osobie Piotra Góreckiego, aby zeń kozła ofiarnego naszego błędu zrobić. Złośliwie i niby to szczerze, niby to nam współczując, dr Kot wskazał, że to Górecki wszystkiemu winien, bo on to przecie stoi faktycznie na czele werbunkowej organizacji Departamentu, która jest głównym kamieniem obrazy i nieporozumień. Zaznaczył, że Górecki słabością i niedołęstwem dużo rzeczy pokrywa, nie umie nimi pokierować, nie umie wprost bezpośrednio z Sikorskim toku rzeczy ułożyć, a gdy potem powstają jakieś kwasy, gdy się coś wewnątrz psuje, on, Górecki, zamiast stawać w roli współodpowiedzialnego, staje na czele opozycji i skierowuje ją przeciwko Sikorskiemu, który jako ciągle będący poza Departamentem w rozjazdach, nie jest po prostu w stanie we wszystkie szczegóły wejrzeć i za wszystkie możliwe błędy, gdyby nawet bywały, odpowiadać. W pewnej mierze Kot ma tu rację, ale tylko w pewnej mierze, o tyle tylko, o ile naszą opozycję, nie stawiając jej na gruncie zasadniczym, ograniczyć do krytyki detalicznych zarzutów.

18 czerwca, rok 1916, niedziela
Po kilku dniach względnego zacisza na froncie wschodnim, w których ciągu nie było przynajmniej nowych postępów rosyjskich i zdawać się już mogło, że ofensywa rosyjska została wstrzymana, dziś znowu przyszła wieść zła. Mianowicie w nieopublikowanym jeszcze wieczornym komunikacie austriackim jest wiadomość o tym, że Rosjanie wymusili w kilku punktach przejście przez Prut na Bukowinie i że Czerniowce przez nich zajęte. Na innych odcinkach frontu, które zdają się być strategicznie ważniejsze, jak wołyński i wschodniogalicyjski, postępów rosyjskich nie ma; przeciwnie nawet – nad Strypą armia niemiecko-austriacka Bothmera odniosła sukces i przy odparciu ataków wzięła 3 000 jeńca. Odcinek bukowiński i w szczególności zajęcie Czerniowiec zdają się być strategicznie mniej ważne; wszakże politycznie i moralnie Czerniowce są wielkim atutem dla Rosjan. Głównie zaś przykrym i ujemnym jest to, że Rosjanie przez sukcesy swej ofensywy obecnej ujawniają swoją żywotność i zdolność ofensywną, która zaprzecza wrażeniu ich rozbicia i zniedołężnienia po ich pogromie zeszłorocznym. To w opinii powszechnej utwierdza przekonanie, że zwycięstwo w wojnie dotąd przesądzone nie jest i że koalicja ma jeszcze w ręku szanse wojenne, nie zaś tylko wyłącznie polityczne. Samo przez się zdobycie przez Rosjan Czerniowiec nie jest ze stanowiska czysto wojskowego rzeczą zbyt wielkiej wagi. Ano, zaczekajmy dalszych wypadków.
Dziś wieczorem w osobnym pokoiku kawiarni Gellerowej grono współpracowników i bliskich Biura Prasowego żegnało Babińskiego, który opuszcza Piotrków i wyjeżdża jutro do Warszawy na posterunek pracownika w warszawskiej ekspozyturze Biura Prasowego. Na pożegnaniu prócz „solenizanta" Babińskiego był dr Kot, p. Iza Moszczeńska, Tadeusz Grabowski, Wierzchowski, Kaufman, panna Hanka Rzepecka,

panna Sydonia Horowitzówna, panna Zosia Gulińska, Maniuś Dąbrowski, chorąży Pochmarski, sierżant Falkiewicz, Fromowicz, Kunowski, bawiący tu czasowo delegat Biura Prasowego na Szwajcarję – Zieliński i ja. Przyjęcie dla Babińskiego składało się z tortu, jagód, ciast, kawy, kakao i herbaty oraz wina porzeczkowego. Nastrój był serdeczny, poufno-koleżeński. Śpiewano dość dużo piosnek legionowych i Biura Prasowego, gawędzono, wygłaszano pożegnalne mowy, utrzymane w tonie lekkim i żartobliwym, acz z odcieniem szczero-serdecznym dla Babińskiego, wreszcie ofiarowano mu album pamiątkowe z karykaturami i pożegnalnymi napisami. Babiński, choć nie jest zbyt mądry, był szczerze jednak lubiany w Biurze Prasowym za swe pogodne usposobienie, dobroć i zalety koleżeńskie.
Wracam teraz do dalszego opisu naszych zebrań z Sikorskim z dnia 15 i 16 b.m. Po zebraniu z dnia 15 b.m., które się tak niefortunnie odbyło, nazajutrz rano zebraliśmy się sami w biurze werbunkowym, aby omówić sytuację i program naszego wystąpienia na drugim zebraniu, mającym się odbyć tegoż dnia 16 b m. o godz. 2 po południu. Wszyscy godziliśmy się na to, że należy dziś sprawę postawić na grunt zasadniczy, nie dając się zepchnąć na szczegóły, na których mielibyśmy bardzo śliską podstawę do krytyki. Jeden tylko Waszkiewicz podejmował się w swoim przemówieniu połączyć grunt zasadniczy z krytyką detalicznej praktyki Departamentu. Górecki podnosił kwestię, czy nie należy nam po prostu opracować motywowaną deklarację o ustąpieniu naszym z Departamentu i zamiast dalszych rozpraw złożyć ją Sikorskiemu. Odrzuciliśmy to jednak na tej podstawie, że ustąpienie nasze i deklaracja może się opierać tylko na tym, cośmy w ustnym wystąpieniu wypowiedzieli, a że na pierwszym zebraniu tego nie zrobiliśmy, więc powinniśmy na drugim wypowiedzieć wszystko to, co potem ewentualnie będzie mogło nam posłużyć nawet za uzasadnienie do gremialnego wycofania się. O godz. drugiej zebraliśmy się znowu u Sikorskiego w tym samym składzie, co wigilią. Na wstępie znowu przemówił Sikorski, ale tym razem już rzeczowo, referując nam o obradach majowych Komisji Wykonawczej w Krakowie, o swoich i Downarowicza obradach na froncie z Piłsudskim, Puchalskim itd., o konferencjach w Warszawie z CKN-em, Sosnkowskim itd., o perspektywach sprawy werbunkowej i o swoich zamierzeniach na przyszłość. Zastrzegł się jednak, że udzielanie takiego sprawozdania wobec dowolnego kompletu grona współpracowników nie uważa za precedens na przyszłość i że zastrzega sobie nadal wolność powoływania na takie, jak obecne, zebrania relacyjne i pogadanki innych, oprócz nas, współpracowników podług swego wyboru, oraz w końcu przemówienia oświadczył kategorycznie, że jednak wobec powagi sprawy werbunkowej uważa, iż ci, którzy są przeciwni werbunkowi, nie mogą pozostawać współpracownikami Departamentu, bo stosunek do werbunku jest najistotniejszym kryterium ideowym udziału w pracy instytucji.

19 czerwca, rok 1916, poniedziałek
Żadnych nowych wybitnych wiadomości z ofensywy rosyjskiej. To, com wczoraj podawał o wzięciu 3 000 jeńców rosyjskich, odnosi się nie do odcinka nad Strypą w Galicji, lecz do odcinka wołyńskiego. Otóż co do tego odcinka, który po wzięciu przez Rosjan Łucka i posunięciu się ich na drodze do Włodzimierza Wołyńskiego aż pod Łokacze, to znaczy już za Stochód, stanowi dziś łuk głęboko wciśnięty między odcinkiem poleskim a właściwym galicyjskim, to sytuacja tam przedstawia się dość niewyraźnie; ściśle linii tego odcinka określić niepodobna, ale zdaje się, że na stałą linię pozycyjną obecna linia tutaj się na skutek swego głębokiego wgięcia nie nadaje i że tu sytuacja będzie się musiała przesilić: albo Rosjanie przełamią obronę pod Kołkami i Rożyszczem i ewentualnie zaleją Wołyń aż za Kowel i Włodzimierz i może po Bug,

zmuszając także do automatycznego zwinięcia przez Austro-Niemców frontu poleskiego, albo będą sami zmuszeni znów się za Styr cofnąć, ewentualnie mogą być nawet narażeni na odcięcie swojej grupy, operującej w głębi wgięcia nad Stochodem. Klucz zdaje się być między Kołkami a Rożyszczem. Od Kołek i Rożyszcza zależy rozwiązanie tutaj sytuacji, mogące mieć doniosłe znaczenie dla wyniku obecnej ofensywy. W związku z tym rozpoczęła się, jak się zdaje, kontrofensywa niemiecka, wychodząca z Kowla na południowy wschód na linię między Rożyszczem a Łokaczami, wpierającą się ukośnie w klin rosyjski, idący od Łucka pod Włodzimierz Wołyński. Te operacje są teraz ważnym momentem akcji.
Muszę wreszcie dokończyć o drugim naszym zebraniu z Sikorskim z d. 16 b.m. Głos zabieraliśmy: ja, Pohoski, Górecki, Grabowski, Waszkiewicz i Kaufman, z „przeciwnego" zaś „obozu", popierającego Departament, zabierał głos oprócz Sikorskiego także dr Kot i p. Moszczeńska. Tym razem postawiliśmy sprawę lepiej, niż na pierwszym zebraniu. Wszystkie nasze przemówienia opierały się o grunt zasadniczy, o samą istotę rzeczy. Nie negując bynajmniej zasług Departamentu w dotychczasowym ruchu polskim, omówiliśmy obecny konflikt na gruncie sprawy werbunkowej między Departamentem a obozem niepodległościowym Królestwa. Wykazaliśmy, że stanowisko tzw. antywerbunkowe nie jest bynajmniej bojkotem Legionów ani też w ogóle antylegionowym – przeciwnie: jest ono raczej odrębną metodą wykorzystania Legionów dla sprawy polskiej, zamiast niewolniczego i bezkrytycznego podporządkowania się temu, w co Austria usiłuje przeistoczyć Legiony. Stanowisko antywerbunkowe jest stanowiskiem rezerwy w werbunku, jest metodą gry politycznej, polegającej na umiejętnym i zależnym od okoliczności i warunków użytkowaniu atutów, które są w ręku narodowym. Szczegółowo całego toku rozumowania poszczególnych mówców referować nie będę. Kładliśmy nacisk na to, że stanowisko i akcja Departamentu muszą się zastosować do stanowiska obozu niepodległościowego w Królestwie i być wyrazem tej linii, która w Królestwie w opinii coraz bardziej zwycięża. Że konkretnie Departament musi się woli i dyrektywom Piłsudskiego podporządkować, ponieważ Piłsudski jest dziś właściwym wyrazicielem i wodzem Sprawy. Jako drogę do tego ja wskazałem na ścisłe i lojalne poddanie się Departamentu uchwale drugiej Komisji Wykonawczej. Stwierdziliśmy wreszcie, że z dwojga mniejszym złem byłoby ewentualnie nawet zwinięcie zupełne Departamentu i wycofanie się jego z Królestwa, niż działanie dalsze przeciwko linii niepodległościowej Królestwa, szkodzące sprawie konsolidacji i wyrywając z rąk Królestwa te atuty, którymi ono dla polityki swej się posługuje. Oczywiście każdy z mówców nieco inaczej w odcieniach tę rzecz ujmował. Bądź co bądź, traktowanie rzeczy przez nas było tym razem głębsze i istotniejsze, niż na pierwszym zebraniu. Zdaje się jednak, że gniew Sikorskiego i Kota był za to tym większy. Nie mogli wprawdzie tak nas ośmieszyć i zlekceważyć, jak poprzedniego dnia, ale bądź co bądź, czując, że w wystąpieniu naszym jest najgłębsze podłoże tej krytyki niepodległościowej, która z całego Królestwa uderza na Departament, tym bardziej zrozumieli, że to nie przelewki, nie „bunt dzieci", jeno „zaraza wewnętrzna". Toteż wzięli do serca i gorąco znienawidzili nasze wystąpienie. Kot w przemówieniu swoim wprawdzie potraktował nas, jak w ogóle cały obóz niepodległościowy, protekcjonalnie, tak jak inspektor czy kurator strofuje pupilów, którym się w głowie przewraca, zalecając, żeby pracowali „realnie" i w pracy, która do każdego należy, znaleźli wyjście z jakichś pomysłów i próżnego warcholstwa, ale mówił tonem nieszczerym, przez który przebijała wściekłość. P. Moszczeńska plotła zgoła głupstwa płytkie, utożsamiając kierunek niepodległościowy z linią najmniejszego oporu czy raczej bezwładu. Ostatecznie powiedzieliśmy z naszej strony wszystko, aleśmy się z Sikorskim rozeszli bez żadnego zbliżenia. Sikorski z

Kotem postanowili nas widocznie zbagatelizować, nie wyciągając formalnie żadnych konsekwencji z naszego wystąpienia, ale praktycznie planując, co już się stało widocznym, rozbicie nas przez ewentualne usunięcie pod jakimś pretekstem głównych instygatorów, rozdzielenie i ujarzmienie innych. Dziś uchwaliliśmy sporządzić możliwie dokładny protokół obu zebrań, by móc go zużytkować.

20 czerwca, rok 1916, wtorek
Nowych ścisłych wiadomości z wojny nie wiem żadnych. Chodzą tylko pogłoski o zajęciu przez Rosjan Kołomyi i Brodów w Galicji Wschodniej. Zdaje się jednak, że to są tylko domysły, wywołane w stosunku do Kołomyi upadkiem Czerniowiec, a w stosunku do Brodów – głębokim odsunięciem się linii austriackiej od Dubna. Na ogół wielkie jest zaniepokojenie o Lwów, które zwłaszcza wzrosło od czasu sukcesów rosyjskich na Bukowinie i zajęcia Czerniowiec. Zdają sobie powszechnie sprawę, że jednym z głównych celów ofensywy rosyjskiej jest Lwów i że, choć linia Strypy mocno się trzyma pod obroną Bothmera, jednak Lwów może być zagrożony z jednej strony od strony Bukowiny przez Kołomyję i Stanisławów, z drugiej, choć mniej prawdopodobnie, od strony Wołynia. W każdym razie, w samym Lwowie jest wielki popłoch. Nie daj Boże nowej inwazji na Lwów!
Co do dalszych widoków akcji naszej opozycji Departamentowej, to, jakem wczoraj wspomniał, postanowiliśmy sporządzić protokół obu naszych posiedzeń z Sikorskim z d. 15 i 16 b.m. Krótkie sprawozdanie jużeśmy posłali do Piłsudskiego, a poza tym poślemy mu i protokół. Oprócz tego, protokół mamy przesłać tym współpracownikom Departamentu w Krakowie (p. H. Radlińska, Wędkiewicz) czy gdzie indziej oraz tym oficerom werbunkowym, o których wiemy, że sympatyzują naszemu stanowisku. Ja domagam się, aby odpis protokołu złożony został także Sikorskiemu, raz dlatego, że wymaga tego prosta przyzwoitość, skoro chodzi o zebranie, w którym on brał udział, i o sprawę, która jego bezpośrednio dotyczy, i po wtóre dlatego, żeby Sikorski, o ile od razu zastrzeżeń co do ścisłości zaprotokołowania nie poczyni, nie mógł później twierdzić, żeśmy tok obrad w protokole fałszywie przedstawili. Że zaś Sikorski będzie się na nas jeszcze bardziej gniewał, gdy się o sporządzeniu protokołu dowie, i że stąd może nawet wybuchnąć ostry kryzys w stosunku Sikorskiego do naszego grona „lewicy", to cóż na to poradzić. Lepiej i uczciwiej będzie, gdy się dowie wprost od nas, niż gdyby się dowiedział ze strony. Inni wszakże nie bardzo są chętni komunikowania odpisu protokołu Sikorskiemu. Zredagowanie protokołu zleciliśmy Kaufmanowi, do tekstu zaś jego wcielone zostaną własnoręcznie streszczone przemówienia wszystkich naszych członków „Białej Róży".
W kwestii ewentualnego ustąpienia z Departamentu członków naszego grona to decyzja nasza jeszcze nie zapadła. W każdym razie, jest silny prąd za tym, aby ustąpienie, o ile ma nastąpić, było gremialnym, jako konsekwentny akt protestu; konsekwentny tak w stosunku do zbagatelizowania przez Sikorskiego zgłoszonych przez nas postulatów i przejścia nad nimi do porządku dziennego, jak w stosunku do upartego, choćby z najgłębszego przekonania płynącego, obstawania przy linii dawnej polityki departamentowej. Zresztą wszyscy wyczuwają, że ustąpienie nasze z Departamentu można uważać za przesądzone i nieuniknione. Zbyt głęboki zarysował się rozdźwięk między nami a kierunkiem Departamentu, rozdźwięk, do którego złagodzenia Sikorski i Kot, a tym mniej z pewnością Stan. Downarowicz, nie są bynajmniej skłonni. Sam Sikorski i Kot z pewnością tak samo myślą, a jeno pragnęliby uniknąć skandalu i manifestacyjnego ustąpienia, które pociągnęłoby za sobą szereg innych ustąpień i zarówno zrobiłoby złe wrażenie na zewnątrz, jak osłabiłoby Departament przez nagły ubytek licznych i to nieraz lepszych sił. Sikorski i Kot myślą teraz zapewne w tej

sprawie tylko o tym, aby bądź się nas pozbyć po osobno i bez rozgłosu bądź usunąć pod jakimkolwiek pretekstem głównych i „najszkodliwszych” „winowajców”, ujaławiając przez to całą opozycję i salwując resztę sił. Zdaje się, że najmniej ma ochoty do ustąpienia Krzemieniewski, najbardziej umiarkowanie i pojednawczo do kierownictwa Departamentu usposobiony i w ogóle czujący się tu dobrze, zresztą pracownik pożyteczny i sumienny, człowiek czynu i obowiązku powszedniego. Mam wrażenie, że i Górecki bardzo chętnie by pozostał nadal, lawirując, jak dotychczas, między rolą służbisty departamentowego a rolą bezpośredniego agenta Piłsudskiego, gdyby nie to, że czuje i rozumie, że dalsze jego pozostawanie stało się niemożliwe nie z jego woli, lecz z woli Sikorskiego, bo na niego się cały gniew głównie skupił; toteż „*en faisant bonne mine au mauvais jeu*”, nie myśli on już, zdaje się, o utrzymaniu się na gruncie, który mu się spod nóg usuwa, jeno o tym, aby z ustąpienia wyciągnąć dla siebie *maximum* korzyści moralnej i nadać mu charakter poświęcenia i ofiary. W ogóle rola Góreckiego w całej tej sprawie nie bardzo mi się podoba; może się mylę, ale mam wrażenie, że on nie jest szczery i że więcej myśli o sobie, niż o sprawie i idei, której rzekomo jest oddany; „виляетъ хвостомъ” – jak by powiedzieli Moskale i tak „виляетъ”, żeby z każdej ewentualności dla siebie najlepszą cząstkę wyciągnąć. Oczywiście wystąpienie zbiorowe będzie zależne od dalszych wypadków, ale poza tym uzależniono je także bezpośrednio od Piłsudskiego, do którego zwrócono się z relacją i prośbą o instrukcje. Co do mnie, to zastrzegłem sobie sam możność wyjazdu do Warszawy, nie czekając postanowień wspólnych. Zdecydowałem się już na ten wyjazd.

21 czerwca, rok 1916, środa
Komunikat austriacki dzisiejszy z placu boju jest niezły. Kontrataki niemiecko-austriackie na Wołyniu, idące w kierunku kolei Kowel-Równe, zyskują na terenie, odcinek zaś Kołki-Sokal, stanowiący klucz do ewentualnych postępów rosyjskich w kierunku Włodzimierz Wołyński-Brody, trzyma się mocno. Linia w Galicji Wschodniej – bez zmiany. Tylko na Bukowinie Moskale posuwają się dalej w kierunku południowym od Czerniowiec; tam przeszli już za Seret, ale tamte postępy są odosobnione, strategicznie większego znaczenia nie mają.
Ostatecznie zdecydowałem się już na wyjazd do Warszawy, aby tam ewentualnie na czas jakiś osiąść na stałe, zalegalizować się po cywilnemu i stamtąd osobiście kierować staraniami o wyjazd do Wilna. Powiadam: „ewentualnie”, bo to będzie jeszcze zależało od kilku rzeczy, co do których będę mógł się dopiero w Warszawie zorientować: przede wszystkim od możności zalegalizowania się w Warszawie i od tego zapewne także, czy Pomorski wniósł już, czy nie moje podanie do władz niemieckich o pozwolenie na wyjazd. Jeżeli wniósł, to wątpię, czy mój osobisty pobyt w Warszawie na coś się przyda; w podaniu owym bowiem wskazuję miejsce mego pobytu w Piotrkowie, toteż trudno potem nagle, nie wiadomo skąd i jaką legalną drogą, znaleźć się w Warszawie i stąd nadal starania forsować. Zobaczymy to już zresztą w samej Warszawie. Niemałą też trudność będzie przedstawiała sprawa materialna utrzymania się w Warszawie. Ale pod tym względem zdecydowany jestem wytrwać i borykać się z losem. Jakoś się przecie poradzi. Coś zarobię, może jakąś regularną pracę dostanę. Dłuższe wysiadywanie w Piotrkowie w jakimś położeniu zawieszonym jest już doprawdy nieznośne, szczególnie teraz, gdy dzięki akcji naszej opozycji departamentowej stosunki moje do Sikorskiego i Departamentu zaostrzyły się, będą musiały niechybnie, logiką konsekwencji, doprowadzić do kategorycznego zerwania. W Warszawie, jeżeli tylko kwestia legalizacji i innych możliwości pozostania okaże się wykonalną, będę musiał zaraz odwołać się do Piłsudskiego, komunikując mu, że zamierzam stąd robić starania o wyjazd do Wilna i że uznając jego za komendanta mego, zapytuję go i proszę o rozkaz:

bądź powrotu na linię do szeregu, bądź pozostania dla wyjazdu do Wilna. Tą drogą chcę i muszę wyjść znowu pod bezpośrednią komendę Piłsudskiego; dopóki jestem w Legionach, jedyną władzą moją, jako żołnierza I Brygady, jest Piłsudski. Byłem superarbitrowany i jako taki starałem się o przydział do Departamentu li tylko w celu ułatwienia wyjazdu do Wilna; gdy Departament mi tego nie dał i nie mógł dać, wrócić powinna moja dawna, brygadowa, prawowita więź z Piłsudskim; w Departamencie nie pragnąłem nigdy pozostawać na stałe i teraz mniej, niż kiedykolwiek; z praw superarbitrowanego korzystać nie zamierzam, o ile mi to dla jazdy do Wilna nic nie daje. Znowu więc jestem tylko piłsudczykiem i nic ponadto: albo wracam do służby czynnej w Brygadzie stosownie do mojej przynależności, albo na mocy *placet* Piłsudskiego, z jego ramienia i rozkazu usiłuję do Wilna się dostać. Trudność polega tylko na tym, że formalnie, jako superarbitrowany, zależę obecnie od Komendy Grupy i nie wiem, czy ta więź formalna da się bez faktycznego powrotu do Brygady – bądź przez Kozienice, bądź bezpośrednio z Departamentu – zastąpić przez więź bezpośrednią z Piłsudskim, gdy od niego rozkaz otrzymam. Do Sikorskiego zaś napiszę z Warszawy o moim powrocie pod rozkazy Piłsudskiego i spytam go, czy taka forma może być przez niego przyjęta za dostateczną, czy też wymaga on, abym został formalnie z Departamentu przez odesłanie do Brygady zwolniony. Wszystko byłoby w tym względzie w porządku, gdyby nie jeden największy szkopuł, który mię gryzie i sumienie moje trapi: jest to szkopuł najpaskudniejszy – pieniężny. Te bowiem 500 koron, które mi Sikorski w marcu z funduszów dyspozycyjnych Departamentu wypłacił na podróż do Wilna, wydałem, bom z nich przez dłuższy czas żył jako jedynego środka, licząc na to, że gdy się do Wilna dostanę, to tam własne pieniądze, o których posiadaniu w ręku Maryni wiem, mi wystarczą; nie liczyłem na to, iż nawet gdy pojadę do Wilna, to już w takich warunkach, że od Departamentu przyjąć pieniędzy nie będę mógł. Muszę więc zwrócić te pieniądze Departamentowi, a gryzą mię one i palą gorzej od wszelkiej innej zależności. Cała rzecz będzie polegała na tym, aby zdołać te pieniądze moje od Maryni sprowadzić, by móc z nich zwrócić ten ciężar honorowy Sikorskiemu. Ale nim to zrobić zdołam, Sikorski będzie mógł mię posądzać o przywłaszczenie i nadużycie, co w warunkach obecnych, gdy stosunki nasze na skutek ostatniego wystąpienia opozycji się zaostrzyły, jest rzeczą nad wyraz przygnębiającą i przykrą. A, niestety, jest to tak częste wśród ludzi, że Sikorski może mię utożsamiać z całą plejadą owych wydrwigroszów, eksploatujących instytucję publiczną i osobiste jego zaufanie. A zdaje się, że stosunek nasz do Sikorskiego politycznie się teraz jeszcze bardziej zaostrzy, bo przyszła wiadomość, że Daszyński w Krakowie na odbywających się obecnie naradach komisji Wykonawczej NKN powoływał się na naszą opozycję Departamentową, robiąc to w sposób bardzo niezręczny i dotkliwy dla Sikorskiego. Sikorski będzie sądził, że działamy w zmowie z Daszyńskim i będzie nie tylko wściekły, ale i o burzony na nas za podstęp, choć w istocie go nie było. Ale wystąpienie Daszyńskiego stwarza pozory podstępu w naszej akcji.

Wczoraj miałem bardzo miły list od Maryńki i od jej syna Stefusia. Wśród wielu nowych szczegółów, o których mi donosi, dowiedziałem się, że w Bohdaniszkach pozostało tylko 8 krów, bo resztę jeszcze Moskale zarekwirowali w roku zeszłym. W Bohdaniszkach stały przez zimę wojskowe konie niemieckie. Służba w Bohdaniszkach, prócz ekonoma i ochmistrzyni, pozostała.

Przed paru dniami dowiedziałem się o śmierci młodego Fedorowicza z Witebska, legionisty, którego w końcu kwietnia w Lublinie u Piłsudskiego spotkałem. Umarł w szpitalu wojennym krakowskim po operacji. Szkoda go, bo to był dobrze rokujący młody człowiek.

22 czerwca, rok 1916, czwartek
Spodziewałem się, że już dziś na noc wyjadę do Warszawy, atoli mi się nie udało. Już wczoraj poszedłem z Kunowskim do Wyrostka, od którego, jako wojskowego zastępcy szefa, zależy wydawanie marszrut wojskowych podczas nieobecności Sikorskiego. Wyrostek, który w Legionach zrobił karierę u boku Zagórskiego i ma na sobie cień austriackiego odium, zawsze, gdy tylko może, a zwłaszcza pod nieobecność Sikorskiego, świadczy skwapliwie drobne, zależne od jego mocy i nic go zresztą nie kosztujące, usługi na rzecz lewicy i tych, których za rzeczników obozu niepodległościowego i Piłsudskiego uważa. Tą drogą chce zatrzeć swoje winy i wkupić się w łaski swoich dawnych towarzyszy, którzy go dziś traktują nieufnie. Co tam sądzi o tych wydawanych przezeń marszrutach i o całej „akcji" konspiracyjnych piłsudczyków – to jego rzecz, ale na zewnątrz usługi świadczy i w każdym razie żadnych przeszkód nie stawia. Mam wrażenie, że w duchu drwi sobie z tych podróżujących piłsudczyków, z tych polityków i „dyplomatów", którzy przemycają „wielką" robotę, mającą w jego oczach wartość syzyfowych wysiłków, forsowanych przez Pigmejów – ale marszruty im daje. Daje, choć w duchu może nie tylko kpi, ale też się gorszy, uważając całą tę konspiracyjną niepodległościową „politykę", prowadzoną pod pokrywką wojskowości, za zasadniczo sprzeczną z istotą czynu zbrojnego i militarnej formy. Mniejsza zresztą o to, co tam Wyrostek myśli. Poszedłem do niego z Kunowskim właśnie dlatego, że Kunowskiego on zna jako PPS-owca, związanego z Piłsudskim. I Wyrostek istotnie zgodził się wydać mi marszrutę do Lublina przez Warszawę. Zblagowałem mu, że jadę dla widzenia się z szefem sztabu Brygady, Sosnkowskim, który bawi w Warszawie albo Lublinie. Naturalnie, że nic mu nie wspomniałem o tym, iż ewentualnie nie wrócę z Warszawy. Sierżant Głogowski, do którego mię Wyrostek skierował dla wygotowania mi marszruty, krzywił się także, że to trudno mu wymyślić pretekst dla mojej marszruty, ale ostatecznie coś wymyślił, marszrutę napisał i powiedział, że pośle do Komendy austriackiej do podpisu. Wszakże ani wczoraj, ani dziś nie było jej jeszcze w inspekcji. Może otrzymam ją jeszcze jutro, ale jeżeli się okaże, że ta była odmówiona i że trzeba się o nową starać, to będzie źle. Dziś bowiem wrócił z Krakowa Sikorski, a jutro wraca Downarowicz; dopóki zaś nie skomunikowałem się z Piłsudskim i nie mam od niego zleceń, dopóty, zwłaszcza w obecnych stosunkach, nie chciałbym się do Sikorskiego z tym projektem wyjazdu do Warszawy zwracać. Im bardziej się od niego teraz uzależnię, tym przykrzej mi będzie potem z nim się rozwiązywać. Napisałem dziś do Maryni, prosząc ją na gwałt, aby wyszukała jakiś sposób przysłania mi co najmniej 200 rubli z moich pieniędzy; chodzi mi o te 500 koron z Departamentu, otrzymanych na wyjazd do Wilna, które muszę zwrócić za wszelką cenę.
Korzystając ze skrawka wolnego miejsca, wrócę do tych zaklęć żołnierskich, których tok opisu przerwałem 4 czerwca. Najgorsze już wyczerpałem. Te, które pozostały, są już tylko dziecinną zabawką wobec tamtych pierwszych. Zgoła niewinne są takie wyrażenia, jak „klawo", „morowo" („klawy", „morowy"). Znaczenie obu jest podobne i oznacza pochwałę i uznanie w gwarze żołnierskiej. „Morowo", „morowy" – pochodzi oczywiście od „powietrza" czy „zarazy morowej" i oznacza odwagę, dzielność, decyzję na wszystko, słowem szczyt tych cnót męskich ducha i ciała, które stanowią w przekonaniu żołnierza najwyższą godność człowieka i są doprowadzone niemal do szaleństwa. „Morowcem" jest ten, który się na wszystko waży i dla którego wszystko, czego chce, jest możliwe. „Klawy" – ma nieco inny odcień znaczenia. Klawym jest ten albo to, co ma w sobie *maximum* dowcipu, sprytu, zaradności z pewnym dodatkiem chytrości i co zarazem jest przyjemne, dogadzające jakimś pragnieniom czy namiętnościom. Jak ktoś komuś dobrze, ale cięto i boleśnie odpowie, lub „sprawi lanie"

w jakiejkolwiek postaci, czy to np. komendant „zbeszta” podwładnego, czy Moskale „spiorą” Austriaków, lub odwrotnie, czy kolega kolegę ostro słowem ugodzi tak, że go „speszy” (od słowa „pech”, „mieć pecha”), czy rekruta ujarzmią i do musztry twardej wprzęgną, czy w ogóle jakiś wybryk poskromią, we wszelkich, słowem, tego rodzaju wypadkach mówią „dał mu (im, tobie, wam) jaja”; inną, łagodniejszą i mniej dosadną formą tego samego znaczenia jest wyrażenie: „dać komuś szkołę”, to znaczy nauczyć moresu, skarcić, ujarzmić, poskromić samowolę i wprząc w jakiś rygor. Co do owego „dał mu jaja” – to „jaja” są rozumiane w znaczeniu jąder, które stanowią zarazem najboleśniejszą i najwrażliwszą część ciała oraz streszczenie całej siły i wyrazistości męskiej człowieka.

23 czerwca, rok 1916, piątek
Wyjeżdżam więc do Warszawy. Otrzymałem marszrutę w postaci urlopu, udzielonego mi na pięć dni do Lublina i Zamościa. Droga do Lublina prowadzi przez Warszawę; mogę więc tamtędy jechać i śmiało się w Warszawie zatrzymać przynajmniej na dobę; w ciągu zaś doby zorientuję się, czy się da w Warszawie pozostać, czy nie. Jeżeli tylko będzie możność, to zdecydowany jestem pozostać. Co mię tam czeka – sam nie wiem. Być może, że wypadnie mi biedę klepać, ale przecie wytrzymam; człowiek nie zginie. Wyjeżdżam z Piotrkowa jutro.
Napisałem do Piłsudskiego, meldując mu moją sytuację i moje zamiary i prosząc go, jako komendanta, któremu bezpośrednio podlegam w charakterze wojskowym, by mi przysłał bądź rozkaz powrotu na linię do szeregów, bądź „*placet*” na pozostanie w Warszawie, względnie w Piotrkowie, dla starań o wyjazd do Wilna na rzecz akcji, którą tam projektuję. Zakomunikowałem mu, że z praw superarbitrowanego korzystać nie zamierzam i w dalszym ciągu pozostaję żołnierzem I Brygady, jemu podległym. Co do akcji litewskiej, którą projektuję, to pod tym względem oczywiście nie żądam i nie ulegam rozkazowi, bo mam własną tej akcji koncepcję. Aby Piłsudski widział, jaki zamierzam tej akcji nadać kierunek, załączyłem do listu kopię mego ostatniego memoriału do CKN-u. Jeżeli na istotę i kierunek tej akcji się godzi, to proszę go o „*placet*” na moje starania o wyjazd. Jeżeli nie, to znaczy, jeżeli mi tego „*placet*” nie udzieli, wracam jako żołnierz na linię.
Sikorski i Downarowicz wrócili już obaj do Piotrkowa. Nic im nie mówiłem o moim wyjeździe do Warszawy. Nie wiem jednak, skąd się Downarowicz o tym dowiedział, bo wieczorem szukał mię i znalazł w Biurze Prasowym i wręczył listy do zawiezienia do Warszawy. Był uprzejmy dla mnie i nie zdradził bynajmniej żadnych dąsów za mój udział w wystąpieniu opozycji departamentowej, o czym z całą pewnością wie. Wspomniał tylko, że rad by się ze mną zobaczyć i porozmawiać. Przypuszczam, że nie traktują mię oni z Sikorskim za beznadziejnego wroga Departamentu i że Stanisław Downarowicz ufa, iż mię zdoła przekonać. O moim wyjeździe do Warszawy Downarowicz się dowiedział, ale nie wie o moim zamiarze ewentualnego pozostania w Warszawie bez powrotu do Piotrkowa do Departamentu. Jeżeli to nastąpi, to się już o tym listownie z Sikorskim skomunikuję.
Osobiście bardzo mi jest przykre to, że Sikorski z powodu niefortunnego wystąpienia Daszyńskiego w Krakowie, powołującego się w dotkliwy dla Sikorskiego sposób na naszą akcję opozycyjną w Departamencie, bez żadnego upoważnienia do tego z naszej strony i bez porozumienia z nami, może sądzić, iżeśmy działali w zmowie z atakiem, dokonywanym na niego w Komisji Wykonawczej, i żeśmy użyli podstępu, udając chęć bezpośredniego i szczerego porozumienia się z Sikorskim w naszej ostatniej konferencji. To wprowadza przykry element do naszego stosunku z Sikorskim, a pozory, niestety, choć zaiste fałszywe, przemawiają przeciwko nam. Tym bardziej mi to

przykre, że mając dużo przeciwko polityce Departamentu, dla Sikorskiego osobiście mam szacunek, sympatię i wiarę w jego dobrą wolę.

24 czerwca, rok 1916, sobota
Pożegnałem Piotrków, pożegnałem Departament, pożegnałem znajomych i przyjaciół, pożegnałem wreszcie moich poczciwych starych gospodarzy, u których tak w roku zeszłym, jak obecnym mieszkałem i o których serdeczności i przywiązaniu dla mnie oraz o ich trybie życia, zwyczajach i typie bardzo charakterystycznym byłbym z pewnością więcej pisał w dzienniku, gdyby nie to, że wypadki publiczne dominują nad wszystkim – pp. Skwierczyńskich: pana Kaspra i pani Emilii. Swoją drogą, pomimo wszystko, nie mogę się uskarżać na Piotrków. Nawiązałem tu dość dużo miłych i serdecznych stosunków, miałem błogosławiony spokój i równowagę i na ogół nie było mi tu źle. Samo miasto jest też ciche, na pół wiejskie, przyjemne do zamieszkiwania. Ale nie czas na wegetację w czasie wielkiej wojny.
O godz. 2 z minutami wyjechałem pociągiem pośpiesznym do Warszawy. Chodziły w ostatnich dniach w Departamencie pogłoski, że Niemcy postanowili odtąd wszystkich legionistów, jeżdżących do Warszawy, poddawać rewizji, aby nie przewozili żadnych listów i papierów. Jechałem więc dość zaniepokojony tym, bo miałem pełno listów przy sobie, ale je, zarówno jak niniejszy dziennik, starannie ukryłem. Okazało się wszakże, że to bajki: Niemcy, jak zawsze, są pełni kurtuazji dla jadących do Warszawy legionistów, przynajmniej zewnętrznie. W drodze spotkałem mnóstwo pociągów wojskowych, idących tak gęsto, jak widywałem tylko w pierwszych tygodniach wojny w Rosji, podczas mobilizacji. Między Piotrkowem a Warszawą minęliśmy coś z kilkanaście takich pociągów: każdy taki pociąg jest niezwykle długi, napchany wojskiem, z wielkimi transportami artylerii, taborów itd. Pociągi te idą od strony Warszawy w kierunku na Piotrków. Oczywiście transporty te nie mogą być przeznaczone na front zachodni, gdy właśnie ofensywa rosyjska szaleje na wschodnim froncie. Nie ulega więc wątpliwości, że to jest przesuwanie wojsk z poszczególnych odcinków na inne na tymże froncie wschodnie. Wojska te muszą być brane z odcinków litewskich i pchane tam, gdzie są główne ciosy ofensywy rosyjskiej, to znaczy na południowo-wschodnie odcinki na odsiecz Austriakom. Jak wielkie siły są tam przerzucane, to można wywnioskować z tego, że skoro tędy płyną wojska, to znaczy, że płyną wszystkimi drogami, gdyż ta droga jest dalsza. Płyną one oczywiście i drogą z Brześcia Litewskiego na Kowel i na Chełm i drogą na Łuków-Lubartów-Lublin i na Dęblin-Lublin i tędy na Warszawę-Piotrków-Częstochowę. Przypuszczam, że te transporty idą na odcinek bukowiński przez Królestwo-Galicję na Kołomyję-Stanisławów. Ponieważ wskutek wielkich walk na Wołyniu, drogi, idące przez Lublin i Kowel są przeciążone obsługą odcinka wołyńskiego, więc się posiłki na Bukowinę transportuje naokoło. Rośnie serce i otucha wzbiera, gdy się widzi te wielkie płynące posiłki. Żołnierze niemieccy wyglądają dobrze i jadą w doskonałych humorach, pełni animuszu i siły.
Koło godz. 6 przyjechałem do Warszawy. Zajechałem do pensjonatu p. Nartowskiej. Przede wszystkim, chciałem się zobaczyć z Medardem Downarowiczem, który w tymże pensjonacie mieszka. Ale jak takiego polityka w biały dzień złapać! Ani marzyć zresztą o chwilce skupionej z nim rozmowy. Obecnie był on gorączkowo zajęty sprawami wyborów miejskich. Wybory te zresztą w ogóle gorączkują obecnie wszystkich polityków warszawskich, mimo że masy są dość obojętne na nie i zapisują się bardzo ospale. Dziś właśnie kulminacyjny dzień pierwszego stadium akcji – ostatni dzień zapisów wyborców. Złapałem Medarda w Centralnym Demokratycznym Komitecie Wyborczym (Demokratyczny skupia elementy najbardziej antyrosyjskie; połączyły się

w nim L.P.P. i C.K.N.; przeciwny obóz, pod egidą mniej lub więcej endecką, tworzy Komitet tzw. „Narodowy"); złapałem, ale się rozmówić nie zdołałem. Udało mi się za to zastać Ludwika Abramowicza, który wyborami jest mniej zajęty. U Ludwika naturalnie zastałem Helę Ochenkowską, która przed paru tygodniami zdołała wreszcie po kilkumiesięcznych zabiegach z Wilna do Warszawy dotrzeć. U Heli mam teraz najwyższe uznanie za mój udział w Legionach; była dla mnie bardzo serdeczna, dużo mi też, ale na razie tylko przelotnie, o Wilnie naopowiadała – raczej o różnych Römerach, niż o samym Wilnie. Ludwik Abramowicz zapewnił mię, że sprawa mojej legalizacji cywilnej w Warszawie jest rzeczą jak najprostszą. Jutro mamy się z nim zająć tym konkretnie. Pomorski wstrzymał się z wniesieniem mego podania do władz niemieckich – to dobrze. Pożyczki mi Pomorski udzielił; właśnie pieniądze te zostały mi przez Ludwika przesłane do Piotrkowa i rozminęły się ze mną. Sprowadzę je stamtąd.

25 czerwca, rok 1916, niedziela
Jeszcze dziś pozwoliłem sobie chodzić po wojskowemu. Może to już ostatni raz w mundurze. Kto wie, czy mi się uda zalegalizować tu, pozostać i wreszcie ewentualnie do Wilna się dostać. Ale czuję, że gdy się dostanę do Wilna i w ciągu miesiąca czy dwóch zamierzoną tam moją akcję wysonduję i podwaliny pod nią położę – czy mi się tylko udadzą i czy będą trwałe? – to znów zatęsknię do powrotu do Legionów na linię. A ewentualnie dostanie się tu z powrotem będzie jeszcze trudniejsze, niż wyjazd do Wilna. Gdybym jechał jako wojskowy, to bym powrót miał zapewniony, po cywilnemu zaś wyjazd może być ostatecznym.
Jutro przebieram się więc w cywilne i zaczynam od tego, że z Helą Ochenkowską ruszam na poszukiwanie pokoju do wynajęcia. Jak kiedyś krępowało mię przebranie się w mundur, tak teraz perspektywa nałożenia stroju cywilnego żenuje mię jako coś niezwykłego. Przez długich 10 miesięcy nie wyłaziłem z munduru legionisty.
Ludwik Abramowicz wspominał mi wczoraj, że pisał do pułkownika Sikorskiego, prosząc go, aby wyrobił dla mnie u wiedeńskich władz austriackich pozwolenie na wyjazd do Szwajcarii do Lozanny, gdzie 28 b. m. ma się odbyć zjazd czy też „kongres" przedstawicieli ligi uciskanych przez Rosję narodowości. Zjazd ten ma być drugim aktem akcji, zapoczątkowanej przez znaną deklarację przedstawicieli uciskanych przez Rosję narodowości, wystosowaną do prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona. Deklaracja ta była z ramienia Polaków podpisana przez posła Łempickiego i Wacława Sieroszewskiego, z ramienia zaś Litwinów – przez Jerzego Šaulysa i Antoniego Żmujdzinowicza. Poza tym, podpisali ją przedstawiciele szeregu innych narodowości. Na obecny zjazd do Lozanny pojechali z Warszawy Władysław Studnicki, Łempicki i Sieroszewski, z Wilna Litwini Żmujdzinowicz, Šaulys i ks. Kraujalis (!), od Białorusinów – Wacław Łastowski. Akcja ta, wynoszona na forum międzynarodowe, jest bardzo dodatnim zapoczątkowaniem i zarazem może ona służyć pewnym ogniwem dla krystalizacji państwowej świadomości tych ludów oraz zawiązków porozumienia się wzajemnego niektórych z nich. Z wielką chęcią bym tam pojechał, wziął udział w tych obradach, zobaczył się też z Litwinami i z nimi choć tą drogą kontakt polityczny nawiązał. Dobór Šaulysa, Żmujdzinowicza i Kraujalisa uważam za dobry. Nie spodziewałem się, że Żmujdzinowicz pójdzie na taką akcję; jest to z jego strony akt wybitnej odwagi cywilnej, której się po nim, mimo całej mojej dla niego sympatii, nie spodziewałem. Bo dla Rosji akcja ta jest wielkim kamieniem obrazy i przez swój w niej udział Żmujdzinowicz, na wypadek powrotu do Rosji do Wilna ewentualnie pali za sobą mosty. Niemcy naturalnie akcji tej sprzyjają i chętnie udzielili odpowiednim delegatom przepustek na wyjazd do Szwajcarii. Abramowicz zapytywał mię, czy

Sikorski mi nic o tym nie wspominał. Nie widziałem się wprawdzie z Sikorskim w ostatnich dniach, ale wiedział on o moim wyjeździe do Warszawy i mógł mię wezwać i wspomnieć o tym. Dziś wszakże Abramowicz pokazywał mi list, który Sikorski nadesłał do prezydium Ligi Państwowości Polskiej w mojej sprawie. Co do tego ewentualnego wyjazdu mego, to Sikorski powiada, że moja przynależność do wojska oraz krótki termin wykluczają, niestety, możność wyrobienia mi przepustki do Szwajcarii. Dalej zaś pisze, że mię udziela do dyspozycji prezydium Ligi Państwowości Polskiej w Warszawie dla starań o wyjazd do Wilna. Musiał więc słyszeć od kogoś Sikorski o tym, że mój obecny wyjazd do Warszawy ma na celu pozostanie tu dla robienia starań o przepustkę do Wilna, o czym ja mu nie mówiłem i dopiero napisać chciałem, i sam ze swej strony robi mi pierwszy ułatwienie w tym względzie, otwierając mi formalną drogę do tego, taką, jaką on rozporządza, drogą przydziału do dyspozycji LPP. A choć ta droga nie bardzo mi odpowiada, bo od LPP jestem ideowo dość daleki i nie z jej ramienia zamierzam moją akcję w Wilnie prowadzić, jednak niewątpliwie winienem Sikorskiemu wdzięczność za to, że ze swej strony, co mógł, to mi sam pierwszy zrobił. Ujął mię tym i zobowiązał tak, że mi przykro byłoby dziś odrzucić tę jego usługę, co by miało pozory chamskiego kopnięcia nogą kogoś, który mi w dobrej wierze z usługą przychodzi. Sam nie wiem jeszcze, jak mój stosunek do Sikorskiego określę. Przede wszystkim, napiszę do niego i zaczekam też na odpowiedź Piłsudskiego oraz na przysłanie mi z Wilna przez Marynię pieniędzy, abym się nie czuł związany owymi 500 koronami z Departamentu.
Zdaje mi się, że mój memoriał do CKN-u w sprawie litewskiej wywołał w CKN-ie wielkie zainteresowanie. Mówił mi Medard Downarowicz, że go wręczył Arturowi Śliwińskiemu, który się nim teraz zajmuje. Stary Dębski (z Ameryki), którego spotkałem, i który, jak się dowiedziałem, również należy do CKN-u, wspominał mi, że już w kołach CKN-owych poruszano mowę o moim memoriale i że życzą oni sobie wejść obecnie w bliższy ze mną kontakt czy nawet – dobrze tego nie zrozumiałem – wciągnąć mnie do siebie. Wreszcie Tadeusz Szpotański mówił mi, że słyszał o moim memoriale jako bardzo ciekawym i zapytywał, czy go nie pozwolę wydrukować w piśmie (miesięczniku) CKN-owym, który on ma redagować. Miesięcznik ten ma być organem teoretycznym ruchu, roztrząsającym poważniejsze i zasadnicze zagadnienia aktualne i ma być, jak się Szpotański wyraził, na pół legalnym i na pół nielegalnym. Ma być drukowany tu w Warszawie, ale bez cenzury z fikcyjnym podaniem miejsca druku w Szwajcarii. Jak zrozumiałem ze słów Szpotańskiego, [Niemcy] wiedzą poufnie o tej zamierzonej formie wydawnictwa i godzą się na nią. Na jawne pisma tego rodzaju bez cenzury nie mogą się godzić, ale gotowi są je tolerować w tej zamaskowanej postaci. I znowu, jak już tylokrotnie, potwierdza się to poufne faworyzowanie przez Niemców akcji niepodległościowej.

26 czerwca, rok 1916, poniedziałek
I znowu nic jeszcze nie zrobiłem w sprawie mego rozmundurowania się. Wpłynęła na to przede wszystkim moja rozmowa z Medardem Downarowiczem, który mi wskazał, że ten najprostszy sposób legalizacji, zalecany mi przez Ludwika Abramowicza, nie jest bynajmniej najlepszy, ponieważ w komisariacie milicji, w którym się po wynajęciu pokoju zamelduję na podstawie mego rosyjskiego paszportu zagranicznego, zażądają ode mnie wykazania, gdzie mieszkałem poprzednio; nie zda się też na nic twierdzenie, że przyjechałem ze wsi lub z Piotrkowa, bo w takim razie zażądają ode mnie wykazania meldunku niemieckiego, obowiązującego wszystkich przyjezdnych. Wobec tego Medard Downarowicz radził mi zamieszkać na razie w takim domu, którego rządca jest „swoim” człowiekiem, to znaczy sympatykiem ruchu, i w obrębie takiego cyrkułu

milicyjnego, którego komisarzem jest także „swój" człowiek (takim jest w szczególności komisarz I cyrkułu). Po bliższe szczegóły praktycznego wykonania Downarowicz skierował mię do Szpotańskiego. Ten mi znów poradził, aby przed wszelkim wynajmowaniem pokoju i meldunkiem milicyjnym spróbował wprost otrzymać paszport niemiecki na zasadzie mego paszportu zagranicznego, podając byle jaki adres, a dopiero gdyby Niemcy zażądali dowodu meldunkowego, abym zajął się owymi formalnościami, zwracając się wówczas bezpośrednio do komisarza I cyrkułu i jako poprzednie miejsce zamieszkania podając jakieś przedmieście, w którym dotąd systemu meldunkowego nie uregulowano. W myśl tego jutro rano mam się przebrać w cywilne (zrobię to w mieszkaniu mego przyjaciela i kolegi paryskiego Altera, bo w pensjonacie, gdzie dotąd po wojskowemu chodzę, nie chcę wobec służby ujawniać mojej cywilnej metamorfozy) i przede wszystkim sfotografować się; do paszportu bowiem niemieckiego wymagana jest fotografia. Mam więc nadzieję, że jutro się już procedura rozpocznie.
W Warszawie upał szalony. Miasto jest przepełnione niezwykle jak na tę porę letnią, kiedy dawniej wszystko, co żyło, było gdzieś na wilegiaturze. Teraz tylko nieznaczna część Warszawy wyemigrowała na letniska. Utrudnione warunki komunikacyjne, niepewna sytuacja, przesadzana jeszcze fałszywymi pogłoskami o ofensywie rosyjskiej, często także brak środków na ruszenie się z miejsca, pomimo względnej taniości zamiejskiego życia – tamują wyjazd z miasta. Co do pogłosek z powodu ofensywy rosyjskiej, to są one zaiste fantastyczne, nawet dotąd, pomimo że ich główna fala już opadła w miarę, jak postępy ofensywy rosyjskiej zmalały. Wprawdzie na południowej Bukowinie ofensywa ta postępuje dalej i dochodzi do Karpat, sycąc sobą pogłoski i nastrój niepewności, jednak ten teren ofensywy, na który bezpośrednio są zwrócone oczy wszystkich – front wołyński i galicyjski – pozostaje już od dłuższego czasu dla Rosjan jałowy, dając nawet raczej przewagę na rzecz mocarstw centralnych. Nawet jeszcze z tych cząstkowych pogłosek w okresie ich odpływu wyczuwa się ten nastrój podniecenia nerwowego, jaki tu musiał panować w pierwszym okresie powodzeń ofensywy rosyjskiej pod Łuckiem. Niewątpliwie moskalofilstwo znów podniosło głowę, a szerokie tłumy są wciąż jeszcze tak bierne, że w każdą siłę gotowe uwierzyć i przed każdą się ukorzyć, a przede wszystkim przed tą, z którą łączy się mechanicznie pojęcie obfitości żywnościowej i wybawienie od drożyzny i głodu – przed Moskalem. Z jednej strony, w aktywniejszych kołach społeczeństwa narasta wola niepodległościowa i instynkt samodzielności, kształcone przez tysiące czynników w sprzyjających temu okolicznościach, z drugiej – w masie trwa bierność i niewolniczy bezwład, znakomicie moskalofilstwu służący. Z pewnością ogromna część tych tłumów, które szły lub przyglądały się pochodowi 3 maja, na widok pierwszego wjeżdżającego do Warszawy kozaka wołałaby z entuzjazmem: „Да здравствуеть Россія!", co nie przeszkadza, że owoce dzisiejszego bezrosyjskiego okresu ujawniłyby się z czasem w tymże tłumie. Taka już jest inercja psychologii tłumu. Ofensywa obecna rosyjska oddziałała jak trutka, demoralizująco na nastrój w Polsce. A do jakiego stopnia najdziksza pogłoska jest w stanie władać tłumem, to niech za przykład posłuży to, że gdym dzisiaj przyszedł do pp. Pomorskich, córeczka ich młodsza zwróciła się do mnie z wielkim zaniepokojeniem z zapytaniem, czy to może być prawdą, co opowiadają, że Piłsudski wraz z I Brygadą przeszedł na stronę Rosji (!!!). Jeżeli takie pogłoski mogą się utrzymywać w rodzinach tak inteligentnych, w rodzinach ludzi, którzy, jak Pomorski, są przecie na świeczniku ruchu publicznego, to cóż dopiero w ciemnych masach! O „stratach" Legionów szepcą sobie ludzie fantastyczne wprost bajki!
Dziś była „wsypa" poczty piotrkowskiej z Departamentu do Warszawy, najgłupsza z głupich. Represje Niemców w stosunku do departamentowców wprawiły tutejszych

pracowników ekspozytury w taki popłoch, że widocznie tracą głowy. Chłopakowi, który odebrał przywiezioną z Piotrkowa poufną pocztę i niósł ją do ekspozytury, wydało się, że tropią go dwaj szpicle. Po dłuższym chodzeniu przerażony chłopak wpadł do jakiejś bramy i zamknął się w wychodku. Wydało mu się, że prześladowcy jego dążą za nim, a że wkrótce ktoś spróbował pociągnąć za drzwi wychodka, chłopak tak się przeraził, iż zaczekawszy, aż się zewnątrz uspokoi, paczkę w wychodku zostawił i umknął. Szukano potem paczki: nic już nie znaleziono. Gdzie się podziała – nie wiadomo. A może się trafić w ręce niepowołane, podczas gdy wewnątrz mogły być różne bardzo poufne rzeczy, kompromitujące ludzi i niebezpieczne do ujawnienia.

27 czerwca, rok 1916, wtorek
Dziś rano poszedłem do mieszkania Altera, zabierając ze sobą zawiniątko z odzieniem cywilnym, tam się przebrałem i z nim razem poszedłem na miasto do fotografów. Tylko w pierwszej chwili dziwnym mi się wydawało uczucie stroju cywilnego. Zaiste jest to szczególny rodzaj uczucia. Nawet fizycznie marynarka cywilna, rozwarta, zwieszająca się luźnie połami po dwóch stronach ciała, zawadzała mi jakby coś obcego. Rychło jednak przyzwyczaiłem się do niej znowu. Skrępowania wszakże żadnego na ulicy nie czułem; przeciwnie – w stroju cywilnym poczułem się na ulicy swobodnie, stopiłem się z tłumem jako jeden z tych bezimiennych x-ów, który może być równie wielkim, jak małym. Wypadłem od razu z tej hierarchicznej społeczności wojskowej, stopniującej ludzi podług gwiazdek i odznak na mundurze, straciłem też to piętno legionowej przynależności, wyróżniające mię na ulicach Warszawy i utonąłem w równości cywilnego morza ludzkiego, dzielącego ludzi podług ich czynów i osobistych wartości, nie zaklasyfikowanych w odznakach zewnętrznych. W pierwszych chwilach przy spotkaniu oficera miałem odruch do salutowania i musiałem za każdym razem przypomnieć sobie, że jestem cywilem i że to mię już nie obowiązuje. I doznawałem nawet dziwnego uczucia, jakby czegoś nienaturalnego, że przechodziłem obok oficerów i wyższych wojskowych, mogąc nie zwracać na nich uwagi i nie będąc do niczego wobec nich zobowiązanym. Ale swoją drogą to mi się podobało jako odzyskana wolność. I nałożywszy raz [ubranie] cywilne, nie chciałem już wracać do munduru. Mundur zostawiłem tymczasem u Altera. Cały już dzień pozostałem w cywilnym. Sfotografowałem się rano i na wieczór już fotografię otrzymałem gotową. Mając fotografię, udam się już jutro rano do niemieckiego urzędu paszportowego dla spróbowania otrzymania paszportu. Sądzę też, że jutro poszukam już sobie pokoju do wynajęcia.
Pod wieczór przechadzałem się po Alejach Ujazdowskich i ładnych ogrodach, położonych wzdłuż tych Alei. Stanęły mi żywo w pamięci ostatnie nasze tutaj przechadzki z Aninką w roku 1913 i 1914. Jakże byłem szczęśliwy w tym czasie, jak pełne, jak słoneczne i wielkie miałem życie, wypełnione tym jedynym związkiem, w którym miłość kojarzyła się z doskonałym stopieniem się naszych dwóch istot, tak psychicznych, jak fizycznych, w jedną pełnię, wystarczającą sobie, silną, szczęśliwą, plastyczną w całkowitym pochłonięciu wszystkich naszych elementów idei, czucia, woli, zmysłów! Zaiste nie frazes to, że żyć przestałem ze śmiercią Aninki i że osobnicza, indywidualna istność moja cała się w tamtym związku streściła i dziś przez jego upadek i śmierć – umarła. W tamtym związku świętym i kochanym, który mię miłością spoił z Aninką, dokonała się najwyższa i najzupełniejsza emanacja naszych duchów i ciał; tam byliśmy sobą w najwyższej potędze twórczej wszystkich naszych elementów, od największych do najdrobniejszych, od najszczytniejszych do najpierwotniejszych. I to było nasze szczęście, to było nasze jedyne, wielkie i prawdziwe – życie. Czym jest wobec tego życia jakaś „akcja polityczna", jakieś prace,

wysiłki i działania, jakieś ofiary i zabiegi, jakieś strzępy zabawy i uciechy zmysłowej, słowem – to wszystko, czym człowiek samotny, jak ja, istnienie swoje zatyka! To wszystko mieściło się najdoskonalej właśnie w naszym związku miłości i z niego wyrastało jak owoc cudowny tego kwiatu ludzkiego szczęścia. Bogatą była nasza miłość i z niej tryskała nie sama tylko uciecha niższego rzędu, ale i myśl, i praca, i ofiara wszelka dla ideału. Dziś bez tej miłości, bez Aninki żywej – jestem połowiczny i niedoskonały. Istnieję w świecie zjawisk, mam i noszę w sobie te same elementy, które miałem zawsze i które były czynne w miłości naszej – ale dziś są one zamknięte, są skute we mnie, bez tej emanacji twórczej, która w miłości i w związku dwojga kochających się ludzi jak woń z kwiatu tryska, płynąc falą czynnej ekspansji w tysiącach dzieł i w krociach łańcuchów chwil. Chodzę dziś samotny i zamknięty w sobie i patrzę: widzę kobiety młode w zgrabnych ruchach, których krok odtwarza cały rytm ich natury i naśladuje ruch fali żywego strumienia wody; zmysły się moje prężą, tęsknota marzy o wielkich czynach i pragnie dróg ujścia, ale bez miłości, bez tego żywego związku; co mi dać mogą najpiękniejsze, najwonniejsze młode kobiety: uciechę przelotną, pozór jałowy, w którego użyciu pogłębia się jeno otchłań pustki przeraźliwej, bez płodnej wielkiej głębi twórczego szczęścia.

28 czerwca, rok 1916, środa
Z paszportem niemieckim powiodło mi się dobrze. Rano poszedłem do niemieckiego urzędu paszportowego przy ul. Elektoralnej, przedstawiłem mój rosyjski paszport zagraniczny, za którym w roku zeszłym z Rosji wyjechałem, fotografię moją i 10 marek taksy – i to wystarczyło. W biurze paszportowym urzędują i z publicznością interesy załatwiają młodzi Żydzi oraz panienki, również przeważnie Żydówki. Cała procedura odbyła się szybko i gładko. Żydek, który mię załatwiał, był grzeczny, tytułował mię „panem mecenasem” i choć na razie szukał na moim paszporcie zagranicznym dowodu meldunkowego i wspominał, że to jest potrzebne, jednak później oświadczył, że aby mię nie fatygować, wyda paszport i bez tego. I rzeczywiście wydano. Główna więc rzecz już załatwiona. Mając paszport niemiecki, z meldunkiem pójdzie mi już gładko. Po obiedzie szukałem pokoju do wynajęcia, głównie w obrębie I okręgu milicyjnego ze względu na to, w komisariacie tego okręgu ewentualnie jest najłatwiej ze sprawą meldunkową, gdy chodzi o pokrycie jakichś nieformalności. Upatrzyłem do wyboru trzy pokoje: przy ul. Włodzimierskiej pod nr 8, przy ul. Świętokrzyskiej pod nr 28 i przy ul. Hortensji pod nr 4. Każdy z tych pokojów ma swoje dogodne atuty. Na ostateczny wybór się jeszcze nie zdecydowałem. Poprosiłem Helę Ochenkowską, aby jeszcze jutro obeszła te trzy pokoje i wydała mi o nich swoją opinię, a wtedy już się ostatecznie zdecyduję i najmę jeden z nich. Pokoje te są w cenie od 18 do 20 rubli miesięcznie.
Otrzymałem dziś znowu list od Maryńki z dopiskiem od Papy, który przez 10 dni bawił w Wilnie. Papuś kochany kreśli kilka słów bardzo serdecznych, całuje mię i błogosławi, wyraża swój niepokój o to, czy wrócę żywy i zdrowy, i wspomina, że często płacze nade mną. Maryńka pisze obszerny, treściwy, pełny informacji i charakteru, znakomity list. Wspomina o wielu osobach spośród krewnych i znajomych naszych, o różnych szczegółikach wileńskich stosunków itd. Z tego, co pisze, i z tego, co mi Hela Ochenkowska o niej opowiada, widzę, że radzi sobie doskonale z Niemcami, jak radziła sobie zawsze ze wszystkimi, jest pełna energii i wyrazistości, idzie drogą otwartą, rżnie Niemcom prawdę w oczy i tą wyrazistością oraz prawdomównością zwycięża i umie na swoim postawić. Dzielna to kobieta! Nie traci też zapału patriotycznego, nie płaszczy się ani tchórzy, nie ma tej ugodliwości, która z jednej strony ogląda się trwożliwie na ewentualny powrót Moskali, a z drugiej węszy ulegle, by się nowym władcom,

Niemcom, nie narazić. Jest sobą, otwarcie i szczerze, czynnie i prosto krocząc zawsze w pierwszych szeregach w każdej sprawie, która jej ideałom i woli odpowiada. Jest nie niewolnicą, ale obywatelką w każdym calu i w zupełnym znaczeniu słowa. Ta jej kultura czynnej wolności – to wspaniały klejnot wśród tchórzliwej atmosfery naszego społeczeństwa. A ma ona nadto w tej wolności nie złośliwą i ostrą formę, gryzącą ludzi, ale dionizyjską prostotę i radość życia, pełną humoru i pogody, jednającą ludzi, bo twórczą i dobrą, nie z agresywności, ale z miłości płynącą.
Sprawa wyborów do Rady Miejskiej w Warszawie staje się osią, dokoła której dokonywa się rzecz o wiele głębsza. Czy się dokona i jak się dokona – tego na razie nie śmiem przesądzać ani żadnych wniosków stawiać, bo za mało ją znam. Między Centralnym Wyborczym Komitetem „Narodowym", grupującym stronnictwa i formacje „stare" – Politykę Realną, Narodową Demokrację, Polską Partię Postępową, Zjednoczenie Postępowe i „Stronnictwo Narodowe" czyli marylszczyków, których wspólną cechą jest ugoda, niewolniczość polityczna, brak instynktu państwowego i mniej lub więcej ukryte moskalofilstwo, u jednych zasadnicze, u innych z tchórzostwa płynące i gotowe do ustąpienia na rzecz ugody z Niemcami, gdyby nowa niemiecka władza miała się ugruntować, a takimże Komitetem „Demokratycznym", skupiającym formacje „nowe", oparte na żywej idei państwowej; w szczególności oba wielkie odłamy ruchu – niepodległościowy i austrofilski, upostaciowane w CKN i w LPP, toczą się od kilku dni układy o kompromisie wyborczym. Z ramienia „Demokratycznego" Komitetu w układach tych biorą udział Zygmunt Chmielewski (LPP) i Medard Downarowicz (CKN). Na razie z tego, com w prasie wyczytał ze wzmianek o rokowaniach i z tego, com na stronie słyszał, byłem idei tego kompromisu przeciwny, uważając, że ognia z wodą pogodzić nie można i że ogień bloku tzw. „Demokratycznego", czyli państwowo-twórczego, ma w tym kompromisie tendencję ustępliwości na rzecz wody bloku tzw. „Narodowego", czyli państwowo-bezwładnego za cenę rzekomego rozpalenia wody, które w istocie stanie się zgaszeniem ognia. Wszakże Medard Downarowicz, gdym mu te moje wątpliwości wyraził, oświadczył mi poufnie, że ceną kompromisu wyborczego ma być ewentualnie konsolidacja polityczna, czyli utworzenie Rady Narodowej, tej tak długo na próżno wypatrywanej, opartej na haśle niepodległości, konsolidacja stronnictw jak ta, której wyrazem jest NKN w Galicji. Za mało biegły jeszcze jestem w stosunkach warszawskich, abym osądził, czy to jest wykonalne i żywotne. Z pewnością jednak oba obozy myślą o tej konsolidacji z zamiarem podporządkowania sobie przeciwnika. Jak wiem skądinąd, zabiegi o tę konsolidację toczył CKN i w szczególności pułkownik Sosnkowski w czasie swego ostatniego parotygodniowego pobytu w Warszawie, oddający I Brygadę do rozporządzenia przyszłej konsolidacji Królestwa. LPP, stojąca na klasycznym gruncie Legionów i NKN-u, nie była tą konsolidacją zaskoczona. Czy to jest budowa realna – nie wiem. Skądinąd Jaworski i konserwatyści krakowscy też ręce maczają w dziele porozumienia z prawicą Królestwa i może także nie w NKN-owym duchu.

29 czerwca, rok 1916, czwartek
Wieczorem wynająłem dziś pokój i przeniosłem się do niego z pensjonatu p. Nartowskiej. Zdecydowałem się na wybór pokoju przy ul. Świętokrzyskiej pod nr 28 w mieszkaniu niejakiej p. Lourie (wymawia się Lurje). Jest to Żydówka; od paru miesięcy wdowa po komiwojażerze; wydaje się niezła osoba, niezbyt sprytna, łatwa we współżyciu; jest biedaczka znękana warunkami materialnymi po stracie męża, obarczona jest czworgiem dzieci, z których troje jest w szkołach; radzi sobie jak może, wynajmując parę pokojów ze swego mieszkania i przyjmując stołowników; zresztą jestem jej jedynym lokatorem, bo oba pokoje stały puste. Płacę za pokój 17 rubli

miesięcznie, stołować się tu nie będę. Pokoik mam dość marny, ale czuję, że będę w tej rodzinie ceniony i będę swobodny, a to już dużo. Miłe są dziatki pani Lourie, zwłaszcza dwie dziewczynki, z których młodsza 7-letnia jest ładnym i rozkosznym dzieckiem, sprytna, zalotna i rozbawiona, starsza zaś 15-letnia Wandzia wydaje się typowym współczesnym podlotkiem stołecznym, znającym już cenę wdzięku dziewczęcego, skłonnym do flirtu, trochę pretensjonalnym i udającym zblazowanie, w istocie chcącym się podobać, kokietującym modną przynależnością do skautu, grymaszącym trochę w domu i niedbale traktującym środowisko nudnego „łona rodzinnego". W gruncie, zdaje się, niezłe dziecko, ale już przede wszystkim czujące upodobanie do chłopców. Już sama obecność lokatora-mężczyzny, jakim ja jestem, choć wiekiem tak dla niej niestosowny, podoba się podlotkowi; chciałaby uchodzić w moich oczach za panienkę, godną męskiej uwagi i wydać się ponad swój wiek ponętną i świadomą swojej kobiecości; jest jednak w tych podlotkach współczesnych, wychowywanych na sporcie, pewne zacięcie brawury, które się określa nazwą kozak-panna, dominujące w nich nad miękkim typem kobiecym o kulturze bierności i głębokiej pojemności, właściwej ich płci; jest w nich coś niespokojnego i nerwowego, co drażni, jest przedwczesny rozpęd do aktywności ponad naturę kobiecą.
Byłem dziś na obiedzie u pp. Pomorskich. Byli oboje państwo Pomorscy i krewny p. Pomorskiego, niejaki p. Wasiutyński. Dziwne wrażenie odniosłem ze słuchania rozmowy, która się toczyła, a która jest, zdaje się, przeciętną nastrojów warszawskich, jak przeciętną sferę inteligencji wyższego rzędu reprezentują pp. Pomorscy. Naturalnie, że tematem była wojna, jej efekty w życiu publicznym i międzynarodowym, jej perspektywy. Moskalofilstwa w znaczeniu wiary do Rosji i do sprawiedliwego, odpowiadającego życzeniom i potrzebom narodu, rozwiązania przez nią sprawy polskiej – nie ma zgoła. Ta doba różowego optymizmu moskalofilskiego, której zresztą sam Pomorski nie hołdował, zdaje się, nigdy, minęła w Warszawie od bardzo dawna, bo jeszcze od zimy roku 1914-1915. Jeżeli moskalofilstwo w znaczeniu tęsknoty do „powrotu taty", jak je tu dziś nazywają, istnieje jeszcze i jest nawet dość silne w wygłodzonych masach, to bynajmniej nie w imię jakichś postulatów narodowych i zapału dawnego z pierwszych miesięcy wojny, jeno w imię ratunku od głodu i nędzy, w imię powrotu do bytowania znośnego, jako chęć ucieczki z nieszczęsnego koła wygłodzonych mocarstw centralnych; moskalofilstwo to – to akt rozpaczy znękanej ludności, która już żadnych innych, prócz elementarnych odruchów głodu, nie wyczuwa i wyczuwać nie chce. Tego rodzaju moskalofilstwu ludzie typu Pomorskiego oczywiście nie hołdują. Ale jest w nich, na gruncie obserwacji rosnącej nędzy, coraz groźniejszego ubóstwa mocarstw centralnych, coraz jaskrawszych skutków wojny w sferze ekonomicznej, a w związku z jej przedłużaniem się bez końca i z ujawniającym się faktem, że jednak Rosja i koalicja złamane nie są i są nawet w stanie zwyciężać, jak oto teraz w ofensywie rosyjskiej – jakaś fatalna wiara w porażkę mocarstw centralnych i w katastrofę dla nich. Gdy się słucha tych rozmów – to tak się zdaje, jak żeby Niemcy i Austria już były u katastrofy, która, jak fatum nieubłagane, piorunem uderzy. Ja nie wiem – ale jest jakaś hipnoza, która się udziela jak zaraza. W tej chwili istotnie mocarstwa centralne są w swoich zdobyczach na wschodzie zagrożone ofensywą rosyjską, ale nawet gdy zwyciężają – nie wierzy się w ostateczny skutek, bo jest coś straszniejszego od siły oręża, co na wyobraźnię i nastrój działa – widok nędzy i ruiny elementarnej oraz siła czasu, który tę ruinę pogłębia i konsekwentnie ją prowadzi „*usque ad finem*". Jest w tej wojnie dzikiej zaczarowane koło, z którego nie wiadomo, jak i którędy oraz dokąd wybrnąć. Pragnienie u Polaków jest niepodległościowe – pomimo wszystko, ale umysły, przynajmniej tu w Warszawie, więcej, niż to gdzie indziej obserwowałem, pełne są katastrofalnej niewiary do zwycięstwa mocarstw

centralnych. Na co się liczy – tego się nie wie. Jest coś, co przypomina grozę oczekiwania wybuchu tysiąca wulkanów.
Jak wiem od Ludwika Abramowicza, na dzisiejszym posiedzeniu przedstawicieli wszystkich stronnictw, zainicjowanym z okazji kompromisu wyborczego, a mającym na celu w myśl CKN-owych tendencji wyłonić próbę konsolidacji polityczno-narodowej, doszło do pewnego porozumienia *ad hoc*. Na razie „konsolidacja" ma ogarnąć akt wyborów do Rady Miejskiej oraz stanowisko przeciwrozbiorowe. „Lewica", to znaczy obóz CKN-u poszedł bardzo daleko w ustępliwości w imię moralnego atutu konsolidacji, mającej się odbyć pod platonicznym hasłem niepodległości.

30 czerwca, rok 1916, piątek
Od pewnego czasu znów się we mnie budzą zmysły. Wiem, że nie dadzą mi one nic, prócz pozorów, bo w realizacji są czcze i jałowe, ale dopóki ich przedsmak pozostaje w sferze wyobraźni, zapala on tam wizje mirażów, które łudzą i nęcą. Opieram się temu, ale wielkie miasto ma w sobie podnieceń pełno, które wciąż dają zmysłom pochop. Same zmysłowe uciechy, nie poparte działaniem głębszych czynników psychicznych, jak zwłaszcza uczucia i wola w ich ewolucji zdobywczej – to próżnia i nicość. Warszawo! Nie kocham cię i nie cenię. Syreną jesteś, jaką cię godło twoje przedstawia. W wielkiej chwili dziejowej szacunku godną nie zostałaś. Nie tylko że nie uderzyłaś „w czynów stal", ale nawet woli nie wykrzesałaś. Warszawo, lubieżności zmysłowej tylko jesteś warta, bo w tym celujesz. Ladacznicą zostałaś; w podziemiach twoich rosły lwięta i orlęta, ale tyś za nimi nie szła, darząc Dmowskich wyborem, a gdy jego nie stało, tyś oniemiała. Wolności woli i czynu nie masz w tobie. Znikczemniałaś i spiżowych tonów nie posiadasz. Ponętna jesteś, ale wielkości i siły ci brak. Nie masz w tobie innych dreszczów, prócz dreszczów tchórzostwa i użycia. Gdy się jest w tobie, nie czuje się twojej władczej królewskiej mocy nad sobą. W tłumie twoim nie ma hasła ani czynu. Cokolwiek bądź się tu przez ludzi żywych i wolnych robi, to nie świętym zapałem i stalowym kuciem, ale nędznym sztukowaniem, kleceniem, kompromisem. Czyn z artystycznej twórczości maleje tu do rzemiosła; wola się obniża, lot traci skrzydła i tylko zmysłom, rozpaczy braciom, wyrastają stopki do pełzania.
Z wojny są dziś złe wieści. Według komunikatu austriackiego, Austriacy, pod parciem przeważających sił rosyjskich, cofnęli się pod Kołomyją i na południe od niej. Ten ruch Rosjan z Bukowiny północnej na Kołomyję i Stanisławów może mieć bardzo groźne następstwa. Dopóki chodziło o przełamanie przez Rosjan frontu austriackiego na granicy bukowińsko-besarabskiej, o zajęcie Czerniowiec, wreszcie o zajęcie całej Bukowiny aż za Kimpolung i pod Kirlibabę, nie niepokoiło mię to wcale. Jest to z konfiguracji frontu wypchanie przez Rosjan worka, nie mające samo przez się znaczenia dla całości frontu. Zalanie przez Rosjan całej południowej Bukowiny aż po linię Karpat jest strategicznie obojętne. Na Karpatach Moskale ugrzęzną, a dopóki linia na całości frontu od Galicji Wschodniej aż po Dyneburg stoi niewzruszenie, pchanie się ich przez Karpaty do Siedmiogrodu na Węgry byłoby dla nich samych rzeczą bez sensu. Rozumiałem jednak, że wypełnienie przez Rosjan całej Doliny Bukowińskiej na południe aż po Karpaty jest akcją wstępną, zabezpieczającą ich tyły, oparte o karpacką linię, dla zwrotu akcji nowym frontem w kierunku z Bukowiny Północnej do Galicji Wschodniej na Kołomyję-Stanisławów. I tu dopiero uważałem, że się zacznie początek właściwej gry poważnej, gry strategicznej. Czekałem tego ruchu w najbliższym czasie i uważałem, że tu dopiero rozpocznie się istotny opór Austriaków. Dopóki Rosjanie w swej akcji bukowińskiej nie sforsowali dróg na Kołomyję, byłem o nią spokojny, a całą wagę ofensywy rosyjskiej przywiązywałem do odcinka wołyńskiego pod Łuckiem, gdzie Moskale powstrzymani zostali szczęśliwie kontrofensywą Linsingena.

Tymczasem jak grom uderzyła wiadomość o sforsowaniu przez Rosjan pozycji pod Kołomyją. Dalszy ich ruch stamtąd jest zaiste groźny. Stamtąd otwiera się im droga na Stanisławów, względnie dalej w kierunku z jednej strony na Stryj i Borysław (nafta), z drugiej – na Lwów. Odtąd Lwów staje się istotnie zagrożonym. Zwycięstwo Rosjan pod Kołomyją może być groźniejszym nawet od przełamania się wołyńskiego. Przełamanie się na Stanisławów może zmusić Austriaków do automatycznego zwinięcia linii znad Strypy i cofnięcia się aż za Lwów i może aż nad San, a wyżej na północy aż nad Bug. W każdym razie, sytuacja w Galicji Wschodniej staje się poważna.
Układ, który z okazji kompromisu wyborczego do Rady Miejskiej w Warszawie dokonał się między stronnictwami, stanął pod hasłem niepodległości. Był on poprzedzony zabiegami CKN-u oraz wysłanników I Brygady, którzy weszli już poprzednio w kontakt z elementami prawicy narodowej. Nie jest to jeszcze konsolidacja doskonała, ale zaczątek jej już jest. Ma to na razie większe znaczenie moralne, niż organizacyjne. Organizacyjnie „konsolidacja" ta jest jeszcze wątła i krucha. Ale ważne jest znaczenie tego aktu z tego względu, że przełamane zostały wreszcie lody bezwładu prawicy. Bezwład ten był na prawicy planowy, podsycany przez elementy moskalofilskie. Moskalofile bowiem, uważając, że reprezentacja woli narodowej spoczywa w ręku starego, z czasów jeszcze rosyjskich utworzonego „Komitetu Narodowego", rezydującego obecnie w Petersburgu, chcieli za wszelką cenę nie dopuścić do jakichkolwiek pozorów konsolidacji w Warszawie, aby mieć ten atut na rzecz petersburskiego „Komitetu Narodowego", że poza nim w Warszawie nie ma żadnego ogólnonarodowego organu i że przeto nadal ów „Komitet Narodowy" jest jedynym autorytetem, jedynym prawowitym wyrazicielem woli narodowej w Królestwie. Takie mieli instrukcje z Petersburga, tak im prawili agenci Dmowskiego, z którymi się komunikowali, takie im hasło rzucił „Komitet Narodowy", opuszczając Warszawę i udając się na emigrację: „Trzymajcie się jednego, nie dopuszczajcie do powstania żadnego organu konsolidacji".

1 lipca, rok 1916, sobota
W dalszym ciągu pomówię o „konsolidacji".
Elementy moskalofilskie, silne na prawicy narodowej, stały pod hasłem polityki bezwładu. Takim był testament, przekazany im przez uchodzących z wojskami rosyjskimi menerów endecji i Realistów. O to przykazanie rozbijały się wszystkie dotychczasowe usiłowania konsolidacji. Rozbijały się zaś tym łatwiej, że niepodległościowa „lewica narodowa" wysuwała ze swej strony zasadę frontu antyrosyjskiego i uznania politycznego dla Legionów jako czynniki podstawowe dla konsolidacji. Z biegiem czasu znalazł się wszakże grunt dla układu. Z jednej strony, w obozie prawicy wysunęła się na czoło nowa formacja, popularnie znana pod firmą marylszczyzny, używająca zaś urzędowej nazwy „Stronnictwa Narodowego". Właściwa moskalofilska Narodowa Demokracja, zarówno jak hołdujący moskalofilstwu Realiści – w przeważnej części opuścili kraj i przenieśli się na wschód na emigrację; od kraju są odcięci, a przeto wpływ ich musiał zmaleć; to, co z nich pozostało w kraju, to są niedobitki, bez najtęższych głów, bez wodzów. Przedłużający się pobyt Niemców w Warszawie sam przez się zresztą wytrącał im z miesiąca na miesiąc grunt pod nogami. Życie realne kształtuje się na pewnych faktach dokonanych i ma zawsze tendencję szukania linii najmniejszego oporu. Moskalofilskie elementy, osłabione emigracją, stawały się siłą trwania okupacji niemieckiej nierealne; ze stronnictwa rządzącego i opierającego się na *status quo* przeradzały się na jakąś doktrynerską, sztywną i martwą koncepcję, daleką od perspektyw realnych. Endeccy zaś moskalofile mają swoją wiarę, swoja koncepcję idealną Sprawy Polskiej, opartą na związku z Rosją i na dokonaniu

pod jej egidą przeciw germanizmowi zjednoczenia ziem polskich. Okoliczności im nie sprzyjały. Koncepcja ich z politycznie praktycznej stawała się doktrynerską i oderwaną od życia. Realniejszymi od nich stali się oportuniści, typowi oportuniści, jakimi są tzw. „marylszczycy" (nazwa dziś już nie stosowana, bo ich twórca i założyciel, autor zeszłorocznej secesji z ND, Marylski, już podobno ze stronnictwa wystąpił). „Marylszczycy", czyli Stronnictwo Narodowe, nie hołdują żadnej doktrynie, żadnemu programowi, czy to związkowi z Rosją, jak moskalofile z ND, czy związkowi z Austrią, jak NKN. Słusznie zwą ich stronnictwem przyszłości, stronnictwem, które gotuje się do roli rządzącego. Ich cechą najcharakterystyczniejszą jest skłonność do kompromisu ze wszelką siłą aktualną, do ugody z tym, kto ma władzę realną i kto ma szanse stać się gospodarzem. Tym była dawniej endecja, dopóki ewolucja moskalofilska i ideologia antygermańska nie skuły jej z Rosja zasadami konkretnej logicznej i idealistycznej koncepcji. Oportuniści od niej odpadli, a szeregi ich powiększyły się tym bardziej, im dalej rzeczywistość odbiegła od torów ideologii endeckiej. Do obozu oportunistów ze Stronnictwa Narodowego przywarły wszystkie te elementy, które szukały praktycznych dróg linii najmniejszego oporu i nie krępowały się „przesądami" w kompromisie. Stronnictwo to zdobyło powagę znaczną w kołach ziemiańskich, powstałych w kraju. O ile niedobitki endeckie zostały bez przywódców, o tyle wszyscy przywódcy Stronnictwa Narodowego z Ronikierem na czele są obecni i nie tylko że są obecni, ale rej wodzą w organizacjach ziemiańskich i społeczno-obywatelskich publicznych w kraju. W ich ręku jest Rada Główna Opiekuńcza, najpoważniejsza instytucja obywatelska. Są oni w kraju najsilniejsi. W okupacji niemieckiej mają oni skłonność do germanofilstwa, są w kontakcie z Niemcami, umieją z władzą niemiecką się porozumiewać; w okupacji austriackiej idą na rękę Austriakom; gdyby mieli wrócić Moskale, nic by ich nie kosztowało zostać moskalofilami, nie z przekonania i ideologii, to znaczy nie w endeckim stylu, ale z oportunizmu i zasady linii najmniejszego oporu. Otóż tych panów nie obowiązują ani ideowe, ani taktyczne przykazania endeckiego moskalofilstwa, zabraniające dzieła konsolidacji. Owszem – konsolidacja może im być na rękę, jeżeli może im większy wpływ w społeczeństwie zagwarantować i autorytet im podnieść przez współudział w dziele jedności narodowej. Zrozumiał to niepodległościowy CKN i z nimi rokowania rozpoczął, na razie zakulisowe, poza plecami austrofilskiej Ligi Państwowości Polskiej i moskalofilskich endeków. Miał zaś w tym sojuszników na prawicy w takiej Grupie Pracy Narodowej, zasadniczo niepodległościowej, oraz w obu odłamach „postępowców" (PPP i Zjednoczenie Postępowe), którzy jak manekiny czepiają się wszelkich kombinacji pośrednich. Hasło niepodległości nie straszy samo przez się oportunistów „marylszczyzny", bo w narodzie jest popularne i przez Niemców dobrze widziane jako atut przeciwko Rosji, wobec zaś Rosji też nie niebezpieczne, bo dające wymówkę, że przecie pod Niemcami niepodobna jawnie głosić hasła powrotu do Rosji, a niepodległość przeciwstawia się aneksji niemieckiej, a więc temu, co dla Rosji byłoby najprzykrzejsze; skądinąd Narodowa Demokracja przez długie lata sama operowała w masach frazesem niepodległościowym i zaszczepiła go masom, przynajmniej inteligenckim, z czego marylszczyzna dziś obłudnie przeciwko istotnej ideologii endeckiej korzysta, zbierając śmietankę dla siebie. Słowem – niepodległość jako hasło nie odstrasza dziś „marylszczyków" bynajmniej; raczej przeciwnie. Z drugiej strony, CKN, na gruncie walki z austrofilstwem i z nawiązanymi przez NKN do Legionów tendencjami politycznymi, przeciwstawiającymi się programowi niepodległościowemu, któremu on hołduje, oraz na gruncie sporu werbunkowego, w znacznym stopniu zmienił swój stosunek do Legionów i już nie uważa za konieczne podkreślania w podstawie konsolidacji stanowiska legionowego. Legiony uznaje on za czynnik, który raczej już odegrał rolę, niż gra ją obecnie, zwłaszcza w ich obecnych

kształtach i w obecnych warunkach stosunku mocarstw centralnych do Polski, a żywy w nich czynnik zawiązku armii narodowej dostrzega li tylko w I Brygadzie, którą przeciwstawia całości Legionów. Wobec tego CKN z lekkim sercem pominął Legiony w dziele konsolidacji, nie podkreślając wcale tego czynnika Sprawy Polskiej, rozumiejąc, ze to jest główny – i tak jest w istocie – szkopuł dla oportunistów do konsolidacji. Legiony bowiem – to ten czynnik, który właśnie najbardziej by kompromitował dzieło konsolidacji i jej rzeczników tak w oczach Rosji, jak nawet Niemców. Dalej CKN zrzekł się podkreślania specjalnie frontu antyrosyjskiego, wychodząc z założenia, że naczelne hasło niepodległości zawiera w sobie front odporny na wszystkie trzy strony, to znaczy tak przeciwko Rosji, jak Niemców i Austrii, co bije zarówno moskalofilów, jak austrofilów z NKN-u i z LPP. A CKN, dopóty i o tyle, dopóki i o ile niebezpieczeństwo rosyjskie pozostaje na dalszym planie, większą na zewnątrz toczy walkę z austrofilstwem NKN-u i w Królestwie Ligi Państwowości, niż ze zbankrutowanym (oby już raz na zawsze!) moskalofilstwem. Konsolidacja więc dokonywa się kosztem stanowiska ideowego z jednej strony endecji, z drugiej – LPP; autorami i rzecznikami konsolidacji są z jednej strony CKN, z drugiej – oportuniści. Konsolidacja w praktyce ma na razie dotyczyć wyborów i protestu przeciwko wszelkim zakusom podziału Królestwa przez mocarstwa centralne, a jej hasłem i ideą jest – Niepodległość. Firmą konsolidacji ma być na razie delegacja od wszystkich trzech bloków – Koła Międzypartyjnego (prawica), LPP (centrum) i CKN (lewica). CKN, który jednak w gruncie jest przede wszystkim antyrosyjskim, liczy dużo na wysłanie przez skonsolidowaną delegację reprezentacji do Berlina i Wiednia.

2 lipca, 1916 rok, niedziela
Z meldunkiem moim rzecz jeszcze nie jest skończona. Gdym wybierał paszport niemiecki, wskazałem miejsce zamieszkania przy ul. Mazowieckiej u Ludwika Abramowicza. Gdym potem zamieszkał przy ul. Świętokrzyskiej i dał mój paszport niemiecki do zameldowania w milicji, stwierdzono, że w domu przy ul. Mazowieckiej nie byłem meldowany. Po pewnych z tego powodu wyjaśnieniach ustalono procedurę taką, że mam być wpierw zameldowany przy ul. Mazowieckiej jako przybyły z przedmieścia Targówka (jest to jedno ze zbawczych przedmieść, w którym dotąd meldunkowego systemu nie ma i w którym przeto formalnie dowodu zamieszkania się nie wymaga), a następnie stamtąd wymeldowany i znowu zameldowany przy ul. Świętokrzyskiej. Rzecz więc już jest na dobrej drodze.
Miałem do załatwienia jeszcze meldunek innego rodzaju, mianowicie meldunek u mojej wojskowej władzy warszawskiej z I Brygady. Władzę tę reprezentuje z ramienia Piłsudskiego, oczywiście poufnie, obywatel Sławek, oficer I Brygady, jeden z dość głośnych swego czasu czynnych członków bojówki PPP z roku 1905, który w jednym z zamachów terrorystycznych postradał od wybuchu bomby jedno oko. Sławek jest tu po cywilnemu, zalegalizowany jawnie w Warszawie. Wczoraj rano poszedłem się do niego zameldować. Był on zresztą już uprzedzony o mojej obecności w Warszawie. Przyjął do wiadomości sprawę mego wyjazdu do Wilna oraz pobytu w Warszawie dla odpowiednich starań. Uważając, że pobyt mój, jako żołnierza Brygady, w Warszawie i wyjazd do Wilna dla akcji o charakterze politycznym – podlega kontroli mojej władzy wojskowej, którą on reprezentuje, uważał on za wskazane udzielić mi pewnej dyrektywy co do charakteru kierunku mojej akcji. Wprawdzie ja moją akcje polityczno-litewską zamierzam prowadzić zupełnie autonomicznie, opierając ją na założeniach, które sam za odpowiadające interesom Litwy uważam, i w tej mierze nie myślę przyjmować charakteru funkcjonariusza polityki brygadowej w ścisłym znaczeniu słowa, jednak na ostrzu noża tego nie stawiałem. Zamierzam i pragnę prowadzić tę

akcję w kontakcie z CKN-em i z polityką Piłsudskiego i spodziewam się, że do zatargu zasadniczego między tym, czego oni chcą a co ja robić będę, nie dojdzie, bo prawdopodobnie i jedno, i drugie – znajdą się na tej samej linii politycznej, a siłą moją w akcji litewskiej jest to, że znam stosunki litewskie i że nie oni mnie, ale ja im będę otwierał drogi działania politycznego na Litwie; gdyby wszakże się okazało z czasem, że moja linia akcji znajdzie się w zasadniczej sprzeczności z ich linią, to ja się politycznie nie podporządkuję, a po prostu zmuszony będę tylko wrócić do mojej roli żołnierza, to znaczy wrócić na linię. Jaki jest zamierzony przeze mnie kierunek mojej akcji, to już streściłem w moim memoriale do CKN-u, na którego gruncie stać będę. Występuję więc z przyłbicą otwartą i powiadam: oto mój punkt wyjścia i oto mój kierunek: chcecie – to jadę na Litwę i działam, bo sam też chcę tego, nie chcecie, to pozostaję żołnierzem, który, raz na czas wojny wstąpiwszy do wojska, obowiązany jest lojalnie w żołnierskim czynie w Brygadzie wytrwać. Sławek ma się z moim memoriałem do CKN-u zapoznać. Tymczasem zaznaczył mi on w kilku słowach swoje pojmowanie zadań politycznych w sprawie litewskiej, wykazujące dość słabą znajomość istoty rzeczy. Jego zdaniem – „chorobą” stosunków politycznych na Litwie jest „krajowość” (!), która pęta wolę i prowadzi do przesadnego liczenia się i podporządkowywania wszystkim narodowościom, kraj zamieszkującym, co prawie uniemożliwia jakiekolwiek działanie. Sławek nie wie z pewnością, że w mojej osobie jest jeden z głównych rzeczników tej „krajowości” Litwy, której on nie rozumie i którą mylnie utożsamia z bezwładem i brakiem określonej woli; krajowość polega właśnie na spotęgowaniu samodzielności obywatelskiej do *maximum*. To wszakże, co dalej Sławek mówił, nie przeczyło bynajmniej moim pojęciom o politycznej akcji na Litwie; zaznaczał potrzebę łączenia sprawy litewskiej z polską, opierając to łączenie na zasadach nie aneksyjnych, lecz związkowych. Co zaś do zużytkowania przeze mnie czasu pobytu w Warszawie aż do ewentualnego wyjazdu do Wilna, to Sławek zalecał mi podjąć się funkcji referenta sprawy litewskiej w CKN-ie oraz w prasie niepodległościowej, w szczególności we wznawianym „Widnokręgu” i w mającym być wydawanym bezcenzuralnym organie CKN-u.
Dziś rano siedziałem z p. Medardową Downarowiczową i jeszcze paru paniami i panami (Kasperski i Kunowski) w Bagateli przy stoliku na śniadaniu, urządzanym na dochód CKN-u. Po obiedzie byłem na wiecu Centralnego Demokratycznego Komitetu Wyborczego w Filharmonii. Pomimo że kompromis wyborczy stanął, jednak wiece są jeszcze urządzane dla celów agitacyjnych popularyzacji haseł. Obóz Komitetu Demokratycznego kładzie wielki nacisk na niepodległościową platformę polityczną całego życia publicznego. Moment niepodległościowy jest tu z całą swobodą uwydatniany, co w okupacji austriackiej jest przez władze stale tamowane i wręcz w agitacji zabronione.

3 lipca, rok 1916, poniedziałek
Do jakiego jednak stopnia moskalofilstwo jako prąd polityczny, na początku wojny tak powszechny w Warszawie, traci grunt pod nogami, tego oznaką może być pozawczorajszy artykuł wstępny w tzw. „Dwugroszówce”, czyli „Gazecie Porannej”. Gazetka ta, o najgorszej w dziejach brukowej prasy warszawskiej przeszłości, łącząca wszystko najgorsze z klerykalizmu ze wszystkim najgorszym z endecji, mająca w tradycji swojej wawrzyny najniższego antysemityzmu i moskalofilstwa, zaprawionych najbezwzględniejszą demagogią, dziś oświadcza wreszcie, że program polski z początków wojny (czytaj: program klasycznego moskalofilstwa) nie może się już obecnie ostać wobec zaszłych faktów i wobec dojrzewania narodowej woli polskiej i że przeto musi ulec rewizji; zastrzega się, że gdyby nawet mieli wrócić Moskale, to już

Polacy nie mogą się zadowolić tym, czym się zadowalali na początku wojny. Ten zwrot w obozie endeckim jest charakterystyczny i symptomatyczny, wskazuje, że nawet endecy, ci najwierniejsi i najbardziej przekonani rzecznicy moskalofilskiego programu, podnoszący go poprzednio do wyżyny ideału narodowego i doktryny, zmuszeni są dziś skapitulować dla salwowania swego stanowiska w Polsce i wpływów politycznych. Artykuł ten jest wielce znamienny i zaiste godny podkreślenia. Wprawdzie w masie są żywotne nastroje moskalofilskie jako reakcja na ciężkie stosunki gospodarcze i w ogóle życiowe (komunikacyjne i inne), wytworzone przez okupację wojenną mocarstw centralnych, jednak są one apolityczne. Moskalofilstwo polityczne wymiera, a na jego gruzach zakwita nie jakieś austro- czy germanofilstwo, ale coraz wyraźniej się kształtująca wola niepodległościowa. Przystosowują się do niej formacje polityczne, dalekie od radykalizmu i w ogóle takie, które zawsze szukają dróg najmniejszego oporu i z oportunizmu bożyszcze swe robią. Wreszcie i endecy zrozumieli wyrastającą wobec nich coraz groźniej alternatywę: albo ustępstwo z moskalofilstwa i zboczenie w kierunku ideału niepodległości, albo utrata politycznych wpływów i nirwana polityczna, w głuchych odruchach i głodowych próżnych nastrojach utopiona. Twórcze życie polityczne układa się dziś w Polsce coraz bardziej pod znakiem niepodległości. Endecy byli dotąd najoporniejsi, ale wreszcie i oni zmuszeni zostali do zruszenia się z martwego punktu moskalofilstwa. A że imperatyw, któremu ulegli, jest silny, to świadczy, że zrobili to w czasie, kiedy sytuacja wojenna układa się względnie niepomyślnie dla mocarstw centralnych i kiedy moskalofilstwo mogłoby, jak się z pozorów zdawać może, głowę podnosić. Ten symptomatyczny artykuł zwrotny w „Gazecie Porannej" ukazał się akurat w czasie dokonywającej się próby konsolidacyjnej stronnictw. Próba ta ma w sobie ten właśnie moment dodatni, że przyśpiesza proces niepodległościowego określenia się polityki polskiej. Wprawdzie nazajutrz po tym artykule ta sama „Gazeta Poranna" usiłuje zbagatelizować „konsolidację", aby utrącić urok politycznego powodzenia z rąk tych, którzy byli jej sprawcami i nie dać pono do domysłu, że jej zwrot z moskalofilskiej pozycji był wyrazem zwycięstwa przeciwników, ale fakt zwrotu zostaje faktem. Z wieści, które nadeszły do Warszawy z zakordonowej polityki polskiej w Petersburgu, przywiezionych przez Drzewieckiego (wrócił ze Sztokholmu, dokąd jeździł dla podjęcia pewnych sum miejskich, należnych od Rosji i gdzie się widział z agentami politycznych kół polskich na emigracji rosyjskiej), wynika, że już i realiści, przebywający w Rosji i reprezentowani tam przez najlepsze swoje głowy polityczne, doszli do przekonania, że równolegle do akcji w Sprawie Polskiej, prowadzonej przez nich wobec koalicji, należy nawiązywać kontakt i z mocarstwami centralnymi; jest to wyrazem przekonania, że w rozwiązaniu sprawy polskiej w skutkach tej wojny czynne będą nie tylko koalicji siły, ale i mocarstwa centralne; uznanie potrzeby liczenia się z mocarstwami centralnymi i dyrektywy, udzielone Warszawie przez polityków z miarodajnego i poważnego obozu realistów, są wyrazem głębokiego upadku idei moskalofilskiej w polityce polskiej i coraz większej wagi czynnika międzynarodowego.
Wczoraj zostałem zaproszony jako gość na obrady zjazdu CKN-u. Dowiedziałem się zresztą od Medarda Downarowicza, że w CKN-ie jest zgłoszona moja kandydatura na jego członka. W zasadzie wolałbym być w kontakcie z CKN-em, niż formalnie do niego należeć. W każdym razie, chciałbym wpierw dojść z nim do porozumienia w sprawie litewskiej co do programu akcji, bo, niestety, lękam się, że nie będziemy z nim zupełnie zgodni. Obawiam się, że w CKN-ie dominują tendencje godzenia się z programem aneksji Litwy etnograficznej wraz z Kurlandią na rzecz Niemiec i reflektowanie na wycięcie z Litwy i mechaniczne wcielenie do Polski Białej Rusi Zachodniej wraz z Wilnem, to znaczy nie idei związku Litwy z Polską, idei bloku wolnych ludów byłej

Rzeczypospolitej, ale idei pewnej ekspansji państwowej, a bodaj i narodowej – Polski na pewne terytoria Wielkiego Księstwa, mianowicie na Białoruś. Dostrzegłem, że wśród niepodległościowców taka idea jest dość upowszechniona i popularna. Nie odpowiada ona mojej idei zasadniczej.

4 lipca, rok 1916, wtorek
Udzielę trochę miejsca zjazdowi CKN-u, na którego kilku posiedzeniach pozawczoraj i wczoraj byłem. Był to zjazd przedstawicieli prowincjonalnych kół CKN-u, czyli lokalnych tzw. komitetów narodowych, zjednoczonych w Komitecie Centralnym. Przewodniczył zjazdowi Artur Śliwiński. Do CKN-u należy też lubelski Wydział Narodowy, założony ongi, o ile wiem, staraniem działaczy z Departamentu Wojskowego, ale rychło, w miarę pogłębienia się rozdziału między kierunkiem polityki Departamentowej a niepodległościowym, zrywający z Departamentem i już obecnie organizacyjnie z CKN-em jako jego część składowa związany. Z kół lokalnych reprezentowane były na zjeździe z okupacji niemieckiej – Łódź, Częstochowa, Pułtusk, Siedlce, Łuków i parę innych miejscowości, z okupacji zaś austriackiej – Lublin, Radom, Piotrków, Radomsk i parę innych. W zjeździe naturalnie czynny udział brali członkowie Centralnego Komitetu z Warszawy z Arturem Śliwińskim i Medardem Downarowiczem na czele, reprezentowani poza tym przez szereg innych osób, jak Gustaw Daniłowski, Dunin, Dębski, Tadeusz Szpotański, oficerowie brygady Sławek i Jur-Gorzechowski, jak dalej Sznierowski, Kunowski, redaktor Kempner, Czarkowski (tzw. Leru, znany mi dobrze PPS-owiec z Wilna), Jankowski (z NZR-u), Osiecki i kilku innych. Na pierwszym, pozawczorajszym, posiedzeniu, na którym byłem obecny, delegaci prowincjonalni dawali sprawozdanie z akcji niepodległościowej na prowincji. To, co usłyszałem i czemu się na tym zjeździe przyjrzałem, potwierdziło mi to, co już poprzednio w CKN-ie wyczuwałem. Organizacyjnie jest on istotnie słaby, ale niemniej wyraża on najkonsekwentniej tę polityczną linię niepodległościową, która jest istotnym Sprawy Polskiej czynnikiem i która w politycznej koncepcji i woli ogółu, przynajmniej ogółu uspołecznionego i uobywatelnionego, coraz bardziej przeważa. O ile w Warszawie CKN gra coraz większą rolę w życiu politycznym i zyskuje wpływ na kształtowanie się ogólnych stosunków politycznych, posiadając wcale niezły dobór ludzi i wielką sprężystość taktyczną, ułatwiającą mu wygrywanie atutów narastającej woli niepodległościowej, o tyle na prowincji, wyłączając wszakże Lublin, jest on słaby i organizacyjnie bardzo wątły. Jedyny Lublin reprezentuje przez Wydział Narodowy poważną siłę organizacyjną; na zjeździe też Lublin był reprezentowany przez dobre siły, jak Poniatowski młody i polityk wytrawny Witold Jodko. Poza tym, delegaci z prowincji, a zwłaszcza z okupacji niemieckiej – to byli ludzie bardzo mało wyrobieni politycznie, reprezentujący słabą siłę materiału ludzkiego. Ze sprawozdań też wynikało, że prócz Lublina, akcja lokalnych kół CKN-owych przedstawia się bardzo ubogo i wpływy jej sięgają tylko o tyle, o ile w danej miejscowości istnieją wpływy bądź PPS-u, bądź NZR (Narodowego Związku Robotniczego), bądź Stronnictwa Ludowego. Poza wpływami tych stronnictw, CKN właściwie nie ma na prowincji prawie żadnego własnego oparcia; nie zdołał on tam wyjść – zawsze z wyjątkiem Lublina – poza sferę działania jednego z tych trzech ugrupowań ludowych, opartych na pierwiastku społecznym. Większego zorganizowanego ruchu niepodległościowego wytworzyć nie zdołał. W większości wypadków jedyną jego podstawą organizacyjną są ludowcy. W obradach zjazdu czynnego udziału nie brałem, jeno słuchałem dyskusji. Dość wielką rolę w obradach grała sprawa konsolidacji stronnictw, zapoczątkowanej w Warszawie. Zjazd w zupełności zaaprobował akcję konsolidacyjną. Z zadowoleniem stwierdziłem, że jednak nieprawdą jest to, co CKN-owemu kierunkowi zarzucają Departamentowcy i

ludzie z LPP, pomawiający go o tzw. trójfrontowość, to znaczy walkę na trzy fronty, która w praktyce, gdy dziś się ma do czynienia z okupacją Niemiec i Austrii, zatraca front antyrosyjski i nawet może się w pozorach z moskalofilstwem jednoczyć. Idea frontu antyrosyjskiego jest bardzo żywa w CKN-ie. Wielki nacisk kładziono na to, aby pozorów takich nie wytwarzać i aby kreślić w polityce czynnej jak najwyraźniej tę linię przewodnią w programie niepodległościowym, która w pierwszym rzędzie wychodzi z założeń przeciwstawienia Sprawy Polskiej – państwowości rosyjskiej. W szczególności co do owej „konsolidacji”, która, jak wiadomo, nakreśliła sobie za jeden z głównych punktów przeciwdziałanie podziałowi Królestwa, co mogłoby stwarzać zbratanie jej z moskalofilstwem jako opierającym się na „zjednoczeniu” ziem polskich, stwierdzono, że w praktyce obecnych warunków politycznych akcja taka musi ujawnić front antyrosyjski. Paraliżowanie bowiem podziałowych czynników wymaga zwrócenia się i nawiązania stosunków z Berlinem, Wiedniem i Budapesztem, a wszelka akcja jest tam możliwa tylko w przeciwstawieniu Sprawy Polskiej interesom i politycznym czynnikom rosyjskim.

5 lipca, rok 1916, środa
Meldunek milicyjny na paszporcie już załatwiony; sprawa legalizacji mojej w Warszawie zakończona. W tych dniach wniosę już do władz niemieckich podanie o pozwolenie na wyjazd do Wilna.
Z wypadków wojny warta zanotowania ofensywa angielska, rozpoczęta na froncie zachodnim na odcinku nad Somme, poparta przez ofensywę francuską na sąsiednim odcinku. Zdaje się więc, że wreszcie koalicja przeszła istotnie do owej zapowiadanej wielkiej i jednoczesnej ofensywy na wszystkich frontach. Wstępem do niej była wielka ofensywa rosyjska na południowo-wschodnim froncie, rychło po niej przeszli do ofensywy Włosi, którzy istotnie zdołali wyprzeć Austriaków spod niedawno przez nich zdobytych Arsiero i Asiago, wreszcie ruszyli się Anglicy. Jak dotąd wszakże, ofensywa angielska niewiele wskórała i, da Bóg, nie wskóra. Nie należę do rzędu tylu licznych u nas ludzi, którzy pragną, aby na wschodzie zwycięzcami byli Niemcy i Austriacy, a na zachodzie – koalicja. Rozumiem, że cała koalicja wespół z Rosją stanowi jedność i że wszelkie powodzenie Francji i Anglii jest zarazem powodzeniem Rosji, a tego nie pragnę bynajmniej. I po co zresztą? Mocarstwa centralne i tak są w położeniu trudnym, które zmusza ich do liczenia się ze wszelkimi względami, a więc i do liczenia się ze Sprawą Polską, a największe w sferze możliwości zwycięstwo ich nad koalicją i Rosją nie grozi ich dyktaturą; zbyt dużo jest czynników, ograniczających je nawet w zwycięstwie. Natomiast koalicja z Rosją mają tyle w tej wojnie atutów dodatnich w stosunku do Niemiec i Austro-Węgier, że nawet w porażce zachowują one dużą moc, ograniczającą przeciwnika. Zwycięstwo ich byłoby dyktaturą i byłoby realizacją scalonej przewagi Rosji w Europie, przewagi, która dla ludów przez nią ujarzmionych byłaby nocą bez wyjścia, a dla całej Europy wiszącą zmorą straszliwą. Każde, nawet nie bezwzględne, ale częściowe powodzenie koalicji i Rosji zwiększa nieproporcjonalnie ich naturalną przewagę nad przeciwnikiem. Zresztą spokojnie patrzę na zapoczątkowaną ofensywę generalną koalicji. Nawet sukcesy rosyjskie nie postępują bynajmniej w szybkim tempie; impet rosyjski wyszeptuje się jakoś stopniowo na poszczególnych odcinkach uderzenia jak raki z wody wybrane lub jak piana na piwie nalanym. W ofensywie rosyjskiej dostrzega się obecnie jakby rozrastanie się wszerz, natomiast osłabienie postępów w głąb i naprzód. Są w komunikatach wzmianki o rozciąganiu się jej na odcinek poleski (w szczególności pod Kostiuchnówką, gdzie musi być do walk zaangażowana nasza Brygada) i o jej wybuchach na poszczególnych odcinkach frontu litewskiego (pod Baranowiczami, pod Smorgoniami). Natomiast na

głównych odcinkach jej pierwotnego uderzenia i postępów – ani na froncie wołyńskim, ani nad Strypą, ani pod Kołomyją, ani w Bukowinie Południowej – nic nowego nie ma. Gdybym miał moje pragnienie formułować, to wyraziłbym je tak, aby na froncie wschodnim armie centralne odparły Moskali i cofnęły ich głęboko na wschód, na zachodnim zaś, o ile już Anglicy mają postępować, niech postępują w takim tempie, aby było widocznym, że za lat 100 nieustającej ofensywy dotrą do Berlina! Wówczas będą wprawdzie mieli satysfakcję moralną, która im umożliwi zrezygnowanie i traktowanie o pokoju, a da zarazem świadomość bezcelowości wysiłków do „zwycięstwa".
Wieczorem byłem na małym redakcyjno-wydawniczym zebranku wznawianego tygodnika „Widnokrąg". Pismo to, po powrocie Wincentego Rzymowskiego i Tadeusza Hołówki z obozu jeńców u Niemców, dokąd byli w jesieni zeszłego roku wysłani i internowani – za wydanie właśnie numeru „Widnokręgu" o jaskrawym tonie niepodległościowym bez cenzury, zostaje obecnie przez nich wskrzeszone. Będzie ono jak było, rdzennie i głęboko niepodległościowe. „Widnokrąg" ma imię i tradycję świetną niepodległościową w publicystyce warszawskiej podczas wojny. Imiona Hołówki, znanego z gorących i określonych przekonań i z energicznej w ostatnich latach akcji, i świetnego, zaiste „z Bożej łaski", publicysty Rzymowskiego – są dla pisma sztandarem i reklamą. Do redakcji wchodzi też Tadeusz Szpotański jako ręka CKN-u, utrzymująca „czucie" pisma z CKN-em; Szpotański, który jest w CKN-ie kierownikiem Biura Prasowego, w „Widnokręgu" obejmuje dział taki, jakim jest „Sprawa Polska u obcych" w „Wiadomościach Polskich", prowadzony przez Hugona Kaufmana. Wchodzi też do redakcji Józef Wasereng, ongi założyciel „Widnokręgu"; Wasereng należy wprawdzie do LPP, ale zdaje się, że jest skory do godzenia kierunku austrofilskiego z niepodległościowym. Zresztą organizatorom chodziło o niezależność pisma i niewiązanie go organizacyjnie z CKN-em, pomimo wybitnie niepodległościowego programu. Pismo to przedstawia się w założeniu swoim bardzo sympatycznie, jako żywa i niezmiernie potrzebna niezależna kuźnica niepodległościowej woli w publicystyce bieżącej. Dobre pióro jej autorów, ich zapał i miłość gorąca dla dzieła – wróżą znakomicie. Ja w piśmie podnosić będę sprawę Litwy. Wincentego Rzymowskiego, im bardziej go teraz poznaję, tym bardziej podobam. A nie lubiłem go dawniej.

6 lipca, rok 1916, czwartek
Dowiedziałem się od Dębskiego i Kunowskiego, że zostałem ostatecznie przyjęty na członka Centralnego Komitetu Narodowego. Postawienie mojej kandydatury i przyjęcie dokonało się bez mojej wiedzy, na proste przypuszczenie Medarda Downarowicza i innych, że to odpowiadać będzie mojemu życzeniu. Wiedzieli oni z mego memoriału w sprawie litewskiej, zgłoszonego w czerwcu do CKN-u, że sprzyjam CKN-owi i że uważam go za najkonsekwentniejszego rzecznika linii niepodległościowej w Sprawie Polskiej, linii, którą dla Sprawy Polskiej uważam w obecnych stosunkach za najrealniejszą i najodpowiedniejszą. Wolałbym wszakże nie być formalnie z CKN-em związanym, bo to nakłada na mnie pewne zobowiązania ścisłe co do solidarności, podczas gdy nie mam dotąd pewności, że stanowisko CKN-u w sprawie litewskiej odpowiada memu. O ile by o samą tylko Sprawę Polską chodziło, mógłbym bez zastrzeżeń do CKN-u należeć. Wprawdzie i teraz ewentualnie, w razie ujawnienia się zasadniczej niezgodności w traktowaniu sprawy litewskiej między mną a CKN-em, mógłbym z niego wystąpić, ale wszelkie wystąpienie jest zawsze trudniejsze, niż ewentualne zbliżanie się i oddalanie bez formalnego należenia. Ale trudno: stało się. CKN zresztą postąpił względem mnie w najlepszej wierze. Co do sprawy litewskiej, to,

o ile się mogłem zorientować dotąd z prywatnych rozmów z ludźmi, najbardziej upowszechnionym w kołach niepodległościowych jest ten kierunek, który aspiruje do zlania z państwowością polską Białej Rusi Zachodniej, katolickiej, wraz z Wilnem, to znaczy mniej więcej guberni grodzieńskiej i wileńskiej (apetyty sięgałyby i dalej w kierunku Mińska i bodaj po Berezynę, ale dotąd to jest mało realne wobec pozostawania tych dalszych terenów w rękach Rosji). Aspiracje te mają podłoże nacjonalistyczne, zgoła odrębne od mego: chodzi w nich nie o budowę państwa polsko-litewskiego jako bloku ludów byłej Rzeczypospolitej, jako wyrazu ich współpracownictwa państwowego, jako formacji w rodzaju „nowej Austrii", ale wyraźnie państwa narodowego polskiego, mającego ekspansję na wschód białoruski. Aspiracje te nie są wprawdzie połączone z jakąś wyraźną intencją eksterminacyjną względem Białorusinów, ale bądź co bądź za gospodarza i za czynnik państwowotwórczy w takim przyszłym państwie chce się uważać tylko element polski. Do Białorusinów ma się nawet sympatię i darzy się ich szczerze zamiarami opieki, kultury i wolności, której w Rosji oni znaleźć nie są w stanie; liczy się, że część znaczna katolickiej ludności białoruskiej spolonizuje się dobrowolnie, a reszta będzie tworzyła jednostkę etnograficzną odrębną, wolną w swoich prawach i w rozwoju, ale w gruncie pozapolityczną, coś w rodzaju Bretończyków we Francji lub Flamandów w Belgii. Słabość narodowych prądów białoruskich służy w tym przekonaniu gwarancją, że wcielenie Białej Rusi do Polski nie osłabi państwa, nie wytworzy separatyzmu politycznego i da możność pogodzenia wolności Białorusinów z narodowo-polskim pierwiastkiem państwa. Do Litwy zaś etnograficznej wielkich aspiracji nie ma; Litwinów uważa się za naród, który w takim państwie narodowo-polskim będzie czynnikiem separatyzmu i antypaństwowych dążeń, a więc dla państwa źródłem słabości. I o ile chodzi o budowę nie państwa związkowego jako państwa ludów, lecz o ekspansję państwową Polski na wschód, to jest w tym poniekąd racja. Litwinów się boją w przyszłym państwie polskim tak, jak się boją i nie chcą wcielenia Ukrainy prócz Galicji Wschodniej i ewentualnie części Wołynia. Zwykle nie wypowiada się tego otwarcie, że się wprost nie życzy budowania państwa z Litwą etnograficzną, ale się znajduje ten dogodny pretekst, że Niemcy Litwy etnograficznej i Kurlandii oddać sami nie zechcą, bo je stanowczo dla siebie rezerwują, więc to rzecz z góry przesądzona. Takie są dominujące tendencje, które wyczułem ongi już u Artura Śliwińskiego, a obecnie bardzo wyraźnie mi je Hołówko sformułował, że wymienię tylko tych dwóch na razie wybitniejszych niepodległościowego obozu rzeczników. Mniej lub więcej takie aspiracje mają kurs najszerszy. W tym pojmowaniu stosunków tkwi też zwykle utajona nadzieja, że Litwini etnograficzni, po zakosztowaniu niemieckiej aneksji, sami później zwrócą się do państwa polskiego i będą świadomie ciążyć do niego, co stworzy w przyszłości dla Polski podstawę do rewindykowania od Niemiec Litwy wraz z Poznańskiem i częścią Prus.

7 lipca, rok 1916, piątek

Potwierdzają się pogłoski, o których już od paru dni słychać, o jakichś zajściach w Piotrkowie w Departamencie i o ustąpieniu z Departamentu całego szeregu współpracowników, w tej liczbie i oficerów werbunkowych. Domyślałem się, że jest to epilog naszej opozycji departamentowej, która nie mogła już przejść bez śladu i w pół drogi zamrzeć bez konsekwencji. Dziś mam już potwierdzenie tego faktu przez Ludwika Abramowicza, który wie o tym z najpewniejszego źródła, bo od samego Sikorskiego. Sikorski jest obecnie w Warszawie. Ludwika Abramowicza widziałem przy obiedzie. Dokładnych szczegółów nie mógł mi zakomunikować, bo sam ich jeszcze nie wiedział. Dopiero o godz. 5 miał się z Sikorskim zobaczyć i usłyszeć od

niego dokładne sprawozdanie z tego, co zaszło. W każdym razie, pewne jest to, że oprócz naszego pierwotnego grona opozycji podało się do dymisji coś siedmiu czy ośmiu oficerów werbunkowych. Podług pogłosek, które wczoraj doszły do mnie, wybuch i zerwanie miały nastąpić na tzw. odprawie oficerów werbunkowych. Spodziewam się, że jutro dowiem się szczegółów od Abramowicza, pochodzących od Sikorskiego, a w oświetleniu z przeciwnej strony – spodziewam się lada dzień listu od Kaufmana. Ano – wrzód już był zbyt dojrzały i musiał pęknąć. Departament Wojskowy jest już, zdaje się, nieuleczalnie chory; nic go nie podźwignie i będzie musiał chyba bądź całkowicie ustąpić z Królestwa, bądź zreorganizować się gruntownie i zasadniczo, a w pierwszym rzędzie zmienić swój skład kierowniczy. Zdepopularyzowany on jest w Królestwie strasznie i będzie nim coraz bardziej, im bardziej z jednej strony będzie rosła polityczna linia niepodległościowa, konsekwentnie żądająca przetworzenia Legionów w armie narodową, z drugiej – Departament grzęznąć będzie w zależność od austriackiego AOK, robiąc coraz bardziej ze sprawy Legionów narzędzie polityki austriackiej. Obecne zbiorowe wystąpienie z Departamentu „lewicy niepodległościowej" nie tylko że do reszty pozbawia go pozorów oparcia, ale i sprawia skandal głośny, krytyczny dla zachwianej w opinii instytucji. Z ustąpieniem tej „lewicy" pozostaną w nim same niemal elementy urzędnicze, nie ideowe, na których budować akcji obywatelskiej niepodobna. Kilka bowiem odosobnionych jednostek ideowych, wiernych Departamentowi, jak Morstin i Rostworowski, jak zresztą sam Sikorski, nie uratuje sytuacji. I co najgorsze dla Departamentu, że nawet wśród najwierniejszych jego dotąd przyjaciół, w Lidze Państwowości Polskiej, zaczyna, przynajmniej wśród jednostek, narastać świadomość o bankructwie polityki departamentowej i nawet o błędności NKN-owego stanowiska dla Królestwa. Ludzie sprytni lub wrażliwi już się orientują, węszą depopularyzację Departamentu i gotują się do opuszczenia okrętu, który ma utonąć. Przy trupie ludzie żywi nie lubią zostawać. Tak oto już u Waserenga wyczuwam tendencję odwrotową z pozycji departamentowych, przynajmniej o ile się wypowiadał dziś na redakcyjnym posiedzeniu „Widnokręgu", tak samo powiada Jan Rzymowski, brat Wincentego, członek LPP, który był w Lublinie z ramienia Departamentu i dziś stamtąd wrócił bez zamiaru ponownego wyjazdu, zrażony w najwyższym stopniu do niedołęstwa politycznego Austriaków i stwierdzający zupełny brak oparcia w społeczeństwie dla polityki departamentowej, jej próżnię kompletną. Zresztą i sam Ludwik Abramowicz, choć broni Ligi gorąco przed zarzutem, że jest ona ekspozyturą Departamentu i choć uzasadnia realizm programu oparcia Sprawy Polskiej o związek państwowy z Austrią, o Departamencie mówi z wielką rezerwą.
Kilka słów dodam jeszcze do tematu wczorajszego. Kierunek, który zauważyłem w obozie niepodległościowym w stosunku do sprawy litewskiej, zasadniczo się różni od mego. Nie jest to właściwie urzędowy kierunek CKN-u, który, jako taki, formalnie żadnego stanowiska w tej sprawie dotąd nie zajął. Ale popularnie wśród niepodległościowców ta linia zdaje się wyraźnie przeważać; płynie ona zresztą logicznie z ich budowy państwa polskiego na nacjonalistycznym pierwiastku. Mój zaś kierunek przeciwstawia się nacjonalizmowi w budowie niepodległości i, wychodząc z założeń z jednej strony – indywidualności Litwy jako kraju, odrębnego od Polski, z drugiej – idei głębokiej solidarności dziejowej rozwoju i wolności ludów byłej Rzeczypospolitej, zwłaszcza w idei ich współzależnej misji pełnienia straży Europy i cywilizacji zachodniej wobec zachłannej ekspansji rosyjskiej – zmierza do formacji państwa związkowego jako bloku wolnych i samorządnych ludów. W tym pojmowaniu nie ekspansja państwowa i narodowa polski na ziemie i ludy litewsko-ruskie, ale maksimum usamodzielnienia i wolności wszystkich tych ludów w przyszłym wspólnym

ich państwie – zdoła zapewnić mu siłę i moc dziejową oraz trwałość wolności nie tylko Litwy, ale i samej Polski. Tam więc jest koncepcja ekspansji polskiej na Ruś, ściślej na Białoruś, u mnie – wolnego związku Polski z Rusią i Litwą (oraz Łotwą). Moim zdaniem – tylko wolne ludy Litwy Rusi będą w stanie zarówno dla siebie znaleźć pole rozwoju i twórczości, jak Polsce bezpieczeństwo zapewnić, odcinając ją czynnym murem od Rosji. Przed Polską otwierałoby się tu wielkie pole odegrania dziejowej roli organizatorki wolności Litwy i Rusi, roli kultury i braterstwa, zarówno jak własnej wolności, roli, która mogłaby szlachetną a historycznie mądrą ambicję zapalić. Niestety – jest to słabo uświadomione. Jest jeszcze trzecia koncepcja, której hołduje… Ludwik Abramowicz, ten sam Ludwik, który w ostatnich latach przed wojną szczepił do Litwy ideę państwowości polskiej i który w pierwszym okresie wojny stał również na stanowisku państwowej ekspansji Polski na Litwę. Dziś on wystawia dla Litwy program jej zupełnej niepodległości, oderwanej od Polski.

8 lipca, rok 1916, sobota
Dziś wniosłem wreszcie do niemieckiego urzędu wydawania przepustek przy ul. Królewskiej podanie o pozwolenie na wyjazd do Wilna. Oficer, który przyjmuje te podania, przyjął mię bardzo uprzejmie, przedstawił się, poprosił usiąść, przeczytał podanie i jedno tylko dodał zastrzeżenie, że na odpowiedź będę musiał czekać bardzo długo. Odrzekłem, że wiem, bo mi już mówiono, że to coś ze sześć tygodni trwa. Na to oficer dodał, że istotnie coś koło tego, i poprosił mię, abym wstąpił dowiedzieć się za cztery tygodnie. Będę czekał, nie tracąc nadziei.
W ostatnich komunikatach wojennych są wzmianki o cofnięciu się wojsk Linsingena na odcinku mniej więcej między Kołkami a Kostiuchnówką, co może wskazywać na cofnięcie się prawdopodobne i naszych oddziałów legionowych z ich odcinka; w ostatnim zaś komunikacie austriackim, ogłoszonym w popołudniowych wydaniach pism, powiedziano, że odwrót ten dokonał się pomyślnie, „wsparty wmieszaniem się wojsk niemieckich na zachodzie od Kołków oraz pełnym poświęcenia stanowiskiem Legionów Polskich pod Kołodią”. Owe „pod Kołodią” należy czytać: „pod Kostiuchnówką”, bo linia nie sięgała wcale Kołodii i zaledwie do Kostiuchnówki dochodziła. W tej depeszy niepokojące są słowa: „pełne poświęcenia”. Co to znaczy i jak to „poświęcenie” należy rozumieć? Czy nie ukrywają się pod tym jakieś nieujawnione bliżej straty Legionów? Austriacy mają zawsze zwyczaj zlecania Legionom szczególnie odpowiedzialnych ról, znając ich waleczność i zdolność bojową. Ale przynajmniej choć raz wymienili w komunikacie urzędowym słowo „Legiony Polskie”, które, podług dotychczasowej taktyki, zawsze bardzo starannie zamilczano. Pozycje pod Kostiuchnówką tworzyły skrajne prawe skrzydło odcinka Legionów; stała tam właśnie I Brygada, a pod sama Kostiuchnówką – pułk Berbeckiego. Podług wieści, które nadeszły z Legionów przed kilku dniami do Warszawy, zaszły tam w ostatnich czasach pewne wydarzenia natury politycznej. Mianowicie Norwid-Neugebauer, komendant VI pułku, oddany został pod sąd wojskowy przez Grzesickiego, pełniącego dotąd obowiązki brygadiera III Brygady, pomimo że podobno rozkaz A.O.K. o jego usunięciu z Legionów (zarówno jak Kitnera, brygadiera II Brygady, który, jak Grzesicki, jest oficerem austriackim) – jest już faktem. Zajście z Norwidem było tego rodzaju, że Grzesicki rozkazał dwóm oficerom Legionów, przydzielonym do VI pułku I Brygady zdjąć odznaki I Brygady i zastąpić odznakami austriackimi, przyjętymi, jak wiadomo, w II i III Brygadach. Norwid zaś na to wydał kontrrozkaz, nakazujący podobno wszystkim oficerom VI pułku nałożyć odznaki I Brygady. Za to został oddany pod sąd, zaś w Legionach, nienawidzących ogólnie Grzesickiego, miał podobno z tego powodu wybuchnąć akt protestu, który się wyraził w postanowieniu – we wszystkich

brygadach – zrzucenia odznak na dwa dni, a po dwóch dniach – nałożenia odznak I Brygady wszędzie.
Podług wiadomości, które przywiózł Sikorski, a o których wiem przez Ludwika Abramowicza, gotują się podobno jakieś ważne zmiany w A.O.K. w stosunku do Legionów, zmierzające do ujednostajnienia ich dowództwa i skupienia go w ręku oficera legionowego, zamiast, jak dotąd, austriackiego. Byłby to krok naprzód w kierunku żądań polskich, zmierzających do nadania Legionom charakteru armii narodowej. Podobno nawet A.O.K., prócz tej reformy dowództwa Legionów, ma pójść dalej jeszcze w tym kierunku. W kim mają Austriacy tego upatrzonego wodza Legionów – nie wiem. Może jest nim Haller, może Zieliński. Że nie Piłsudski – to na pewno. A przecie on jeden byłby tym wodzem istotnym, posiadającym autorytet w polskim narodowym ruchu zbrojnym. Zresztą bądźmy oględni w ufaniu wieściom, pochodzącym od Sikorskiego. Jest on zbyt zależny od A.O.K. i zbyt skory do podnoszenia kredytu tej instytucji w opinii publicznej, a zresztą cechą Sikorskiego jest to, że na wszystko zawsze przez różowe i powiększające szkła patrzy.
Co do secesji opozycji z Departamentu, to wiem tyle, że podali się do dymisji Górecki, Pohoski, Waszkiewicz i Kaufman oraz kilka panien, pracowniczek, jak pani Górecka, panny Sydonia Horowitzówna i Zosia Gulińska, a z oficerów werbunkowych Rutkowski, Boguszewski, Strycki i jeszcze bodaj pięciu. Tadeusz Grabowski podobno jeszcze się waha, a o Krzemieniewskim nic nie wiem.

9 lipca, rok 1916, niedziela
Tak jestem zaprzątnięty notowaniem różnych wypadków i procesów życia publicznego, bijącego bujnym tętnem w obecnym momencie dziejowym, że nie mam w dzienniku miejsca na zajmowanie się tymi procesami wewnętrznymi, które we mnie zachodzą. Tymczasem dokonywają się we mnie głębokie przemiany psychiczne, dotyczące głównie moralnej i religijnej sfery mojego życia i stosunku do świata. Śmierć Aninki i mój do niej wieczysty stosunek, wojna, coraz głębsze czucie Boga w jego czynnym do świata stosunku, wsparte odpowiednim też myślowym procesem, pchnęły mię na tory religijnego twórczego życia duchowego. Robię na tym polu postępy wielkie i ciągle do coraz głębszych docieram tajemnic bytu, do coraz doskonalszych związków – nie obawiajmy się tego pięknego, acz nadużywanego i przez to skompromitowanego słowa – mistycznych, łączących niedostrzegalne zmysłami głębie i pozornie najbardziej rozstrzelone elementy zjawisk i prądów. Musiałbym wiele i często o tym pisać, aby uwydatnić ciągłość i postępowość tych zachodzących we mnie procesów. Zdobyłem w każdym razie już ten wielki słodki pewnik moralnego pozagrobowego obcowania z Aninką, niewzruszalności naszej miłości żywej i nadzieję zespołu z nią wieczystego, jak też z moją Mamuśką spotkania. Ta religijność moja zdaje mi się jednak daleką od kościelnej formuły wyznania katolicyzmu, przynajmniej w jej wulgarnej postaci przepisowych praktyk i wierzeń. Nie będę o tym dłużej pisał.
Wspomnę o Ludwiku Abramowiczu i jego koncepcji sprawy litewskiej. Różni się ona tak od mojego programu, jak od kierunku popularnego wśród niepodległościowców polskich. Ludwik Abramowicz zupełnie niespodzianie stał się wyznawcą niepodległości niepodzielnego W. K. Litewskiego, przynajmniej w takich ramach, w jakich by się ono od Rosji oderwać dało. Pisał mi on już raz o tym w jednym z listów do Piotrkowa, w tym samym też duchu wygłosił tu raz odczyt, zdaje się, że w Lidze Państwowości Polskiej, i w ogóle stale myśl tę wyraża. Nie spodziewałem się w nim tego zwrotu, zgoła nieoczekiwanego wobec jego dawnego stanowiska. Dziś stoi on, o ile o sprawę litewską chodzi, na bardzo wyraźnym i konsekwentnym stanowisku krajowym litewskim, spotęgowanym do poziomu państwowego. Jest przeciwny nawet oderwaniu

od Litwy jakichś cząstek spolonizowanych w celu wcielenia ich do Polski, co, zdaje się, byłoby tu powszechnie pożądane, nawet na wypadek połączenia całej Litwy z Polską na zasadach związkowych. Ludwik wychodzi wprawdzie z założeń w tym programie innych niż moje, bo podczas gdy ja kładę w podstawie ludowe założenia i, z nich wychodząc, sprzyjam na Litwie raczej litewskiej i białoruskiej sprawie, wierząc w ich rozwój i szukając dla nich najlepszych warunków wolności, które mi się dziś przedstawiają w postaci łączenia sprawy Litwy z państwową Sprawą Polską, Ludwik wychodzi z założeń narodowych polskich na Litwie, wierząc w ich siłę twórczą w przyszłym państwie czy autonomicznym kraju litewskim i przypuszczając, że najlepszą dla nich formą realizacji twórczości i rozwoju będzie właśnie sama Litwa. Ludwik posuwa się aż tak daleko, że skłonny jest twierdzić, iż rzeczywista kultura polska, godna tego imienia w znaczeniu historycznym w wielkim stylu, istnieje tylko na Litwie, nie zaś w Polsce właściwej. Bądź co bądź, jego polityczna koncepcja jest wybitnie krajową litewską. Mniejsza o różnice założeń; we wnioskach jest on państwowcem litewskim czystej wody. Wprawdzie różnię się od niego programowo, stawiając obecnie hasło związku Litwy z Polską, ale to tylko z praktycznej oceny sytuacji, albowiem nie dostrzegam w katastrofie obecnej czynników, które by mogły ziścić czystą niepodległość Litwy, a łączenie jej z Polską uważam za jedyną realną (wykonalną) dźwignię do oderwania jej od Rosji i jednocześnie od ustrzeżenia od aneksji niemieckiej; pomimo tej różnicy w założeniach i wnioskach praktycznego programu sprawy na dziś, istota stanowiska Ludwika jest mi bliższą, niż stanowisko tych niepodległościowców polskich, z którymi usiłuję dziś iść razem i którym usiłuję mój program litewski nawiązać, a którzy w gruncie rzeczy przeważnie mają na myśli li tylko narodowy interes państwa polskiego, spekulując na jego rozszerzeniu na pewne cząstki Litwy, mogące się ewentualnie w ich najgłębszej intencji nadawać do polonizacji i zaanektowania. W Sprawie Polskiej jestem całkowicie po stronie obozu niepodległościowego, uważając go za jedyny mądry i konsekwentny wobec wypadków obecnych, ale w stosunku do Litwy nie jestem pewny naszej zasadniczej z nimi zbieżności w intencjach; stoję po ich stronie tylko dlatego, że Sprawę Polską uważam samą przez się za dźwignię automatyczną dla wolności Litwy, a oni tej sprawie najlepiej służą. W istocie wszakże z Ludwika koncepcją łączy mię ideowo to, że stoi on na stanowisku państwowości Litwy, to znaczy tej właśnie idei krajowej, która jest rdzeniem moich wszelkich postulatów. Złośliwi twierdzą, że Ludwik dlatego tak program niepodległościowo-litewski wysuwa, że stanowisko NKN-owe, któremu on służy, wiążąc Sprawę Polską z Austrią, wyklucza rozszerzenie Polski na wschód, na ziemie litewskie i że przeto pod płaszczykiem niepodległości Litwy chce on ułatwić przemycenie do sprawy polskiej NKN-owego programu. Nie sądzę jednak, aby to był rzeczywisty motyw jego stanowiska względem Litwy.

10 lipca, rok 1916, poniedziałek
Uderzenie ofensywy rosyjskiej na front południowo-poleski, do którego też należy odcinek Legionów Polskich, okazało się skuteczne, niestety. Że Legiony musiały brać w tych walkach udział, to było pewne już z pozawczorajszego komunikatu austriackiego, który o tym wspomina. Czy krwawą była ta walka i jak wielkie były straty – o tym dotąd dokładnie nie wiadomo. W kołach tutejszych sympatyków legionowych mówią, że I Brygada była mocno zaangażowana w tej bitwie i że do Lublina przywieziono coś ze 300 rannych legionistów z I Brygady. O ile to ścisłe – nie wiem. W każdym razie, na odcinku między Kołkami a Kostiuchnówką cofnięto się. Jak głębokie było owo cofnięcie się – też jeszcze trudno ustalić, ale bodajże na całym tym odcinku włącznie z odcinkiem legionowym zwinięto poprzednią linię i oparto nową na

Stochodzie. Komunikat austriacki wymienia tu miasteczko Stobychwę jako punkt na nowej linii, ostatni zaś znany tu komunikat rosyjski wzmiankuje o zajęciu przez Rosjan Wołczeska i stacji Maniewicze. Wszystkie więc te ładne osady wojenne, jak Legionowo, miejsce komendy I Brygady, Wołczesk, stacja Maniewicze z ich pięknymi urządzeniami, które zwiedzałem w maju – są w posiadaniu Moskali. Żal mi tego. Żal mi też, że cały ten szmacik terenu poleskiego, w którego zdobywaniu w roku zeszłym akurat osobiście uczestniczyłem i do którego przez to w szczególny sposób się przywiązałem – został stracony. Prawdopodobnie w tych dniach będziemy mieli dokładniejsze wiadomości z Legionów. Oby niezbyt krwawe! Z wielką też ciekawością oczekiwać będę listów z mojego plutonu.
W ostatnich kilku dniach napisałem i dziś wręczyłem Wincentemu Rzymowskiemu dwa artykuły do dwóch pierwszych numerów „Widnokręgu". Jeden artykuł – do I numeru – na temat litewski, drugi – analiza dwóch projektów organizacji szkolnictwa i projektu lubelskiego Głównej Rady Szkolnej, wykombinowanego przez Austriaków z właściwą ich polityce okupacyjnej perfidią, usiłującą połączyć pozory łaskawego powołania sił społecznych polskich do współpracy – z najpospolitszą metodą biurokratycznego, autorytatywnego rządzenia z góry, i warszawskiego projektu statutu Komisji Oświecenia Publicznego, opracowanego przez grono działaczy oświatowych na ścisłych zasadach samorządnych i przedstawionego do zatwierdzenia okupacyjnych władz niemieckich. Ten artykuł napisałem na polecenie Centralnego Biura Szkolnego w Piotrkowie na prośbę p. Prausowej, która mię do tego przed moim wyjazdem z Piotrkowa zobowiązała. Co do tematu sprawy litewskiej, to zamierzam dać do „Widnokręgu" kilka artykulików, tworzących razem pewien zespół, popularyzujący w kołach niepodległościowych ideę łączenia państwowego Sprawy Polskiej z litewską na zasadach dobrowolnego związku, wykazując podłoże i czynniki polityczne oraz kulturalne dla takiego związku. Muszę to robić ostrożnie tak ze względu na cenzurę niemiecką, jak ze względu na nacjonalistyczne uprzedzenia samych niepodległościowców polskich, których by raziła zbyt ostra propaganda idei równoległości państwowej Polaków z innymi ludami byłej Rzeczypospolitej. Nie piszę więc w agitacyjno-proklamatorskim tonie odezwy, jeno daję rzeczową analizę czynników politycznych tak, aby z nich mniej więcej sam się wyłaniał wniosek polityczny w kierunku związkowych tendencji. Redaktor Rzymowski zdaje się być chętnie usposobiony do takiego stawiania problemu, ale w samej redakcji jest jeden członek, który, zdaje się, jest szczególnie podejrzliwie usposobiony względem moich litewskich tendencji. Takie mam przynajmniej wrażenie z jego zachowania się. Jest nim Tadeusz Szpotański, będący zarazem kierownikiem CKN-owego Biura Prasowego. Choć Szpotański jest niby socjalistą PPS-owcem, wydaje mi się on jednak bardzo nacjonalizmem przepojonym i do tego ciasnym, mającym skłonności sekciarskie. Zdaje się, że węszy on w moich litewskich projektach pewne niebezpieczeństwo dla Sprawy Polskiej i stara się temu przeciwdziałać, to znaczy umniejszać sferę mojego działania w tej materii. Takie mam wrażenie – może mylne. Zdaje mi się, że go tak usposobiło przeczytanie mego litewskiego memoriału do CKN-u.
Wincenty Rzymowski opowiadał mi o swojej rozmowie z pułkownikiem Sikorskim. Sikorski, po przyjeździe do Warszawy, chciał go widzieć. Rzymowski bowiem, po długim internowaniu w obozie jeńców w Niemczech, wrócił do Warszawy jako człowiek do wzięcia. Że był gorącym rzecznikiem idei niepodległościowej, jednym z najświetniejszych w publicystyce warszawskiej za czasów pobytu Moskali w Warszawie i w pierwszych chwilach po jej wzięciu przez Niemców, pamiętano dobrze i to właśnie czyniło go dla obu dzisiejszych odłamów ruchu polskiego, NKN-owego (a ściślej na terenie Królestwa – Departamentowego, względnie Ligi Państwowości

Polskiej) i CKN-owego szczególnie pożądanym do pozyskania. Rzymowski stworzył sobie wybitne imię w publicystyce podczas wojny, a internowanie jego dodawało mu większego jeszcze blasku. Szczególnie zaś efekt Rzymowskiego dla propagandy ruchu podnosił się przez to, że internowanie, a więc prześladowanie go przez Niemców, nie zachwiało w nim idei niepodległościowej, zwróconej przeciwko Rosji, a stąd będącą w pewnym sojuszu z Europą Środkową, tą właśnie, której władza zaciążyła na nim osobiście aktem represji. Jak więc mocną i hartowną musiała być wiara Rzymowskiego, jak głęboką w sobie idea, że prześladowanie osobiste człowieka przez tych, z którymi się jego idea w sojuszu współczynu łączyła, nie zachwiało jej! Takim żywym elementem propagandy stało się obecnie samo imię Rzymowskiego. Jutro jeszcze o tym napiszę.

11 lipca, rok 1916, wtorek
Nikt ze znających Rzymowskiego nie wątpił, że fakt internowania go w obozie jeńców, gdyby nawet to internowanie było dla niego osobiście jak najcięższym, nie zmieni jego przekonań niepodległościowych, zwróconych frontem przeciwko Rosji. Sam Rzymowski po powrocie potwierdził to w zupełności w pięknym odczycie publicznym, wygłoszonym na temat swoich wrażeń i przeżyć oraz spostrzeżeń z czasów internowania. Ale pozostawało zagadka, do którego z dwóch obozów ruchu polskiego Rzymowski się przechyli. Gdy opuszczał Warszawę w początkach okupacji niemieckiej, nie było jeszcze tego rozłamu, który dziś już się w pełni dokonał. Wprawdzie zarysowały się już różnice między stanowiskiem Piłsudskiego, który od początku wystawił w Warszawie hasło antywerbunkowe, a stanowiskiem NKN-u i Departamentu, akceptującym pozycję Legionów *in status quo*, ale były to ledwie zarysy odcieniowego zróżniczkowania. Tylko głęboki obserwator, znający *notabene* całą genezę i punkty wyjścia tych pierwszych rysów rozbieżności w ich stadium ówczesnym, mógł dostrzec zasadniczą różnicę dwóch założeń – niepodległościowego i austrofilskiego – która ujawniając się na razie w kwestii werbunkowej, musiała w konsekwentnym rozwoju doprowadzić do kategorycznego rozdwojenia kierunków. Warszawa jeszcze się dopiero orientowała, a jej obóz antyrosyjski więcej był zajęty ewentualnością dokonania konsolidacji stronnictw politycznych przez – jak gorętsze elementy wówczas sobie wyobrażały – „wzięcie za łeb" stropionej i zdezorientowanej prawicy i poprowadzenia jej do Canossy niepodległościowej, niż analizą i wyciąganiem daleko idących zasadniczych wniosków z zaznaczającej się różnicy między Piłsudskim a NKN-em. Zresztą NKN był w całym obozie najradykalniejszych niepodległościowców warszawskich za czasów rosyjskich tak popularny i otoczony taką aureolą zawiązku przyszłego rządu narodowego, tak im pokrewny już przez to jedno, że wytrwał bezwzględnie na stanowisku antyrosyjskim w najgorszych czasach orężnych powodzeń Rosji i triumfu moskalofilstwa, że do austrofilstwa jego zbytniej wagi nie przywiązywano. Wszyscy też w Warszawie, którzy na stanowisku antyrosyjskim stali, zaliczali się wtedy do obozu niepodległościowego i szczycili się mianem niepodległościowców. Ani ich nie dzielono, ani sami się nie dzielili na „austrofilów" i „niepodległościowców". Były raczej inne kategorie podziału niepodległościowców: byli niepodległościowcy „neutraliści" lub tzw. „koalicyjnej orientacji", przeciwni ruchowi czynnemu Polaków w tej wojnie (w szczególności Legionom jako aktowi politycznemu) i nie łączący Sprawy Polskiej ze sprawą Europy Środkowej, i niepodległościowcy – zwolennicy ruchu czynnego, łączący Sprawę Polską z kategorycznym frontem antyrosyjskim w pewnym politycznym przymierzu z koncepcją Europy Środkowej. Ci ostatni ogarniali zarówno obecnych niepodległościowców obozu CKN-owego, jak obecnych „austrofilów" z LPP. Dziś to się radykalnie zmieniło. LPP

warszawska, stojąca najbliżej stanowiska NKN-u i jego praktycznej ekspozytury w Królestwie – Departamentu Wojskowego, przeciwstawia się kategorycznie radykalnym niepodległościowcom z CKN-u. Zresztą oba odłamy wywodzą się w swoim słusznym mniemaniu konsekwentnie z pierwotnych jednolitych założeń ruchu, który stworzył Legiony i cały antyrosyjski program Sprawy Polskiej. Każdy z nich uważa, że on ma rację, że on się utrzymał na konsekwentnym i ciągłym stanowisku i że on najmądrzej Sprawę Polską wyraża. Do kogo się przychyli Wincenty Rzymowski? Każdy chciał pozyskać w nim atut dla siebie. Jeszcze za mego pobytu w Piotrkowie p. Moszczeńska po przyjeździe z Warszawy głosiła z triumfem, że Rzymowski zaakceptuje stanowisko Ligi Państwowości i Departamentu. Departamentowcy na oślep i na kredyt anektowali już Rzymowskiego na swój użytek. Tymczasem stało się przeciwnie. Rzymowski wprawdzie nie wstąpił do CKN-u, by zachować swoją niezależność publicystyczną, ale całkowicie się przychylił do stanowiska niepodległościowego i na tym stanowisku opiera swój wznowiony organ „Widnokrąg". Departamentowcy już w nim swego rzecznika mieć nie będą. Sikorski wiedział zapewne, że Rzymowski stanął na niepodległościowym stanowisku, ale chciał prawdopodobnie przynajmniej go ugłaskać, aby był w walkach CKN-u z Departamentem neutralnym. Naturalnie, jak to zwykle Sikorski ze Stanisławem Downarowiczem robią, zresztą w najlepszej wierze, chciał przekonać, że jego polityka nie jest bynajmniej zasadniczo antyniepodległościowa, jeno jest państwowotwórcza i „realna", to znaczy że musi się dostosowywać do obiektywnych możliwości jak wszelki czyn konkretny, z natury rzeczy poniekąd oportunistyczny, w przeciwstawieniu do „doktrynerskiego" i oderwanego od życia i realnych jego politycznych warunków stanowiska CKN-u, które wystawia niewykonalne i naiwne, frazesowe hasło „walki na trzy fronty", co jednak w praktyce, gdy do niej dochodzi, z natury rzeczy wypacza się bądź w kierunku bezwładu i kompromisu z tym, co jest na prawicy narodowej martwe i niewolnicze, bądź w kierunku zamaskowanego prusofilstwa. Na tym tylko rzekomo polega różnica tych dwóch stanowisk, z których jedne jest czynem Departamentu, drugie – krzykackim i frazesowym warcholstwem nieodpowiedzialnych „maksymalistów" z CKN-u. Sikorski żalił się gorąco i zaiste szczerze na ustawiczne psucie mu wszelkiej zapoczątkowanej roboty przez CKN-owców, którzy zewsząd wszelkimi szparami wyłażą akurat wtedy i tam, gdzie chodzi o wywrócenie zaczętego przezeń dzieła. Stwierdzał, że bez tej ciągłej destrukcyjnej roboty, udaremniającej wszelkie zapoczątkowania, plon konkretny Departamentowej polityki byłby o wiele obfitszy i głębszy. Zaiste biedny Sikorski! Jest w najlepszej wierze.

12 lipca, rok 1916, środa
Pułkownik Sikorski robi wrażenie jakiegoś motylka, wiecznie fruwa, wiecznie jest pełny barwnych iluzji, jak barwnym i lekkim jest sam w swej duszy, wiecznie układa jakieś misterne kombinacje, wierząc naiwnie, że w polityce można czegoś dokonać dobrymi chęciami i przekonywaniem, w które się wkłada cały swój optymizm, i dziwiąc się, że najmisterniejsze kombinacje rozlatują się natychmiast jak domki z kart, gdy tylko ich budowniczy odejdzie, a rzeczywistość tchnieniem swym dzieła dokona. Sikorski jest bardzo sympatyczny, bardzo miły i prawy, pełen dobrej wiary i dobrej woli, z natury szlachetny, optymista najsłoneczniejszy w istocie, ale młody i niewprawny w sztuce politycznej, zupełny typowy dyletant polityczny, bez wyrobienia, bez odpowiedniego politycznego wykształcenia i bez zmysłu w tym kierunku. Wszystko, do czego się zabierze i co skonstruować spróbuje, rozpada mu się lub wypacza i najczęściej przeciwko niemu zwraca, a on z miną szczerze zgorszonego dzieciaka nadyma się oburzeniem, przypisuje to złej woli ludzkiej lub głupocie,

względnie pokątnym machinacjom wrogów i znów z naiwnym uporem optymizmu rozpoczyna dalej swoją osobliwą „polityczną” robotę. To nie Syzyf, ale barwny motylek i uparte, choć szlachetne i w intencjach dobre – dziecko, bawiące się polityką z gorącą wiarą w swoje budownictwo karciane. I pusty śmiech bierze, gdy się widzi, jak taki miły chłopiec, ubrany w godność pułkownika, robi w Polsce politykę, stojąc na czele odpowiedzialnej instytucji publicznej i kierując tak poważną sprawą, jak sprawa werbunku do Legionów Polskich. Z jednej strony, nie czuje, jak idąc na oślep utorowaną ścieżką werbunkowego maksimum, popada w coraz głębszą zależność od austriackiej Naczelnej Komendy Armii, stając się jej ekspozyturą i narzędziem poddania jej polityki narodowej w jej najważniejszych, stworzonych wolą Piłsudskiego i krwawym trudem polskiego żołnierza atutów, z drugiej strony, nie dostrzega tych najgłębszych i najistotniejszych tendencji, które tkwią w samej naturze ruchu i które ciągle jego misterne kombinacje wywracają; albowiem życie jest mocniejsze od spekulacji jednostkowych i narzuca swoje tendencje i prądy zjawiskom, tworzonym bez liczenia się z jego procesami. W samej istocie ruchu, który się w Legionach i czynnej polityce polskiej wyraża, o ile zwłaszcza o Królestwo chodzi, tkwi proces niepodległościowy; toteż cokolwiek Sikorski skonstruuje bez uwzględnienia lub wbrew temu procesowi, a co jednak znajduje się właśnie w sferze działania tego procesu, w to natychmiast wszystkimi porami wciska się wskazany proces i tendencje swe manifestuje. A Sikorski staje wobec tego bezradny, dziwi się i kładzie to na karb intrygi wrogów, którzy niewiadomo skąd, z jakichś podziemi i szpar jak robactwo wyłażą i do każdego jego dzieła przenikają, mącąc jego dokładność. I tak ciągle kręci się w kółko w sprzecznościach, w godzeniu nie godzących się rzeczy, w fabrykowaniu polityki majaków. Nie są w stanie mu w tym pomóc nawet tacy spryciarze, jak Kot. W istocie zaś Sikorski jest tylko ładnym i efektownym aranżerem tego, co mu szepcze jego duch-kierownik, jego istotny pan woli – Stanisław Downarowicz. Widziałem się dziś z Pohoskim, jednym z uczestników naszej „opozycji”, a później secesji Departamentowej, który obecnie wszedł do niepodległościowej i zarazem ludowej roboty w Warszawie. Od niego wiem, że oprócz uczestników naszej początkowej opozycji w Departamencie (z wyjątkiem jednak Krzemieniewskiego, który pozostał) i oprócz kilku oficerów werbunkowych, wystąpili także Falkiewicz i Pochmarski z biura prasowego, kierownik drukarni Fromowicz, wszyscy pracownicy Centralnego Biura Werbunkowego, kilka współpracowniczek itd. Słowem, secesja dotknęła głównych sił współpracowniczych Departamentu. Lewica NKN-u ma wyciągnąć kategoryczne wnioski z tego wybuchu. Do posterunków werbunkowych Sikorski zaangażował takich ludzi, jak stary rejent Kasperek, chorąży Nowakowski, starszy Hudec. Łata ludźmi, jak może, ale co taka mizerna łatanina wytworzy. Zostaje fakt coraz głębszego odosobnienia Departamentu w Królestwie, coraz większego zobczenia go sprawie czynu polskiego, w niepodległościowym obozie streszczonego. Na stałe też osiadł w Piotrkowie w Departamencie Czarnowski, ma też być tam podobno sprowadzony z Warszawy Kulwieć. Z secesjonistami postąpił Sikorski radykalnie. Nie chciał z nimi zgoła traktować. Ale za to gdy jeden współpracownik za drugim podawali się do dymisji, Kot ze Stanisławem Downarowiczem biegali i łapali jednego po drugim, obrabiając ich i usiłując powstrzymać. Niektórych, jak Rutkowskiego podporucznika, Sikorski w decyzji swej na podanie o dymisję zdegradował na tej zasadzie, że ten miał nominację li tylko dla stanowiska werbunkowego, i polecił mu skierować się w charakterze szeregowca do kadry. Zdaje się, że i Hugo Kaufman będzie zmuszony pojechać na linię do szeregów. Pokazywał mi Pohoski memoriał secesji, motywujący ustąpienie: dość słaby i bezbarwny, a szkoda.

Wieczorem byłem na posiedzeniu CKN-u. Mało było osób, bo znaczna część była na wiecu wyborczym „socjalistów polskich”, to znaczy PPS-u. Małe też wskutek tego było ożywienie. W piątek ma za to się odbyć większe zebranie CKN-u i wtedy o nim postaram się więcej napisać.

13 lipca, rok 1916, czwartek
Na zachodzie grzmi ofensywa angielsko-francuska, na południowym zachodzie uderzają Włosi, na wschodzie szeroką falą napiera ofensywa rosyjska. Pod Kołomyją Moskale posunęli się naprzód do Delatyna, który zajęli, znad dolnej Strypy armia Bothmera cofnęła się nieco ku zachodowi, dalej ku północy na odcinku poleskim Moskale stoją na linii Stochodu, którą usiłują sforsować; walki toczą się pod Hulewiczami, na linii kolejowej Kowel-Sarny nad Stochodem, a więc pod Zajaczewką, dobrze mi znaną, dalej pod Stobychwą; wielka bitwa się waży pod Baranowiczami, a i pod Pińskiem także coś było. Choć powoli, ale przecież konsekwentnie Moskale zyskują na terenie, przynajmniej na całym południowo-wschodnim froncie. Smutne to jest. Ani w komunikatach mocarstw centralnych, ani w innych depeszach z tego źródła nie znać pewności siebie i mocy. Czuć natomiast coś huraganowego w uderzeniach rosyjskich. Nawet Niemcy nie zdają się żywić optymizmu, a nie brak głosów, stwierdzających poufnie, że sami Niemcy oświadczają moment za krytyczny dla państw centralnych. Da Bóg, że będzie w tym przesada i że czynniki miarodajne wojenne wyprowadzą z sytuacji zwycięsko. W Warszawie wszakże ani paniki, ani zaniepokojenia zbytniego nie widzę, i nie widać też wzrostu moskalofilstwa w politycznej sferze życia. Niepokojące są jednak w najwyższym stopniu wieści napływające z Legionów. Dotąd nie są one ścisłe i dokładnie sprawdzone, ale bądź co bądź pewne elementy i szczegóły powtarzają się w nich z wielką konsekwencją. Że odwrót z linii pod Kostiuchnówką na linię Stochodu musiał być połączony z wielkimi walkami i krwawy wobec silnego natarcia rosyjskiego – to pewne. Podobno Lublin jest przepełniony rannymi legionistami, których kilkuset tam przywieziono. Najcięższy ogień zniosła i najkrwawsze straty otrzymała tym razem I Brygada i w szczególności, jak się zdaje, pułk Berbeckiego, który stał na skrajnym prawym skrzydle odcinka legionowego, pod samą właśnie Kostiuchnówką, gdzie się linia nieco zaginała. Podług kursujących wieści, bitwa miała się odbyć w sposób następujący. Węgrzy, którzy stali na prawo od Legionów, mieli rozkaz stopniowego cofnięcia się, ale wspieranego kontratakami, legioniści zaś mieli trwać do czasu na swojej pozycji. Tymczasem Węgrzy stchórzyli i cofnęli się bez żadnych manewrów, odsłaniając flankę Legionów; w lukę tę wcisnęło się natychmiast mrowie rosyjskie, napełniając lasy i osaczając Berbeckiego. Zawrzała walka krwawa, w której pułk Berbeckiego musiał się odgryzać na wszystkie strony. Gdy spostrzeżono niebezpieczeństwo, w jakim się Berbecki znajduje, rzucono się do ratowania go, a z naszej strony poszedł na odsiecz I pułk Śmigłego. Pułk Berbeckiego został ocalony, ale zdziesiątkowany. Z samych oficerów I Brygady wymieniają spośród najbardziej znanych coś z sześciu czy siedmiu zabitych. Najdawniej i najciąglej mówią o śmierci kapitana Sława; mówią też o śmierci komendanta batalionu Wyrwy, który miał być rozniesiony na bagnetach; wśród zabitych wymieniają też Tunguza i Narbuta. Uporczywie się powtarza wersja, że ciężko ranny został w piersi sam Berbecki, a ostatnio już zaczęto mówić, że zmarł z rany. Co zaś osobiście dla mnie byłoby najboleśniejsze, gdyby się sprawdzić miało, to od paru dni mówią, że zaginął kapitan Dąb, mój kochany komendant kompanijny. Nie chcę temu wierzyć. Dęba śmierć odczułbym bardzo boleśnie. Mam nadzieję, że się nie wszystko z tych hiobowych wieści i przynajmniej nie w takiej kategorycznej postaci

sprawdzi. Ale nie ma dymu bez ognia. Musiało bądź co bądź być krwawe żniwo wojny w naszych biednych męczeńskich Legionach.
Po obiedzie wybrałem się z Ludwikiem Abramowiczem i Helą Ochenkowską do Grochowa, gdzie się miała odbyć uroczystość poświęcenia krzyża pamiątkowego dla uczczenia bitwy grochowskiej w wojnie r. 1831. Niezliczone tłumy spieszyły z Warszawy na tę uroczystość, a że dzień był piękny, więc ruszyło wszystko, co żyło i co czas wolny miało. Warszawa przez ten rok nieobecności Moskali pokochała wszelkie obchody narodowe, będące dla niej nowością, a tak odpowiadające swoją dekoratywnością jej temperamentowi i rozmiłowaniu w gestach i barwie. Zresztą namiętność obchodów nie jest w dzisiejszej Warszawie li tylko pustą namiętnością wzruszeń teatralnych: łączy się ona z coraz większym ukochaniem idei niepodległości, popularyzującej się, pomimo wszystko, bardzo. Najdogodniejszą jest jazda do Grochowa kolejką wawerską. Ale takie tłumy cisnęły się do pociągu kolejki na stacji Most na Pradze, że ledwośmy się zdołali uczepić stopni drugiego pociągu; pierwszy już był wypchany po brzegi, jak wewnątrz, tak zewnątrz, gdzie się tylko uczepić dało; drugi odszedł nie mniej pełny. Tłum płynął pociągami kolejki, piechotą i nawet dorożkami, co na te ciężkie czasy jest już wielkim zbytkiem i zarazem osobliwością, zważywszy na nędzę koni dorożkarskich. Początek uroczystości odbywał się przy pałacyku prymasa Poniatowskiego w Grochowie. Drużyny skautów i skautek w ordynku, towarzystwo wioślarskie i inne sportowe, różne stowarzyszenia itd. stawiły się licznie. Powiewały liczne sztandary z orłami białymi, z napisami, sławiącymi niepodległość, chorągwie o barwach narodowych. Widok to dla Warszawy jeszcze przed rokiem zgoła niezwykły, tylko w snach, marzeniach i na ilustracjach zakazanych oglądany. Dziś to wszystko swobodnie publicznie się manifestuje, a słowo o Polsce i niepodległości brzmi głośno i nie jako pamiątka tylko, ale jako aktualny postulat woli, a mazurek Dąbrowskiego i hymn „Boże, coś Polskę" wtóruje uczuciom zachwyconego tłumu. Ktoś tam z organizatorów obchodu wygłosił przemowę, której słów nie słyszałem, stojąc daleko w tłumie, potem muzyka grała hymn i mazurek, wreszcie pochód się uformował i ruszył ku krzyżowi pamiątkowemu na polu bitwy. Widziałem mężczyzn w wieku lat 40-50 płaczących na dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła" i „Boże, coś Polskę", ludzi z pokolenia popowstańczego, którzy tych rzeczy publicznie i swobodnie brzmiących nie słyszeli nigdy, w najgłębszym sterroryzowaniu niewolą nie marzyli o tej chwili jako o czymś realnym nigdy. Swoją drogą, patrząc na zastępy młodzieży skautowej i sportowej, po wojskowemu uszykowane i maszerujące, czułem się, choć jestem zwolennikiem antywerbunkowego hasła Piłsudskiego, zirytowany mimo woli: oto dekoracja wojskowa parady! Oto kwiat młodzieży podziwianej w teatralnym geście wojskowym, gdy tam na krwawych polach młodzież Legionu ofiarą czynną pała niepodziwiana, samotna, ideę ofiarą swą iszcząca.

14 lipca, rok 1916, piątek
Wobec tych ciężkich strat, które, zdaje się, Legiony – i to właśnie w swojej I Brygadzie, poniosły, nasuwają się mimo woli smutne refleksje o ich losie i stanowisku w narodzie. Wszak są one najofiarniejszym i najprostszym bezpośrednim wyrazem tego, co dziś jest tak popularne w całej unarodowionej Polsce, co jest święcone w przeróżnych obchodach Warszawy, co łzy wzruszenia i zapał z dusz ludzkich wyciska – Niepodległość. Nie ich forma uzależnienia od Austrii, ale ich żywa idea Niepodległości Polski stanowi ich istotę i służbę męki i ofiary krwawej. Przez nie w olbrzymim stopniu Sprawa Polska dziś stanęła na tej stopie, na której idea i postulat Niepodległości stały się przedmiotem bieżącej polityki narodowej i woli, ujawniającej w obchodach, w wojennym ordynku ruchu skautowego etc. A jednak jakże są one w narodzie

zapomniane, jak osamotnione, jak od tej Warszawy dalekie. Niby uznanie i miłość dla nich wzrosły, ale pozostały one dla Warszawy czymś egzotycznym, omalże nieżywym, a w każdym razie mniej aktualnym, popularnie zmysłowo podziwianym i wielbionym od tych skautów i skautek, plutonów milicji lub towarzystw sportowych, symbolizujących widomie ów pozór, ów zmysł naradzającej się wojskowości polskiej, z niepodległością popularną tak blisko związanej. Ci na paradzie zbierają laury wzruszeń i pragnień narodowych, krwawo opłacane przez bohaterów na polach walk istotnych. I cała kołtuneria wielkich ojców narodu z obozów politycznych prawicy i „umiarkowania", za cenę słów upajających i widowiskowej parady quasi-wojska polskiego różnych skautów i milicjantów, pragnęłaby tłumy od widoku i uznania tej rzeczywistej ofiary czynu i od wszelkiego w ogóle ruchu i pobudki czynnej odwrócić. W urządzaniu obchodów, jak na przykład wczorajszego grochowskiego, biorą czasem udział nawet endecy, moskalofile. Wielu jest wśród nich takich, którzy by byli zupełnie szczęśliwi i za raj narodowy uznali, gdyby to z jednej strony wróciły rządy rosyjskie, z drugiej – pozostawiono wolność obchodów-szopek. Daleki jestem od tego, abym negował wielką dodatnią stronę obecnych obchodów: działają one na wolę, budzą elementy psychiczne, które w chwili obecnej nie mogą pozostać martwe. Czas jest taki, że obchody te krzeszą ogień świadomości i płyną ku jednej mecie: niepodległości. Ale wśród czynników, które biorą w nich udział i nieraz w ich organizacji uczestniczą, dużo jest obłudy i chęci zrobienia z nich usypiającej narodowej szopki, roztapiającej czynną prężność woli w emocjach widowiskowych. Im więcej boją się Legionów i nienawidzą śmiałego czynu, tym bardziej głaskają i przed oczy tłumów z manifestacyjnym uznaniem wystawiają różnych skautów, milicjantów, sportowców i studentów – słowem, tę młodzież, która dla różnych względów nie poszła do Legionów, a która tu tworzy różne symbole i parady quasi-wojskowego gestu narodowego – w ordynku, musztrze, marszu itp.
Wczoraj wieczorem byłem na zebraniu dyskusyjnym klubu LPP, dziś wieczorem – na posiedzeniu CKN-u. Z powodu obu tych wieczorów chcę pomówić, choć wiem z góry, że nie wyczerpię tego ani dziś, ani może nawet jutro. W klubie LPP przy ul. Siennej odbywał się już po raz drugi wieczór dyskusyjny w sprawie litewskiej. Zaprosił mię na zebranie Ludwik Abramowicz. Był to wieczór z udziałem gości. Referentem w sprawie litewskiej wystąpił Ludwik Abramowicz. Gdym przyszedł, toczyła się już dyskusja, z której wszakże dowiedziałem się zaraz tezy, bronionej przez Ludwika. Jest to znana jego teza, o której już przed kilku dniami nieco pisałem. Ludwik wychodzi z założeń jedności Litwy (z Białorusią) i jej krajowej odrębności od Polski. Uważa niemniej, że elementem państwowotwórczym na Litwie są jeżeli nie wyłącznie, to nade wszystko Polacy i wierzy, że w Litwie, niepodległej czy samorządnej, Polacy litewscy będą mieli hegemonię nad innymi ludami. Hegemonii tej, którą zresztą rozumie jako naturalny wynik współubiegających się elementów kulturalnych w kraju bez żadnej presji przymusowej w ustawodawstwie państwowym litewskim, pragnie i dopatrując się szczególnych uzdolnień kulturalnych u Polaków litewskich, stawiających ich wyżej od Polaków w etnograficznej Polsce, uważa, że zapewnienie wpływów elementowi polskiemu na Litwie i danie mu warunków krajowego działania będzie zarazem wybitnym czynnikiem w ogólnonarodowej kulturze polskiej. Dostrzega wszakże apetyt Niemców na zaanektowanie Litwy etnograficznej wraz z Kurlandią, a wierząc, że Niemcy będą w rezultacie tej wojny mieć siłę dokonania swej woli w tym względzie, bierze to poniekąd za pewnik. Wówczas, wobec słabości tam elementu polskiego oraz słabego zmysłu państwowotwórczego, a przeto i odporności słabej Litwinów i Łotyszów, uważa, że ta część kraju bądź całkowicie ulegnie germanizacji, względnie stanie się awangardą germanizmu, bądź w każdym razie będzie dla przyszłego związku

Litwy z Polską stracona i stracona także dla ekspansji kulturalnej i działania polskiego na Litwie elementu. Oderwanie więc Litwy etnograficznej od Wilna i Białej Rusi Zachodniej, gdzie element polski ma swoje właściwe ognisko, pozbawiłoby Polaków litewskich znacznej podstawy dla ich akcji twórczej. Poza tym, samo przyłączenie Wilna wraz z tą częścią Białej Rusi Zachodniej, która już jest faktycznie od Rosji oderwana, do Polski nie tylko że nie okupiłoby straty dla Polaków litewskich Litwy etnograficznej, ale i samo przez się byłoby dla nich wątpliwe co do skutków, albowiem, przyłączeni mechanicznie do Polski, znaleźliby się na stopie drobnego ułamku prowincjonalnego i zostaliby przez to ujałowieni, tracąc grunt do pełnienia tej twórczej kulturalnej roli, jaką tylko w Litwie pełnić mogą. Wobec tego, zdaniem Abramowicza, należy w imieniu głębszych kultury polskiej dziejowych zadań, nie mogąc przeciwdziałać aneksji Litwy etnograficznej z Kurlandią do Niemiec, nie tylko wystawiania takich żądań poniechać, ale także nie stawiać żądania przyłączenia do Polski Wilna z Białą Rusią Zachodnią, proklamując natomiast ideę niepodzielności Litwy, oczywiście w granicach jej faktycznego oderwania od Rosji, aby cały ten teren Litwy mógł utworzyć w Niemczech autonomiczny kraj Rzeszy. Jest to więc takie powiedzenie do Niemców: skoro macie brać Litwę etnograficzną, to bierzcie i Wilno, i wszystko, coście z Litwy od Rosji oderwali; my na to pretendować nie będziemy, ale pod jednym warunkiem, aby to tworzyło całość niepodzielną.

15 lipca, rok 1916, sobota
Teza Abramowicza na zebraniu klubu LPP wywołała dość obszerną dyskusję. Większość mówców niezupełnie się z nim godziła, zwłaszcza co do niereflektowania przez Polskę na Wilno i Białoruś Zachodnią, o ile Litwa etnograficzna ma być przez Niemców zaanektowana. Wywody poszczególnych mówców różniły się między sobą. W każdym razie, nawet ci, którzy byli najbliżsi akceptowania stanowiska Abramowicza, robili to z dużą rezerwą, zastrzegając się, że ewentualny postulat niepodzielności Litwy w jej przyłączeniu do Rzeszy Niemieckiej może być usprawiedliwiony li tylko w imię ocalenia w Litwie idei związku państwowego w przyszłości z Polską i utrwalenia tam odpowiedniej tendencji, jeżeli ona istotnie przez tę niepodzielność zostanie wzmocniona. Inni, jak komisarz milicji I okręgu Kozłowski, podnosili dość naiwną zasadę „brać, im więcej się da", przeciwstawiając ją tezie Abramowicza, jak gdyby programy mogłyby być określone biernym czynnikiem „brania" z czyichś rąk, nie zaś postulatami woli i zdobywania. Niektórzy mówcy, zalecając postulat pozyskania dla Polski Wilna z Białą Rusią Zachodnią, wychodzili z tych założeń, że zbytnie przeładowanie liczebne Polski elementami niepolskimi byłoby dla niej może nawet szkodliwe, więc nie ma ze stanowiska państwowego polskiego konieczności dążenia za wszelką cenę do pozyskania także Litwy etnograficznej i że jeżeli Litwę etnograficzną mają wziąć Niemcy, to nie warto dla zachowania w niej tendencji zbliżenia z Polską oddawać koniecznie Niemcom na zasadzie niepodzielności kraju – Wilna z Białą Rusią Zachodnią, nadających się w zupełności do aktualnego związku z Polską. Na ogół ducha większości przemówień da się streścić w następujących tezach: łączność Litwy z Polską jest ze stanowiska państwowego jak najbardziej pożądaną i w jak najszerszym zakresie, nie wyłączając Litwy etnograficznej, a więc całego terytorium, oderwanego od Rosji; ludy Litwy, Litwini i Białorusini, nie mają zmysłu państwowego lub mają go w stopniu zbyt małym, aby były do własnej państwowości dziś zdolne; państwowość polska, uzasadniona dla Litwy historycznie unią, a nawet, jak stwierdził Grotowski, jednością, która się już była dokonała w epoce stanisławowskiej przed upadkiem Rzeczypospolitej, przyniosłaby krajowi wyzwolenie od Rosji i obronę przed germanizmem, a zarazem wpływy kultury

zachodniej i tych wolnościowych pierwiastków prawnych, które w cywilizacji zachodniej się mieszczą; Polska powinna jednak wystrzegać się polityki polonizacyjnej względem ludów Litwy – Litwinów i Białorusinów; ludy te powinny w Polsce znaleźć nie jakąś siłę wrogą, zwróconą przeciwko ich narodowemu rozwojowi, ale ojczyznę, w której będą mogły swobodnie iścić swój narodowy rozwój; ewentualnie mogą być nawet wewnątrz Polski dopuszczane dla poszczególnych ludów, raczej terytoriów etnograficznych formacje autonomiczne, jak w pierwszym rzędzie dla Litwinów; gdyby się okazało niemożliwym pozyskanie dla Polski Litwy etnograficznej jako dla Niemców przez siebie rezerwowanej, to należy przynajmniej dążyć do pozyskania choćby Białej Rusi (Zachodniej) z Wilnem. Były różnice odcieniów w poszczególnych przemówieniach, ale większość przemówień ku tym tezom zmierzała, tezom, przeciwnym tezie Ludwika Abramowicza. Wówczas zabrałem głos ja i w dłuższym przemówieniu moją, odrębną zgoła, tezę przedstawiłem: tezę, opartą na założeniach państwowości Litwy, względnie jej ludów, we wnioskach zaś zmierzającą do związku z państwowością polską, nie na aneksyjnych wszakże zasadach. Streszczę tu przemówienie moje. Na wstępie zastrzegłem się, że gdy chodzi o Litwę, stoję na stanowisku nie Polski i jej państwa, ale państwowości, a przynajmniej jak największej wolności Litwy i jej ludów, i że dostrzegam w dzisiejszych zwłaszcza stosunkach światowych głęboką solidarność dziejową między wolnością Litwy i Polski. Dalej przeszedłem *in meritum*. A więc powiadam, że słyszę tu w przemówieniach taki sylogizm założeń i wniosków: unia Litwy z Polską doprowadziła w swym rozwoju logicznym do jedności obu krajów; Litwini i Białorusini zmysłu państwowotwórczego nie mają; skoro więc ewolucja dziejowa przekazała nam jedność państwową obu krajów i skoro nie ma czynników, które by były zdolne do utworzenia odrębnego państwa litewskiego, czyli że nie ma we współczesnych stosunkach żywej podstawy do przeczenia tej jedności, to znaczy, że tak z historycznych względów, jak z obecnych stosunków i potrzeb kraju wynika ogarnięcie Litwy państwowością polską. Ale w istocie tak nie jest; oba założenia nie są ścisłe, a stąd i wniosek nie odpowiada prawdzie życiowej. Wprawdzie unia istotnie doprowadziła do jedności w epoce stanisławowskiej, jednak proces ten był wyrazem ewolucji wyłącznie społeczeństwa szlacheckiego na Litwie, które w tym czasie było jedynym elementem państwowotwórczym; masy ludowe nie uczestniczyły w procesie państwowym i ich ta jedność, jako fenomen państwowy, nie dotknęła wcale. W międzyczasie wszakże – od upadku Rzeczypospolitej do momentu obecnego – w drugiej połowie w. XIX pod wpływem demokratyzacji społecznej, której głównymi czynnikami na Litwie były usamowolnienie i uwłaszczenie włościan, dokonał się proces wyłonienia się mas ludowych i oddziaływania ich potrzeb oraz ich elementów na rozwój zarówno kulturalny, jak społeczny, a więc w konsekwencjach swoich na państwową formację kraju. Dziś budować cokolwiek, przeoczając czynnik ludowy, jest błędem politycznym i historycznym. Im dalej, tym czynniej będą oddziaływać masy ludowe na formację kraju, ciążąc swoimi elementami zarówno kulturalnymi i narodowymi, jak gospodarczymi na całym rozwoju społecznym i politycznym. Odpowiednio do tego wzrastać będzie także ich zmysł państwowotwórczy, coraz bardziej świadomy i czynny. Już dzisiaj na analizie procesu odrodzenia narodowego litewskiego można wykazać i argumentami udowodnić istnienie takiego zmysłu u Litwinów; co do Białorusinów, to aczkolwiek są oni mniej zaawansowani, jednak w spolonizowanie się ich dzisiaj, im większe demokratyzacja będzie robić postępy, tym mniej wierzę, a w konsekwencji zmysł państwowotwórczy i w nich się objawi. Niepodobna więc jedności państwowej Litwy i Polski dokonanej przed stu kilkudziesięciu laty na ewolucji szlacheckiej, przenosić żywcem w procesy demokratyczne.

16 lipca, rok 1916, niedziela

Dokończę streszczenia mego przemówienia w sprawie litewskiej w klubie LPP w dniu 13/VII. Po wykazaniu, że wnioski z ewolucji szlacheckiej na Litwie, które się streściły w zastąpieniu unii przez jedność państwową z Polską w dobie stanisławowskiej, nie są zdatne do współczesnego budownictwa państwowego na Litwie, o ile się nie uwzględni równolegle nowych procesów ludowych, wyłonionych przez demokrację, i że wywody na temat braku zmysłu państwowotwórczego u ludów Litwy nie są ścisłe, przeszedłem do głównych, moim zdaniem, założeń dzisiejszego programu państwowego Litwy. Nacisk tu położyłem na założenia międzynarodowe. Wskazałem, że teza Ludwika Abramowicza opiera się na przypuszczeniu, że decyzja w urządzeniu Litwy i Polski, to znaczy ziem oderwanych od państwa rosyjskiego, należeć będzie do Niemiec jednostronnie. Otóż nic w tej wojnie nie uprawnia do takiego przypuszczenia. Zwycięstwo Niemiec nie może doprowadzić do ich dyktatury. To biorę za fakt. Likwidacja wojny będzie dziełem nie samych Niemiec zwycięskich, ale całego szeregu czynników międzynarodowych, których stosunku wzajemnego dziś jeszcze ustalić niepodobna. Zarówno oba bloki wojujące, jak państwa neutralne, a więc olbrzymia skomplikowana gra sił i interesów politycznych będzie określała warunki nowego pokoju europejskiego. Wobec tego sprawa państwowej organizacji ziem, faktycznie siłą oręża niemieckiego oderwanych od Rosji, to znaczy Polski i Litwy, będzie nie sprawą niemiecką, wolą Niemiec określoną, ale sprawą wybitnie międzynarodową. Zmienić się to może tylko w takim razie, gdyby Rosja miała siłą oręża w toku wojny ziemie te odzyskać. Gdyby to nastąpiło, to sprawa z torów międzynarodowych, zwłaszcza w stosunku do Litwy, zeszłaby na stopę wewnętrznej sprawy rosyjskiej i w istocie rzeczy przestałaby jako kwestia pokoju istnieć. Ale to, dzięki Bogu, mało prawdopodobne. Otóż w płaszczyźnie międzynarodowych zagadnień sprawa litewska jako taka nie jest światu znana. Tego momentu międzynarodowego, momentu odrębnej sprawy, jaką ma w wybitnym stopniu Sprawa Polska, litewska nie ma. Toteż zostałaby ona załatwiona bądź w kierunku zwrotu Rosji, co uważam za największą klęskę dla Litwy i wolności jej ludów, bądź w kierunku aneksji na rzecz Niemiec, co wydaje mi się złem wprawdzie mniejszym, ale też niebezpiecznym dla niej. Wobec tego, moim zdaniem, Litwie nie pozostaje nic innego, jak swoją sprawę na zewnątrz, wobec świata, wcielić w Sprawę Polską, aby pod jej sztandarem się przemycić, korzystając z jej atutów dla ocalenia się od Rosji i od Niemiec. W tym kierunku powinna by być zwrócona orientacja Litwy wobec świata. Wewnątrz wszakże, na wzajemnym stosunku Polski do Litwy, rzecz ta, aby być trwała, powinna być budowana na zasadach związkowych, uwzględniających procesy narodowe i państwowotwórcze, z demokracji i ewolucji ludowej płynące i już dziś w stosunkach i tendencjach najzupełniej żywe. Na razie nie przesądzam formy wykonania zasad związkowych, czy to jako związku Polski z niepodzielnym W. K. Litewskim (naturalnie że w konkretnych granicach jego faktycznego oderwania od Rosji), czy też z poprawkami i zmianami, przez nowe ludowe procesy w tendencjach ujawnionymi, jak na przykład wydzielenie Litwy etnograficznej w osobną autonomiczną jednostkę z wcieleniem reszty Litwy do Polski na zasadach prowincjonalnych, uważając Białoruś na razie za istotnie zbyt słabą w państwowotwórczych elementach, aby mogła tworzyć nawet autonomiczną jednostkę, czy wreszcie utworzenie równolegle do litewskiej także i białoruskiej autonomicznej formacji z wykrojeniem na rzecz Polski tych cząstek terytorium, których spolonizowanie już nie budzi wątpliwości. Forma spełnienia winna być dziełem obopólnego porozumienia Polski i Litwy. Na razie w szczegółach jej ostatecznie nie przesądzam. Zasady związkowe, uwzględniające dokładnie procesy demokracji,

powinny być uznane nie tylko w imię trwałości konstrukcyjnej dzieła przyszłej państwowości naszej, ale też w imię samego nawet interesu Polski, zważywszy, że Litwa i Białoruś są w ręku Rosji kluczem do ujarzmienia Polski i panowania nad nią i że tylko wolne i samorządne, a nie ujarzmione przez Polskę i sztucznie polonizowane ludy Litwy będą w stanie, broniąc własnej wolności i życia od wschodu, bronić też i strzec sobą Polskę. Zakończyłem wreszcie tym, że oto na tej drodze widzę szlachetną misję dziejową Polski w stosunku do ludów północnego wschodu, misję, polegającą na dziele kultury i wolności. Polska powinna być z natury własnych dziejów i interesu rzeczniczką i czynną pomocnicą wolności tych ludów, to znaczy w pierwszym rzędzie Litwinów i Białorusinów, a następnie, pragnąłbym wierzyć, i Łotyszów. Na tym zakończyłem. Mowa mi się udała dobrze. Słuchano mię w wielkim skupieniu, raz dlatego, że uchodzę w sprawach Litwy za poważny autorytet, gdy na bruku warszawskim panuje wielka ignorancja pod tym względem, po wtóre dlatego, że niezwykłym było dla ucha warszawskiego słuchanie wywodów, wysnuwanych z założeń nie polskich, lecz właśnie litewskich, wreszcie dlatego, że z litewskich konsekwentnie wychodząc założeń, dochodziłem do tego, co jest w pierwszym rzędzie popularne w pragnieniach polskich – współudziału Litwy w przyszłym państwie polskim, choćby nawet ten współudział był na zasadach związkowych, to znaczy w istocie nie-jedności. Wreszcie ucho wszelkich słuchaczów inteligentnych wszędzie, a w Polsce może w szczególności, lubuje się w wolnościowych i humanitarnych tezach, zwłaszcza gdy te się stosują do roli Polski i Polaków i gdy się im o szlachetnej ich misji mówi. Każdy lubi słuchać, gdy mu się o nim dobrze mówi, a trzeba przyznać, że Polacy w intencjach swych mają dużo wolnościowego polotu i są nań wrażliwi bardzo. Otrzymałem rzęsiste brawa. Gdym wychodził, dziękowano mi serdecznie, a panowie z zarządu LPP, jak Radziwiłłowicz, Garlicki i inni, wyrażali chęć, abym wraz z nimi wziął czynniejszy i już systematyczny udział w opracowaniu ściślejszych zasad programu w sprawie litewskiej. Zebranie klubu LPP sprawiło na ogół sympatyczniejsze wrażenie, niż się spodziewałem. Zbytniego austrofilstwa nie dostrzegłem zgoła.

Michał Römer
16 lipca roku 1916
Warszawa